Grabowski Artur Daniel

Testament Eleonory

Edeltraud Michel
z wdzięcznością

Jesteśmy stworzeni z dwóch kontrastujących idei:
miłości i strachu.
Wybierz jedną z nich i żyj.
Axl Rose

Bo jak śmierć potężna jest miłość...
Pieśń nad Pieśniami 8, 6

1

Letni skwar sierpniowego dnia dobiegał końca. Rześki powiew wiatru smagał już tu i ówdzie, przynosząc ukojenie i odpoczynek. Zachodzące słońce rozlewało ciepły, złocisto-szkarłatny blask, delikatnie otulając kilka niewielkich chmur na nieboskłonie i roztaczając niezwykłą, nostalgiczną aurę. Właściwie to były ostatnie podrygi lata, co dawało się już powoli odczuć. Thomas stał przy otwartym na oścież oknie swojego mieszkania, znajdującego się na peryferiach Görlitz, pięćdziesięciotysięcznego nadgranicznego wchodnioniemieckiego miasta, i obserwował to wieczorne zjawisko z wielkim zainteresowaniem. Atmosfera niezwykłości bardzo mu się udzieliła i chętnie wracał myślami do wydarzeń minionego dnia, który – jak na sobotę – był dość pracowity. Lubił przesiadywać wieczorami i oglądać ostatnie promienie słonecznego blasku. To dawało mu poczucie spokoju i wprowadzało w nastrój relaksu. Za nic w świecie nie oddałby tej chwili. I właśnie dlatego, kiedy szukał mieszkania, tak bardzo ucieszył się, że trafiło mu się właśnie to – przytulne, w spokojnej okolicy, z daleka od miejskiego zgiełku, prawie jak na wsi. Miał tu zaciszny taras, na którym często przesiadywał, czytając książki i przygotowując materiały do pracy. Lubił swoje lokum, choć mimo wszystko było w nim pusto. Brakowało mu obecności tego „kogoś", kto ożywiłby tę życiową przestrzeń swoją niebanalną osobowością, życzliwością i dowcipem. Nie miał jednak na tyle odwagi, by to zmienić.

Thomas był niezbyt wysokim, wysportowanym trzydziestolatkiem o pociągłej, poważnej twarzy, z lekko przystrzyżonymi gęstymi włosami w ciemnym odcieniu blond. Miał doskonale ukształtowaną sylwetkę oraz ciepły, niski głos. Jego przeszywające spojrzenie przyciągało i sugerowało, że ma się do czynienia z kimś, kto zna swoją wartość. Lubił wyprawy rowerowe i górskie wędrówki. Ubierał się zawsze gustownie i elegancko. To wszystko razem niejednokrotnie robiło piorunujące wrażenie na płci przeciwnej. Jednak był trochę nieśmiały i nie wychylał się za bardzo. I choć cenił sobie towarzystwo ludzi, bardziej wolał samotność oraz obcowanie z książką i dobrą muzyką, która stanowiła jego osobiste antidotum na wszelkie smutki i niepowodzenia. Często odczuwał bowiem lęk przed jutrem i ludźmi, z którymi nieustannie musiał się zadawać.

W końcu można odetchnąć. Ta sobota była wyjątkowo męcząca – pomyślał, wpatrując się w ostatnie promienie słońca, i powoli zaczął zabierać się za przygotowanie kolacji. Przez cały dzień chodziła mu po głowie jajecznica na boczku, taka, jaką zawsze robiła mu w dzieciństwie babcia. Wyjął z szafki starą sprawdzoną w kuchennych bojach patelnię i miał już kroić boczek, by położyć go na rozgrzanym tłuszczu, gdy z wieczornych rozmyślań wyrwał go telefon.

– Kto może dzwonić o tej porze? – zastanawiał się na głos. Na wyświetlaczu komórki pojawiła się informacja, że numer jest zastrzeżony, co jeszcze bardziej go zaintrygowało. Odłożył na bok kuchenne przybory, wytarł dłonie w ścierkę i wziął aparat.

– Tak, słucham.

– Dobry wieczór – odezwał się kobiecy głos w słuchawce. – Czy mogę rozmawiać

z panem Thomasem Michelem?

– Dobry wieczór. To ja, a o co chodzi?

– Hm... Jak to panu powiedzieć...

– Może zdecyduje się pani w końcu wydusić coś z siebie? – odburknął Thomas. – Trochę późno na zawracanie głowy. Miałem ciężki dzień i w końcu chciałbym odpocząć, więc proszę się streszczać.

– No cóż, bardzo przepraszam, że przeszkadzam – powiedziała nieznajoma. – Sprawa jednak jest dość pilna. Nazywam się Kathy Brück i dzwonię do pana z Frankfurtu nad Menem z kancelarii adwokackiej Brück & Kunick. Pańska znajoma, Eleonora hrabina von Albertstein, nie żyje – zakomunikowała w końcu.

– Co proszę? Jak to możliwe? Kim pani jest? Nie rozumiem... Jeszcze dziś z nią rozmawiałem przez telefon – odpowiedział, opadając na kuchenny stołek. – Przecież pani Eleonora nie była jeszcze taka stara i miała się całkiem dobrze.

– Bardzo mi przykro... – odparła Kathy Brück, a Thomasowi zrobiło się słabo. – Tak jak powiedziałam, jestem z kancelarii adwokackiej. Jakiś czas temu hrabina poleciła nam skontaktować się z panem na wypadek jej śmierci, stąd właśnie mój telefon. – Na chwilę Kathy Brück zamilkła, zastanawiając się, jak przedstawić sytuację zaskoczonemu Thomasowi. – Jest jeszcze jeden bardzo ważny szczegół, o którym muszę panu powiedzieć. Musi pan koniecznie przyjechać do Frankfurtu i to jak najszybciej. Hrabina pozostawiła list, który powinien pana zainteresować. Może zmienić pana życie.

– Zmienić moje życie? Może mi pani, droga Kathy, powiedzieć coś więcej i przestać być tak zagadkową?

– Niestety, tyle musi panu wystarczyć. Przynajmniej na razie. Proszę do nas niezwłocznie przyjechać. Ta sprawa nie może czekać.

Thomas miał w głowie mętlik. Ukrył twarz w dłoniach i zaczął słowo po słowie analizować treść rozmowy. Nie miał zielonego pojęcia, co mogło się stać. Odejście, właściwie nagła śmierć hrabiny, z którą przyjaźnił się od ponad dziesięciu lat, była dla niego szokiem. W jednej chwili nostalgiczny wieczór zmienił się w koszmar.

– Halo, panie Michel! Jest pan tam?

– Tak, tak. Jestem. Czy może mi pani jeszcze powiedzieć, jak zmarła? – zapytał, kiedy zebrał się w sobie.

– To dość skomplikowane... W tej chwili trudno cokolwiek powiedzieć. Sprawę bada policja – usłyszał w słuchawce. – Niech pan przyjedzie na Rhein-Strasse

45. Szczegółowe instrukcje otrzyma pan w mailu. – Dobrze, dziękuję. – W takim razie do

zobaczenia – odpowiedziała Kathy Brück, kończąc rozmowę.

Thomas poczuł się zdruzgotany. Wiadomość o śmierci tak bliskiej przyjaciółki była dla niego ciosem, którego się nie spodziewał. I choć liczył się z tym, że kiedyś to nastąpi, to jednak fakt ten okazał się trudny do zaakceptowania. Bił się z myślami, od których roiło mu się w głowie. Nie wiedział, co robić. Jak teraz, w nawale różnych zajęć, wyrwać się, pojechać do Frankfurtu i, co wydawało mu się najważniejsze, zrozumieć, o co chodzi z tym tajemniczym listem? Nie miał pojęcia, czy szef da mu tych kilka dni wolnego, by mógł uporać się ze wszystkim.

Śmierć Eleonory von Albertstein stanowiła dla niego zagadkę. A skoro zajmuje się nią policja, to z pewnością chodzi tu o coś więcej. Rozważał różne ewentualności, ale każda wydawała mu się niedorzeczna.

Zabójstwo? Nie, to niemożliwe – rozmyślał Thomas. Przecież hrabina była bardzo serdeczną i całkowicie nikomu niewadzącą, pogodną kobietą. Fakt, posiadała majątek, ale przecież większości Niemców nie brak niczego.

Mimo przytłaczającego smutku postanowił skontaktować się ze swoją bliską koleżanką z pracy, Martą Thein. Poznali się trzy lata temu, kiedy rozpoczęła staż w redakcji pisma „Stadt Nachrichten", w którym Thomas odpowiedzialny był za kontakty z lokalnymi władzami i jeszcze kilka innych spraw. Od razu wpadli sobie w oko i całkiem dobrze układała im się współpraca. Thomas cierpliwie wprowadzał Martę w tajniki dziennikarskiej pracy, a ona odwzajemniała mu się ciepłem i ze zrozumieniem tolerowała jego samotniczy tryb życia. Ją cechowało nowoczesne podejście i otwartość na świat, on zaś, jako zdeklarowany konserwatysta, stronił od niepotrzebnego zamieszania. Razem przeszli już niejedno, ale Thomas nigdy nie zdecydował się na to, by się z nią związać, wypełniając tym samym ową pustkę w swojej przestrzeni życiowej. Liczył na to, że Marta poradzi mu, co ma robić, i pomoże w przygotowaniach do wyjazdu. On sam nie miał do tego głowy. Zresztą podróż stanowiła dla niego wielkie wyzwanie, głównie ze względu na odległość. Ostatnim razem był we Frankfurcie pięć lat temu w czerwcu. Panowały wtedy równie wysokie temperatury jak obecnego lata. Nowoczesna metropolia zrobiła na nim jak zawsze ogromne wrażenie, a wizyta w niej okazała się czymś więcej niż tylko wakacjami u dobrodusznej starszej pani. Zresztą hrabina od lat pełniła rolę jego powierniczki i wspierała we wszystkim. Jej stratę odczuł więc niezwykle boleśnie. Teraz pozostał sam, bez rodziny (matki nie znał, ojciec zapił się na śmierć, a ukochana babcia zmarła półtora roku temu) i bez przyjaciół... no, może poza Martą.

– Hej, mam do ciebie prośbę – powiedział nieśmiałym głosem Thomas, gdy po dłuższym czasie oczekiwania Marta w końcu odezwała się po drugiej stronie linii telefonicznej. – Czy mogłabyś do mnie przyjechać? Albo nie. To ja do ciebie przyjadę!

– Thomas, co się dzieje? Masz taki dziwny głos – przestraszyła się Marta.

– Czy mogę przyjechać na tę noc? Nie chcę być sam, wszystko wyjaśnię, jak przyjadę – nalegał mężczyzna. – Po prostu chcę... chcę pogadać.

– No wiesz... ale już jest późno, bardzo późno.

– Tak, wiem o tym, ale... ale nie chcę, nie mogę być tej nocy sam.

– Przerażasz mnie, ale dobrze, przyjedź za pół godziny. Będę czekała przed domem.

– Wielkie dzięki – odparł Thomas, powoli szykując się już do wyjścia.

Wymarzoną w ciągu dnia kolację musiał przełożyć na inną okazję. Teraz ważniejsze było dla Thomasa to, by jak najszybciej stąd wyjechać i dowiedzieć się, o co w tym wszystkim chodzi. Założył w pośpiechu buty i marynarkę, a do kieszeni wsunął swoją komórkę. Raz jeszcze spojrzał na zegarek, który wskazywał już godzinę

23.15. Przez chwilę jeszcze się wahał, zastanawiając się, czy czegoś nie zapomniał, po czym chwycił swoją ulubioną białą czapkę z daszkiem i zdecydowanym, szybkim krokiem wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Noc zaskoczyła go chłodem, ale nie zwracał na to uwagi. Chciał jak najszybciej dotrzeć do domu Marty, by powiedzieć jej o wieczornym telefonie, tajemniczej śmierci Eleonory i liście, który miał zmienić wszystko. Szybko pobiegł do centrum, by złapać jakąś taksówkę.

Mam szczęście – pomyślał i poprosił kierowcę, by jechał do wsi oddalonej o siedem kilometrów na południowy zachód od jego miasta.

Podróż trwała zaledwie dziesięć minut. W drodze wracał myślami do tych chwil, które pięć lat temu spędził u Eleonory we Frankfurcie. Coś mu mówiło, że jej odejście nie było przypadkowe i to martwiło go najbardziej.

Thomas zapłacił taksówkarzowi za kurs i wysiadł z wozu. Marta już czekała. Od razu poczuł się lepiej, widząc przyjaciółkę, na którą zawsze mógł liczyć. Kiedy tylko go zobaczyła, podbiegła do niego, ujęła obie jego dłonie i troskliwie wpatrywała się w jego tonącą w mroku twarz. Czuła napięcie i ból, z jakim walczył. Jednak nie odważyła się zainicjować rozmowy. Nie znała sytuacji i nie wiedziała, jak Thomas zareaguje. Odezwała się dopiero po chwili, ostrożnie ważąc każde słowo. Bardzo lubiła Thomasa i wydawało się jej, że chyba nawet za bardzo. Pociągał ją nie tylko jako intelektualista czy kolega z pracy, ale tak po prostu, fizycznie.

– Przestraszyłeś mnie, Thomas. Nigdy się tak nie zachowywałeś. Co się dzieje? – spytała przyjaciela.

– Nigdy nie miałem takiego telefonu jak dziś i nie wiem, co mam robić – odparł zrezygnowany.

– Zaraz pójdziemy do mnie. Zrobię ci coś do picia i jedzenia, jeśli chcesz, a potem wszystko mi opowiesz – zakomenderowała Marta.

– Jestem ci wdzięczny, że przystałaś na moją prośbę... Wcale nie musiałaś.

– Dla mnie to żaden problem. Za to ty chyba rzeczywiście nie powinieneś być tej nocy sam.

Powolnym krokiem oboje zbliżali się do domu kobiety. Była to niewielka piętrowa kamienica, pomalowana na biało, z okiennicami w krwistoczerwonych barwach i skrzyniami kwiatów na okiennych parapetach. Dom w całości należał do Marty i jej rodziców, którzy kiedyś prowadzili tutaj niewielkie gospodarstwo. Ulicę rozświetlało zaledwie kilka lamp. Tu i ówdzie szczekały psy i czasem przez drogę przeleciał jakiś zabłąkany kot. Poza tym było bardzo spokojnie. Nieopodal, na wzgórzu wznosił się stary średniowieczny kościół wraz z cmentarzem otoczonym wysokim murem, którego widok teraz przyprawiał o dreszcze. Niebo iskrzyło się od gwiazd, a księżyc w pełni dodawał nocy tajemniczej magii. Jednak Thomasowi ta nadprzyrodzona atmosfera wcale się nie udzielała. Nie miał ochoty na flirty czy też dowcipne komentarze i Marta to wyczuwała. Bardzo lubił wyjazdy na wieś i chętnie tu przyjeżdżał, by odetchnąć od miejskiego zamieszania i pobyć z ulubioną koleżanką z pracy. Tym razem także chciał być tylko z nią. Pragnął poradzić się jej i uspokoić.

Kiedy weszli do domu, Thomas zwyczajem stałego bywalca rozgościł się na kanapie w salonie. Na kominku dopalało się kilka świec, które dodawały temu miejscu uroku. Marta tymczasem krzątała się przez chwilę w kuchni. Mężczyzna, półleżąc, starał się jakoś odprężyć. Nie było to łatwe. Zastanawiał się przez chwilę, dlaczego tak dotknęła go wiadomość o tej śmierci. Próbował wmówić sobie, że to przecież nic takiego. Ludzie rodzą się i umierają. To normalna kolej rzeczy. Normalna, ale nie tym razem, nie dla Thomasa. Rozłożył się wygodnie na kanapie, zamykając oczy. Wydawało mu się, że to wszystko jest jakąś dramatyczną pomyłką. Jutro obudzę się i wszystko będzie jak dawniej – pomyślał.

Leżąc tak w zamyśleniu, przysnął. Było mu ciepło i przyjemnie. Przebudził się w chwili, kiedy poczuł, jak Marta starannie okrywa go kocem, ostrożnie dotyka jego włosów i całuje w czoło. Otworzył oczy i spojrzał na nią. W wyrazie jej twarzy dostrzegł zatroskanie... a może nie tylko to? Nic jednak nie powiedział, tylko ujął dłoń dziewczyny i czule przyłożył ją do ust, odwzajemniając jej serdeczny gest. Objął ją swoimi silnymi dłońmi, a ona bez słowa sprzeciwu przylgnęła do niego, tak jakby od dawna na tę chwilę czekała. Potem ujął rękoma jej twarz, zbliżył jej usta do swoich i delikatnie pocałował. Przyciągnął Martę bliżej siebie i powoli zaczął rozpinać guziki jej bluzki. Kiedy dotknął jej nagich, kształtnych piersi, poczuł, jak wzbiera w nim pożądanie. Wyglądało to tak, jakby oboje pozwolili, aby dotychczas tłumiona, wzajemna ekscytacja znalazła nagle ujście właśnie tej nocy. Thomas bardzo pragnął Marty, co starał się jej za wszelką cenę pokazać, a ona z rozkoszą poddawała się jego pieszczotom. W pewnym momencie, kiedy zsunął się niżej, pieszcząc półnagie ciało dziewczyny, ta spojrzała na niego swoim wyzywającym wzrokiem i nagle coś w niej pękło. Zrozumiała, że to wszystko dzieje się za szybko. Pomimo że całe zajście trwało zaledwie kilka minut, poczuła się winna, że wykorzystała słabość kolegi. Odsunęła się i zaczęła powoli zapinać bluzkę, podczas gdy mężczyzna wciąż jeszcze obdarowywał ją czułymi pocałunkami. Wstała z kanapy i odwróciła się na chwilę, opierając dłońmi o kominek.

– Ale dlaczego... – usłyszała zaskoczony głos Thomasa.

– To moja wina. To ja cię sprowokowałam, choć nie powinnam. Przepraszam.

– Byłaś wspaniała. Ja... koch...

– Przepraszam, nie mogę. Jeszcze nie teraz...

– Dawno chciałem ci powiedzieć, że... że no wiesz...

– Tak, domyślałam się tego...

Marta zaproponowała w końcu, aby się czegoś napili. Nalała do szklanki porządną porcję ginu i podała go Thomasowi, który przez moment wpatrywał się w bezbarwny, klarowny napój alkoholowy. Jednym haustem opróżnił szklankę do dna, prosząc o kolejną dawkę trunku. Tymczasem dziewczyna, siedząc tuż obok w milczeniu, patrzyła na niego i rozmyślała nad tym, co się przed chwilą zdarzyło. Czuła się winna, że pozwoliła chłopakowi na tę odrobinę rozkoszy, dzieląc się z nim swoją intymnością. Ale chyba od dawna tego pragnęła...

– Właściwie masz rację... Porozmawiajmy – odezwał się w końcu Thomas.

– Powiesz mi w końcu, co się dzieje? – zapytała przyjaciółka. – Kiedy do mnie dzwoniłeś, byłeś jakiś taki dziwny, obcy. Przestraszyłam się.

– Co się dzieje? Hm... Sam chyba dobrze nie wiem. Muszę na kilka dni wyjechać do Frankfurtu.

– Do Frankfurtu? Ale po co? – dopytywała się Marta. – A co z pracą, domem? Co z... nami?

– Muszę tam jechać. Zadzwoniła dziś do mnie jakaś Kathy Brück z kancelarii adwokackiej – tłumaczył Thomas. – Podobno w dziwnych okolicznościach zmarła hrabina Eleonora von Albertstein. No wiesz... ta starsza pani, którą ostatni raz odwiedziłem pięć lat temu, przyjaciółka mojej rodziny.

– Ach, hrabina Albertstein... – powtórzyła Marta. – No dobrze... Ona zmarła, ty byłeś z nią związany, ale co to wszystko znaczy?

– Ta adwokat powiedziała mi, że zmarła pozostawiła jakiś tajemniczy list, który może zmienić w moim życiu wszystko.

– Zmienić wszystko? O co tu chodzi?

– Nie wiem. Ja też chciałem się tego od niej dowiedzieć, ale stwierdziła, że muszę koniecznie przyjechać, że to pilne i takie tam – odparł Thomas. – Najbardziej jednak martwi mnie, że stało się to tak nagle i że nie była to bynajmniej śmierć naturalna. A przecież jeszcze dziś przed południem z nią rozmawiałem...

– Tak, pamiętam. Mówiłeś mi w redakcji, że umówiliście się na Boże Narodzenie. Ona tak się tym cieszyła, to było dla niej takie ważne. Zdaje się, że chciała ci coś dać lub powierzyć.

Thomas przytaknął i powoli spuścił głowę. Zakrył twarz rękoma, a kilka łez popłynęło mu po policzkach.

– Chyba nikogo w życiu nie było mi tak szkoda jak Eleonory... To była taka ciepła i serdeczna kobieta.

Marta przysiadła się bliżej, objęła przyjaciela i przytuliła go mocno do siebie. Nie wiedziała, co ma mu powiedzieć ani czego od niej oczekiwał, a tym bardziej jak mogła mu pomóc. Wiedziała tylko jedno – że bardzo jej teraz potrzebował.

– Muszę tam jechać, ale co będzie dalej? To jakaś dziwna sytuacja.

Spędzili całą noc na kanapie w salonie, długo rozmawiając. W końcu oboje przysnęli. Thomas śnił o namiętnym zbliżeniu z Martą, o Eleonorze, jej przyjaźni, niezwykłej dobroci oraz majętności. Hrabina pochodziła z bardzo starej niemieckiej rodziny szlacheckiej. Była bogata, ale nie skąpa. Zawsze przychodziła mu z pomocą, kiedy tego potrzebował. To dzięki niej Thomas skończył studia dziennikarskie we Frankfurcie, by potem wrócić do rodzinnego miasta, kupić mieszkanie i zacząć pracę w jednej z czołowych lokalnych gazet. Pomogła mu spojrzeć na życie z innej perspektywy i odnaleźć właściwą drogę. Wcale nie było to łatwe, ale się udało. Pieniądze i wpływy kobiety, w połączeniu z jej wrodzoną dobrocią, otwierały każde drzwi. Thomas wiedział o tym, ale nie wykorzystywał tego. Nie chciał, by Eleonora myślała, że oprócz przyjaźni zależy mu na majątku. Cenił sobie jej wsparcie, ale wolał być niezależny. W redakcji okazał się nieoceniony w relacjach z władzami, ale nie tylko. Znał różne możliwości dotarcia do informacji i często stosował tę wiedzę w praktyce. Potem poznał Martę, z którą się zaprzyjaźnił, co zaowocowało tym, że stała się dla niego kimś szczególnym. Eleonora popierała tę znajomość, widząc, jak chłopak rozkwita pod wpływem młodej, niezwykle pięknej dziennikarki. Starała się zachęcić trzydziestolatka do bardziej odważnych kroków, ale on uparcie twierdził, że nie jest jeszcze gotowy i że łączy go z Martą tylko przyjaźń. Aż do dzisiejszej nocy, która wyzwoliła skrywaną namiętność... Nie przyznawał się, że dręczą go demony przeszłości, z którymi nie potrafił sobie poradzić, że brakowało mu kobiecego pierwiastka w życiu. Teraz czuł, że otwierają się przed nim nowe drzwi, choć nie miał pojęcia, co czeka go za ich progiem. Śnił o Frankfurcie, tajemniczym liście Eleonory i nieznanej przyszłości...

2

Frankfurt nad Menem – największe skupisko drapaczy chmur w Europie i siedziba światowej finansjery. Taki europejski Nowy Jork, w którym nowoczesna zabudowa nieodparcie kojarzy się z amerykańskim Manhattanem. Jego mieszkańcy ciągle za czymś biegną i czegoś szukają, niezależnie od pory dnia i nocy. Oddają się namiętnie pracy, rozkoszom kulturalnym, ale nie tylko. Świat rozrywki, o wielu barwach i odcieniach, krzyżuje się tu z krainą mamony, tworząc jedną, pasjonującą mozaikę. Mimo wszystko jest to miasto o wielkiej historii, znane jako dawna stolica koronacyjna niemieckich cesarzy, siedziba sejmów Rzeszy oraz kolebka prężnie rozwijającej się kultury, w której tworzył Goethe. Współczesność Frankfurtu stanowi więc sumę wszystkich poprzednich epok, doświadczeń wielu pokoleń i ich zmagań w kręgu polityki i gospodarki, pozostawiających swoje piętno na jego mieszkańcach. Całości dopełnia niepowtarzalny widok gór Taunus i wdzierającej się w sam środek miasta rzeki Men; jest to krajobraz, jakiego w innych miejscach na świecie po prostu nie sposób znaleźć.

Tego poranka Frankfurt wyglądał wyjątkowo bajecznie. Pomału gasły wielobarwne neony oraz kończyły się weekendowe imprezy... Wschód słońca z wolna przywracał właściwe proporcje życiu, które na nowo zaczęło rozbrzmiewać w określonym porządku. Gdzieś w oddali dało się jeszcze słyszeć syreny karetek pogotowia czy też policyjnych radiowozów. Była za kwadrans siódma. Kathy Brück zmierzała właśnie do swojej firmy, która znajdowała się kilka przecznic od jej domu. Skręciła na rogu Bettina i Rhein-Strasse, by otworzyć biuro i rozpocząć kolejny tydzień pracy kancelarii adwokackiej Brück & Kunick. Dzień zapowiadał się raczej standardowo, co wcale jej nie napawało szczególnym optymizmem. Klientów najczęściej wyłapywali inni. Dla Kathy i jej przyjaciela Willego Kunicka pozostawały stałe zlecenia. Głównie zajmowali się prowadzeniem spraw spadkowych i testamentami. Żadnych afer, żadnych spraw kryminalnych. Oczywiście poza sprawą Eleonory hrabiny von Albertstein. Jej nagła śmierć oznaczała odpływ znacznej sumy pieniędzy i stratę poważanego w towarzystwie klienta. Kathy jednak nie zamierzała roztkliwiać się nad tym deficytem, tylko zająć się realizacją swojego priorytetowego zadania, czyli – zgodnie z dewizą firmy – profesjonalnym, bezzwłocznym i w pełni uczciwym zadośćuczynieniem ostatniej woli zmarłej klientki.

Kathy była energiczną, czterdziestopięcioletnią kobietą, o długich, upiętych w kok kruczoczarnych włosach, zgrabnej figurze, radosnej, okrągłej twarzy z rozbieganymi bystrymi oczami i malutkim nosie, który ozdabiały okulary w masywnej, ciemnej rogowej oprawie. Prezentowała się zawsze jako osoba stanowcza, nielubiąca głupich żartów i ceniąca sobie porządek nie tylko wokół siebie, ale i w dokumentach. Z Frankfurtem związała się ponad dwadzieścia lat temu, kiedy zaczynała studia na wydziale prawa. Tutaj poznała doktora Willego Kunicka, swojego przyszłego wspólnika, którego wykładami z prawa spadkowego i skarbowego tak się zachwyciła, że po zakończeniu studiów postanowiła ubiegać się o etat w jego kancelarii. Prowadził ją wówczas przy Berliner-Strasse 76 i była to najbardziej znana kancelaria w całej Hesji. Głównie dlatego, że obsługiwała najbogatszych mieszkańców Frankfurtu, ale również z powodu pełnego profesjonalizmu oraz nieszablonowego podejścia do klienta, czym wzbudzała ogromne zaufanie. Kathy nie od razu została nagrodzona wspólnym szyldem i współwłaścicielskimi prawami. Stało się to dopiero wtedy, gdy udało jej się pogrążyć pewną

bardzo wpływową korporację, której rada nadzorcza dopuściła się malwersacji finansowych i prania brudnych pieniędzy. To zrobiło tak ogromne wrażenie na jej szefie, że czyniąc z niej wspólnika, kazał, aby nazwisko Brück widniało na szyldzie jako pierwsze.

Tego ranka Kathy chciała jak najszybciej przygotować wszystkie dokumenty i omówić szczegółowo całą procedurę ze swoim wspólnikiem. A ponieważ po przeanalizowaniu akt stwierdziła, że wykonanie testamentu Eleonory von Albertstein może napotkać na nieoczekiwane trudności, których raczej wolałaby uniknąć, postanowiła się przygotować lepiej niż kiedykolwiek. Zamierzała także skontaktować się z komisarzem Andreasem Schultzem, który prowadził dochodzenie w sprawie dziwnej śmierci starszej pani, aby zebrać informacje dla rodziny i spadkobierców. Co prawda jeszcze za życia kobieta wspominała o swoich decyzjach, ale w ostatnich tygodniach zaktualizowała dokumenty, instruując zarazem, jak należy postąpić w wypadku jej odejścia. Dla prawników hrabiny nie było to jakieś wielkie zaskoczenie, gdyż takie sytuacje zdarzały się dość często. Nie przejmowali się tym aż do minionej soboty.

Kathy podeszła do frontowych drzwi przy Rhein- -Strasse 45. Wyciągnęła z torebki plik kluczy i próbowała odnaleźć ten właściwy. Przekręciła klucz w zamku i już miała wejść do biura, gdy nagle zauważyła wystającą spod progu niewielką białą kopertę. Schyliła się i podniosła ją, wkładając następnie do czarnej skórzanej teczki z dokumentami, którą trzymała w lewej ręce. Kiedy znalazła się przy swoim biurku, zajęła się przygotowaniem solidnej czarnej parzonej kawy w nadziei, że ta postawi ją na nogi, zapominając o znalezisku. Nie zdążyła się dobrze zakręcić, a we drzwiach stał już Willi Kunick.

– Cześć, Kathy. A ty co tak wcześnie dziś zaczynasz pracę? – zapytał wspólnik, zaskoczony widokiem rozkoszującej się kawą prawniczki. – Czyżbyś nie mogła spać? A może brak ci odpowiedniej „przytulanki”?

– Właściwie o to samo mogłabym zapytać ciebie – odparowała Kathy, która nie znosiła tych chwil, kiedy Willi pozwalał sobie z niej tak ostro żartować.

– Wiesz, że czeka nas dziś dużo pracy? Od soboty o tym myślę...

– Tak, ta sprawa z hrabiną von Albertstein... Przejrzałam w domu kilka jej dokumentów i coś mi mówi, że może być ciekawie.

– Sądzisz, że to jakaś śmierdząca sprawa? – zapytał z zaciekawieniem Willi.

– Nie nazwałabym tego w ten sposób, ale jestem niemal pewna, że życie napisało całkiem nietypowy scenariusz. Generalnie jest w porządku. Może więc po prostu się mylę – oznajmiła adwokat.

Willi stanął przy biurku Kathy i patrzył na nią z zaciekawieniem.

– W sobotę wieczorem dzwoniłam do niejakiego Thomasa Michela. No wiesz, tego, którego Eleonora kazała nam powiadomić po swojej śmierci – dodała. – I wiesz co? Zaskoczyła mnie jego reakcja. Zachowywał się jak ktoś, komu zmarła, no nie wiem... no jakby zmarła mu jakaś naprawdę bliska osoba.

Willi zaczął pobieżnie przeglądać dokumenty od hrabiny Eleonory von Albertstein. Jego uwagę zwróciła niewielka biała koperta. Na tle poszarzałych kartek, rękopisów i urzędowych adnotacji bardzo się wyróżniała.

– A to co? – zapytał Willi.

– Znalazłam to dzisiaj pod drzwiami. Nie zdążyłam jej otworzyć... Właściwie to nawet o niej zapomniałam. – Kathy wzruszyła ramionami i powróciła do delektowania się swoją poranną kawą. – Może chcesz filiżankę czarnej? Dobrze ci zrobi z samego rana.

– Nie, dziękuję. Może później – powiedział Willi, biorąc do ręki kopertę, na której odwrocie zauważył odciśnięty symbol. Przypominał coś w rodzaju monogramu lub logotypu – jakiś znak rozpoznawczy. Nie był to nadruk, więc Kathy mogła tego nie zauważyć. On jednak zaczął oglądać kopertę ze wszystkich stron, próbując rozszyfrować jego znaczenie.

– Może byś w końcu otworzył tę kopertę, a nie gapił się na nią jak w święty obrazek i przekładał z ręki do ręki – strofowała go wspólniczka, ciesząc się w duchu, że udało jej się odgryźć za uszczypliwe poranne powitanie. – Nie bój się, to pewnie nic strasznego. Może jakiś list miłosny lub czek z całkiem interesującą kwotą – dodała, śmiejąc się zaczepnie.

– Okej, w porządku. Już otwieram, skoro jesteś taka ciekawa – odpowiedział.

Willi wziął z biurka nóż do listów, zanurzył końcówkę wewnątrz koperty i powoli, delikatnie przejechał od jednego brzegu do drugiego, aby ją otworzyć. Wewnątrz znajdowała się niewielka biała kartka, na której widniało zaledwie pięć słów: „STRZEŻ SIĘ: ŚMIERĆ ZA ROGIEM", złożonych z gazetowych wycinków. Willi pobladł i opadł na fotel obok swojego biurka. Nie uszło to oczywiście uwagi wspólniczki. Ona jednak znowu była przekonana, że to kolejny dowcip w jego wykonaniu, i zajęła się swoimi sprawami.

– Czy naprawdę znalazłaś to pod drzwiami naszej kancelarii? – dopytywał się niespokojnie Willi. – Może chcesz mnie nastraszyć, odgryźć się za coś? To jakiś kawał czy co?

– Ej, ale o co ci znowu chodzi? Co tam jest napisane? Chyba nie myślisz, że mam coś z tym wspólnego? – żachnęła się Kathy.

– Tu jest napisane „Strzeż się: śmierć za rogiem", a na kopercie widnieje odcisk z monogramem „AASCHG" ozdobiony dziwacznymi owalami, kwiatkami czy czymś w tym stylu – odparł Willi, opisując wspólniczce zawartość zagadkowej korespondencji. – To mi wygląda na ostrzeżenie, ale przed czym czy raczej przed kim mam się strzec? A może mam z kimś na pieńku? – dodał po chwili.

– Nie wygłupiaj się. Najlepiej wrzuć to świństwo do niszczarki... Jakieś dzieciaki się zabawiają, a ty się przejmujesz. To po prostu śmieć, który wiatr przyniósł pod drzwi kancelarii – prawniczka lekceważąco machnęła ręką. – Albo nie! Dziś ma przecież przyjść do nas komisarz Schultz z policji kryminalnej. Skoro obawiasz się, że to coś do nas, to niech on to zobaczy i sam oceni – skwitowała całe zajście panna Brück.

Po tych dość obcesowych słowach Willi Kunick posłusznie włożył kartkę z tajemniczym tekstem do koperty i odłożył ją na bok. Zbliżała się powoli godzina dziewiąta. Oboje więc postanowili zabrać się ostro do roboty, by zdążyć przejrzeć dokumenty i przedyskutować najistotniejsze kwestie jeszcze przed przyjściem komisarza. Musieli także uporządkować pozostałe papiery należące do zmarłej, o co hrabina usilnie prosiła jeszcze za życia. Chciała być w porządku wobec wszystkich, także jeśli chodzi o wszelkie kwestie formalne, które mogłyby pozostać do rozwiązania. I w tym miała pomóc właśnie kancelaria Brück & Kunick. Zadanie okazało się trudne, gdyż do spotkania ze spadkobiercami pozostało zaledwie kilka dni, a spraw prowadzonych przez Eleonorę było wcale niemało. Dwa kartony z rachunkami, kilkadziesiąt listów, poręczenia, darowizny i czego dusza zapragnie. Jednak to, co najważniejsze, zgodnie z wolą starszej kobiety, miało rozstrzygnąć się w ciągu miesiąca od jej śmierci. Chodziło przede wszystkim o to, aby ściągnąć do Frankfurtu wszystkich, których wymieniła w instrukcji, ale też o to, aby mieć czas na przeprowadzenie niezbędnych procedur.

3

Z Zakładu Medycyny Sądowej na obrzeżach Frankfurtu do swojego biura przy Gutleutstrasse 112, nieopodal Dworca Głównego, komisarz Andreas Schultz wrócił późnym niedzielnym popołudniem. Spędził tam dobrych kilka godzin, próbując się czegoś dowiedzieć o nagłej śmierci Eleonory von Albertstein. To właśnie jemu przełożeni zlecili zadanie zbadania sprawy. Przede wszystkim dlatego, że był człowiekiem równie stanowczym, co spostrzegawczym. Chciano bowiem, aby tak delikatną sprawę jak tajemniczy zgon hrabiny wyjaśnić jak najprędzej, bez rozgłosu i wzbudzania niezdrowej sensacji. Z prosektorium przyjechał bez żadnego punktu zaczepienia, a teraz musiał przygotować raport, który powinien znaleźć się najpóźniej w poniedziałek rano na biurku szefa frankfurckiej policji kryminalnej Alexa Rittera.

Zaraz po informacji o śmierci hrabiny i przejęciu sprawy udał się swoim służbowym czarnym volkswagenem za miasto, do rezydencji, w której we wczesne sobotnie popołudnie znaleziono martwe ciało starszej kobiety. Widok, jaki zastał, nie należał do tych, które chciałoby się oglądać w środku weekendu, ale taka była specyfika jego pracy i w zasadzie nawet zdążył się już do tego przyzwyczaić.

Aby wjechać na teren kilkunastohektarowej posiadłości hrabiów von Albertstein, trzeba było minąć bramę, imitującą swego rodzaju łuk triumfalny, którą po obu stronach ozdabiały dwumetrowe posągi gryfów. Miały one nie tyle służyć za ozdobę tego miejsca, ile po prostu odstraszać nieproszonych gości, szczególnie nocą. Do zamku prowadziła długa, gęsta i bardzo cienista aleja dębów. Ich długowieczność rozpoznawało się po przysadzistych pniach i grubych gałęziach poskręcanych w wężowym uścisku. W gęstwinie tej panował niemiłosierny zaduch, nie dawało się odczuć nawet słabego powiewu świeżego powietrza. Wszystko tu jakby zamarło. Kiedy minął aleję, wyłonił się przed nim szeroki podjazd wyłożony granitowymi płytami, a tuż za nim wielkie kamienne schody z czerwonego piaskowca prowadzące wprost do zamku, który zaskakiwał swoją potężną bryłą, dwoma strzelistymi wieżyczkami, późnogotyckimi detalami w obramowaniach okiennych oraz rzygaczami w kształcie maszkaronów, przypominającymi demoniczne stwory rodem z horrorów o hrabim Drakuli.

Kiedy Andreas Schultz wchodził do zamku, w wielkich ciemnobrązowych, misternie rzeźbionych drzwiach przywitał go miejscowy funkcjonariusz, sierżant Heinz Müller, który przybył na miejsce pierwszy. Właśnie zabezpieczano ślady.

– Witam! Komisarz Schultz? Powiedziano mi, że to pana mają przysłać do tej sprawy – zagadnął nowo przybyłego Müller, a komisarz przytaknął, podając rękę na powitanie. – To dziwna sprawa, bardzo dziwna.

– Przekonamy się – odparł Schultz.

Hol zamku okazał się przeogromny. Po prostu powalał na kolana. Posadzka była wyłożona wielobarwnymi marmurowymi płytami, które na wprost szerokich, ciemnych

dębowych schodów tworzyły wspaniały wzór. Pomieszczenie nie należało do najjaśniejszych. Powietrze przenikała woń woskowych świec, które nigdy nie wyszły tu z użycia mimo wprowadzonej do zamku przed laty nowoczesności. Wrażenie posępności potęgowała purpurowa, aksamitna tapeta zdobiąca ściany, kilka arrasów z mitycznymi scenami walk tytanów, wysoki na trzy metry portret założyciela rodu oraz wszechobecne bogato rzeźbione boazerie z wyobrażeniami lwów, smoków i innych stworów. W głębi po lewej stronie znajdował się wielki kominek, w którego otworze spokojnie mógłby zmieścić się dorosły, dobrze zbudowany mężczyzna. Nad nim poroże jelenia i odrobinę zakurzona kolekcja książęcej broni. Po przeciwnej stronie stała lśniąca rycerska zbroja – zapewne pamiątka po jednym z przodków. Pod ścianą, na której wisiał wielki obraz przedstawiający założyciela rodu, znajdował się kunsztownie zdobiony stolik, sofa i dwa fotele, na których teraz siedział jakiś starszy człowiek i paru rozmawiających z nim policjantów. Na prawo od wejścia znajdował się korytarz prowadzący do dawno nieużywanej sali balowej i kilku pomieszczeń reprezentacyjnych, w których kiedyś podejmowano zacnych gości.

Komisarz Schultz rozejrzał się nieco, a potem razem z Heinzem Müllerem wszedł po szerokich schodach na piętro tego wielkiego starego domu, który zapewne pamiętał jeszcze czasy wojen napoleońskich, a kto wie, czy nie znacznie wcześniejsze.

– Czy może mi pan powiedzieć, co się właściwie stało?

– Tak jak powiedziałem, to dziwna sprawa. Wezwał nas lokaj, Johann Baum. Był do tego stopnia przerażony, że kiedy przyjechaliśmy, najpierw trudno było go znaleźć, a potem cokolwiek z niego wydusić – opowiadał powoli Müller. – W końcu zaprowadził nas na pierwsze piętro, do biblioteki. Tam znaleźliśmy martwe ciało hrabiny. Wyglądało to makabrycznie...

– Hm... makabrycznie? Mówi pan, że to było straszne. Dlaczego? – dopytywał się Schultz, chcąc uzyskać szczegółowy obraz zdarzenia.

– Właściwie byliśmy zaskoczeni wezwaniem tutaj. Pani Eleonora nigdy na swoje zdrowie nie narzekała. Nie dalej jak wczoraj odwiedził ją lekarz, tak jak zwykł to już robić od lat, i on twierdzi, że nie miała żadnych problemów zdrowotnych, a to dzięki odpowiedniej diecie, regularnej gimnastyce oraz różnym zajęciom oraz sportowym pasjom.

– No dobra, to w takim razie jak zmarła?

– Tego właśnie nie wiemy – odparł Müller, rozkładając ręce.

Wchodząc na pierwsze piętro, skręcili w prawo, minęli kolejne schody prowadzące wyżej oraz kilkoro drzwi do zamkowych komnat. Przechodząc przez korytarz, pozostawili za sobą ściany wyłożone purpurową tapetą z ciężkiego aksamitnego materiału, a na nich zawieszone wielkie portrety w grubych złoconych ramach przedstawiające rycerzy, hrabiów i hrabiny, ale także sceny rodzajowe pędzla wielu mniej lub bardziej znanych malarzy, jak Hans Holbein Młodszy czy Diego Velázquez. Atmosfera domu była raczej posępna – najpierw te ciemne dębowe schody z dziwacznymi balustradami, a nad nimi złowieszczy witraż z aniołem dzierżącym w ręce miecz i lewą nogą przytrzymującym bestię, czarna boazeria i purpurowe obicia. To wszystko razem wzięte przyprawiało o poważny zawrót głowy.

Strasznie ponuro tutaj – pomyślał komisarz Schultz, a po jego plecach nagle przebiegł nieprzyjemny dreszcz. Czuł na sobie wzrok zerkających nań z witraży i drewnianych rzeźbień szkaradnych postaci, od których aż nadto się w tym miejscu roiło.

Obaj policjanci weszli do biblioteki. Było tu jeszcze bardziej posępnie i przytłaczająco. W ogromnym piętrowym pomieszczeniu mieścił się zbiór kilku tysięcy ksiąg, którymi nie pogardziłaby nawet Biblioteka Watykańska. Z lewej strony od wejścia ku wyższej partii komnaty, która tonęła w mroku, prowadziły zwijające się w spiralę schody. Rzędy wysokich na pięć metrów regałów z książkami oprawionymi w skórę ze złotymi tłoczeniami wynurzały się niemal zewsząd. Na środku stał potężny globus z niebieskiego kryształu oraz dwa gigantyczne kandelabry, za którymi przy wielkim witrażowym oknie stało długie, trzymetrowe, wyłożone zielonym suknem biurko z ledwie palącą się na nim stylową lampą. Stanowiła ona, oprócz kilku niewielkich kinkietów, niemal jedyne źródło światła. W pomieszczeniu dało się również dostrzec zaaranżowany, całkiem klimatyczny kącik z inkrustowanym, okrągłym osiemnastowiecznym stolikiem, trzema dopasowanymi fotelami z zielonym, nieco już wytartym, aksamitnym obiciem oraz dobrze zaopatrzonym barkiem, który skrywał najlepsze trunki w regionie. Ogólnie w bibliotece panował chaos, w którym trudno było cokolwiek więcej zobaczyć. Porozrzucane kartki papieru, jakieś stare dokumenty, ryciny, książki, notatniki i wiele innych rzeczy. W najciemniejszym kącie kręcili się policyjni technicy. Błyskały flesze aparatów i światła latarek. Ktoś notował spostrzeżenia, które zaraz przekazywał sierżantowi.

– Widzi pan, jaki tu bajzel? – zagadnął tenże komisarza Schultza. – Ogarnięcie tego wszystkiego zajmie nam dobrych kilka godzin.

Tymczasem Andreas Schultz z uwagą rozglądał się po pomieszczeniu, podnosił niektóre przedmioty, badając je z każdej strony i zastanawiając się przy tym, co właściwie się tutaj wydarzyło. Jedno było pewne. Ktoś bardzo narozrabiał i on zamierzał odnaleźć tego kogoś.

– A ciało hrabiny? Gdzie ją znaleźliście? – zapytał.

– Tam gdzie krzątają się nasi ludzie – wskazał miejsce po prawej stronie od drzwi wejściowych do biblioteki, przy wielkim starym regale. – Ciało Eleonory znaleźliśmy tutaj, przy tej ścianie, wśród kilkunastu rozrzuconych, starych, ręcznie zapisanych woluminów. Wyglądało tak, jakby ktoś ją pchnął z nadludzką siłą w tę ścianę i przytrzymał. O, tutaj jest widoczny ślad na tapecie – kontynuował policjant, wskazując na naddartą część ściennej dekoracji. – Potem musiała chyba opaść bezwładnie. Miała struchlały wyraz twarzy. No i jeszcze ten makabryczny wytrzeszcz oczu.

– Czyli że miała mocno rozszerzone źrenice? – dopytywał się komisarz.

– Mocno rozszerzone to mało powiedziane. Ona jakby zmarła z przerażenia. Przynajmniej tak to na pierwszy rzut oka wygląda.

– Czy nic nie zginęło z książek, dokumentów i tym podobnych?

– Lokaj twierdzi, że nie. Najważniejsze i tak zostały zdeponowane w kancelarii

adwokackiej Brück & Kunick. Chociaż po tym wszystkim, co tu widzę, śmiem przypuszczać, że chodzi tutaj o coś całkiem innego.

– No tak, a ten lokaj? Nie wie, jak to się stało? Może ktoś był u hrabiny, wywiązała się ostra kłótnia, która skończyła się atakiem agresji? Napastnik rzucił ją o ścianę i zwiał, zanim ten się zorientował i wezwał policję? – dedukował na głos Schultz.

– Baum może i coś widział, ale jest w ogromnym szoku – odpowiedział Heinz Müller. – Twierdzi jednak, że w zamku nie było nikogo. Od tygodni przebywali w nim tylko on i Eleonora. Dopiero na Boże Narodzenie miał się zjawić przyjaciel ze wschodnich Niemiec. Lokaj twierdzi, że usłyszał potężny odgłos jakiegoś upadającego przedmiotu, szybko pobiegł na piętro i zastał swoją chlebodawczynię martwą – doprecyzował Müller.

– Coś mi tu nie pasuje – zastanawiał się głośno Schultz. – Albo Baum kłamie, albo to jakaś grubsza sprawa. Może mi pan powiedzieć, gdzie on mieszka?

– Z tego, co ustaliliśmy, hrabina mieszkała tutaj sama. Nie miała męża ani dzieci. Z krewnych żyje tylko córka jej brata Alfreda, niejaka Angela von Schweinburg und Gotha, ale ona była tutaj jakieś piętnaście lat temu, na jego pogrzebie, i więcej jej nie widziano.

– A co z lokajem? – niecierpliwił się komisarz Schultz.

– Lokaj tutaj nie mieszka – odparł w końcu sierżant. – Zajmuje niewielkie mieszkanie w domku dla gości, który znajduje się po drugiej stronie ogrodu od strony południowej.

Schultz podejrzewał, że w śmierć hrabiny może być zamieszany nawet sam lokaj. Jednak po chwili odrzucił tę ewentualność. Dotarło do niego, że ów służący to starszy pan o dość mizernej posturze i niskim wzroście, co na pierwszy rzut oka wykluczało go z grona podejrzanych. W rzeczywistości jednak nie przesądzało to jeszcze o niczym. Wiedział aż za dobrze, że pod wpływem emocji ludzie zdolni są do takich wyczynów, na jakie w normalnym życiu nigdy by się nie zdecydowali. Poza tym w grę wchodzi tutaj też motyw, który w wypadku lokaja Bauma wydawał się raczej niejasny. Trudno było przypuszczać, że zabił swoją chlebodawczynię...

Tymczasem w ciągu paru godzin udało im się wykonać dokumentację kryminalistyczną i zabezpieczyć dowody. Na koniec uporządkowano bibliotekę, niektóre dokumenty przekazano do analizy, by móc wykluczyć wszelkie ewentualności. Przeszukano także każdy zakątek tej ponurej komnaty, lecz nie znaleziono żadnych śladów obecności osób trzecich. Andreas Schultz raz jeszcze rozejrzał się, zwłaszcza w miejscu, gdzie wciąż znajdowało się martwe ciało hrabiny. Odczuwał tutaj mroczną aurę i w jego umyśle zrodził się nieokreślony niepokój. Włączył małą latarkę, którą zawsze nosił przy sobie, i podświetlił kilka miejsc w nadziei, że uda mu się wyłapać coś, co przeoczyli technicy i medycy. Zauważył, że w miejscu, gdzie leżała denatka, zalegała lepka wydzielina. Nie była to jednak krew, pot ani jakikolwiek fizjologiczny wyciek. Nie miała ani zapachu, ani koloru.

– Co to jest, do cholery? Pachnie jak lawenda... – mruknął do siebie komisarz i natychmiast kazał lekarzowi sądowemu pobrać próbkę do analizy toksykologicznej.

Następnie przejechał strumieniem światła po regale i zauważył, że był to jedyny tego typu mebel, na którym stare książki piętrzyły się w kompletnym nieładzie. Nie zostały ułożone alfabetycznie czy tematycznie. Po prostu leżały porozrzucane, co od razu zastanowiło detektywa. Dziwne. Na innych panuje idealny porządek, rzucający się aż w oczy od samych drzwi, a tutaj nie – pomyślał. O co tu chodzi? Tak. Tu musiało być coś wartościowego, co kosztowało Eleonorę życie.

Komisarz podszedł do grupy policjantów zdających Müllerowi sprawę z oględzin. Przysłuchiwał im się przez chwilę z uwagą, po czym przerwał i poprosił sierżanta na stronę.

– Czy może się pan dowiedzieć, co konkretnie znajdowało się na tym regale? – zapytał Schultz. – Chyba brakuje na nim kilku rzeczy, a poza tym książki znajdujące się tutaj są w kompletnym nieładzie. Wydaje mi się, że to może mieć coś wspólnego ze śmiercią hrabiny.

– Nie ma sprawy. Zaraz zapytam lokaja, chyba powinien wiedzieć – przytaknął i pobiegł na dół do holu, aby spróbować coś jeszcze wyciągnąć z Johanna Bauma.

Lokaj w końcu doszedł do siebie. Siedział wygodnie na sofie i popijał gorącą herbatę z melisy w obecności dwóch policjantów. Wyglądał na przybitego, ale nie na tyle, by nie mógł udzielić kilku odpowiedzi. Heinz Müller postanowił wykorzystać ten przebłysk świadomości i zadać mu kilka pytań.

– Widzę, panie Baum, że już doszedł pan do siebie.

– No, chyba tak. Ale bardzo chciałbym, aby to się już skończyło... Hm... Jestem dość zmęczony i wolałbym już iść do siebie. Nie chcę tu być ani chwili dłużej. Nie po tym, co widziałem tam, na górze – odparł lokaj.

– Twierdzi pan, że coś mogłoby się jeszcze wydarzyć? Dobrze mi się zdaje? Jednak coś pan widział? – dopytywał się policjant.

– No cóż... Diabeł nie śpi. Ale to nie tak, jak pan myśli – bronił się staruszek, gdy spojrzał na stanowczą minę Müllera. – Ja... ja tylko widziałem, jak ona spadła i... miała taki nieludzki, taki straszliwy wyraz twarzy... jakby chciała krzyczeć, ale nie mogła... To było straszne... a potem... a potem... yyyy, potem nic. Boże, ona nie żyje... Co ja teraz zrobię? Dokąd pójdę? – wyjąkał lokaj i spuścił głowę, chowając ją w dłoniach. Wyglądało na to, że Baum nie do końca mówił prawdę. Policjant jednak udał, że nie zauważył tego, i zmienił temat.

– Może mi pan powiedzieć, jaki dział znajdował się na tym jedynym nieuporządkowanym regale, w miejscu, gdzie znaleźliśmy hrabinę?

– Ach... – westchnął Johann Baum, zastanawiając się przez chwilę. – Tam były zbiory... zbiory rodzinne.

– Zbiory rodzinne? – zdziwił się Müller, przekonany, że wszystko, co znajdowało się w zamku, można było tak najogólniej nazwać. W końcu była to rodowa rezydencja bardzo starej

niemieckiej szlachty, a nie jakiś tam ekskluzywny hotel.

– Tak, tak. Zbiory rodzinne. Po prostu książki, tak jak na pozostałych regałach – odparł speszony nieco służący. – Tylko nieco bardziej szczególne... No wie pan, najbardziej ulubione.

– Bardzo panu dziękuję – odparł Heinz Müller i szybko wyszedł z kuchni, by poinformować o efektach dochodzenia komisarza Schultza, który jeszcze tego wieczoru zamierzał udać się do Zakładu Medycyny Sądowej we Frankfurcie, dokąd miano przewieźć ciało Eleonory.

Tymczasem Andreas Schultz zdążył już poinformować o sytuacji kancelarię adwokacją Brück & Kunick, polecił rozpoczęcie procedur spadkowych zgodnie z życzeniem hrabiny i umówił się na poniedziałkowe popołudnie, by o tym porozmawiać i dowiedzieć się więcej o ewentualnych spadkobiercach.

Do Zakładu Medycyny Sądowej dojechał w ciągu pół godziny. Zaparkował swojego czarnego volkswagena przed budynkiem i szybkim krokiem udał się do prosektorium. Tam spotkał się z patologiem sądowym, doktor Jenny Renner, która poinformowała go, że wyniki badań będą znane dopiero w niedzielę po południu. Po dłuższym namyśle przedstawił jej swoje spostrzeżenia.

– Przyzna pani, że to raczej dziwny przypadek. Jak pani myśli, co mogło być powodem śmierci hrabiny von Albertstein? – zapytał komisarz. – Atak serca, jakieś nagłe poważne schorzenie mięśniowe? A może to było jednak otrucie?

– Nie wiem, trudno mi w tej chwili cokolwiek powiedzieć, bo nie mamy jeszcze badań toksykologicznych, a sekcję zwłok zaplanowaliśmy na jutro rano i dopiero po tych badaniach będę mogła udzielić panu jednoznacznej odpowiedzi – stwierdziła doktor Renner. – Właściwie to ma pan trochę racji. Takiego przypadku jeszcze nie miałam. Jednak nie można w tej chwili niczego wykluczyć. Poza tym, nawet jeśli byłoby to otrucie, to istnieje przecież cały szereg trucizn, których nie jesteśmy w stanie wykryć: glikozydy, niektóre kwasy i zasady – powiedziała ze śmiertelnie poważną miną.

Wymienili jeszcze kilka zdań, po czym komisarz pożegnał się z doktor Renner. Umówił się z nią, że przyjedzie w niedzielę około piętnastej. Sądził, że to będzie najlepsza pora, bo choć zależało mu na czasie, to jednak postanowił działać bez zbytniego pośpiechu. Chciał mieć kompletne dane, które następnie będzie musiał przedstawić w swoim raporcie. Przez chwilę zastanawiał się, dlaczego właściwie musi się zajmować tą sprawą. To przecież mógł być zwyczajny atak serca. Przypomniał sobie jednak, że lekarz odwiedzający zmarłą regularnie od ponad dwunastu lat utrzymywał, iż hrabina stanowiła wyjątkowy okaz zdrowia, co potwierdził również lokaj Johann Baum.

Schultz wyszedł z prosektorium, którego metaliczny kolor ścian mroził krew w żyłach, wsiadł do auta i odjechał do domu, by nabrać sił na kolejny dzień śledztwa. W drodze zastanawiał się nad tym, co powiedział Müllerowi lokaj. Był przekonany, że ten człowiek nie mówi wszystkiego i że zna przyczynę śmierci pracodawczyni. Wyczuwał w nim coś nienormalnego. Pamiętał jego spojrzenie, w którym dostrzegł tylko czerń, złość i coś

z przebiegłości starego lisa. Niepokoiło go to tak samo jak nieład książek na regale kontrastujący z resztą zbiorów i ta dziwna maź przy zwłokach. Myślał też o domku dla gości, w którym mieszkał Johann Baum, i postanowił zlecić jego rewizję. Zresztą cały ten zamek wraz z jego otoczeniem przypominał twierdzę rodem ze średniowiecza. Dziwne, że ktoś w ogóle mieszka w tak ponurym miejscu – pomyślał, dojeżdżając do domu. Dawno już powinno się cały ten moloch sprzedać i wyburzyć.

Noc minęła spokojnie. Jedyną rzeczą, jaka mu dokuczała, był silny wiatr i ulewny deszcz, który z impetem uderzał w szyby, co po tak upalnym dniu należało uznać za rzecz zbawienną.

Andreas Schultz obudził się dopiero około południa. Kiedy zorientował się, która jest godzina, zerwał się na równe nogi. Doprowadzenie się do porządku zajęło mu pół godziny, po czym wsiadł do swego czarnego volkswagena i pojechał na umówione spotkanie z Jenny Renner w prosektorium. Po drodze zajechał jeszcze w kilka miejsc, nie zatrzymując się nigdzie dłużej, niż to było konieczne. W końcu dotarł przed gmach Zakładu Medycyny Sądowej, parkując swoje auto dokładnie w tym samym miejscu, gdzie poprzedniego wieczoru.

– Dzień dobry, doktor Renner – powiedział, witając się z patolożką, którą spotkał na korytarzu. – Czy noc przyniosła nam coś nowego?

– Dzień dobry, panie komisarzu – odparła kobieta. – Muszę przyznać, że jesteśmy w kropce. Może przejdziemy do sali sekcyjnej. Chciałabym, aby mógł pan sam obejrzeć zwłoki i wyrobić sobie opinię.

Wiadomość o tym, że wciąż nic nie wiadomo, zaskoczyła policjanta. Był niemal pewien, że znajdzie się jakieś naturalne wytłumaczenie, ale w życiu widział już niejedno i starał się mieć umysł otwarty na każdą hipotezę. Jenny Renner otworzyła szufladę ze zwłokami hrabiny, która wydawała się teraz całkiem spokojna, pozbawiona tego wyrazu przerażenia, jaki widzieli oboje minionego wieczoru. Eleonora von Albertstein w chwili śmierci miała sześćdziesiąt dwa lata. Pojawiające się już z wolna pierwsze oznaki starości nie zniszczyły jeszcze całkowicie jej jędrnych, kobiecych kształtów. Pociągła twarz sprawiała wrażenie może nieco surowej, ale na pewno zadbanej. Długie ciemnoblond włosy – za życia upięte w warkocze i kok – teraz bezładnie leżały wzdłuż jej martwego ciała. Nawet po śmierci emanowała z niej szlachetność i prostota.

– Mieliśmy ogromny problem z wykonaniem niektórych badań, ale w końcu udało się – zaczęła doktor Renner. – Właściwie niewiele znaleźliśmy. Jedno jest pewne. Przy takim stanie ciała, w jakim zostało do nas przywiezione, nie ma mowy o naturalnej przyczynie zgonu. To jest po prostu niemożliwe.

– Zatem wykluczacie atak serca i inne tym podobne sprawy? – zapytał komisarz.

– Tak, zdecydowanie. Przeprowadzone tej nocy badania toksykologiczne nie wykryły jednak obecności związków wskazujących na otrucie, o którym pan wspomniał. Hipoteza ta zatem wciąż nie znajduje potwierdzenia w faktach. Chociaż...

Doktor pokazała policjantowi dokumentację sporządzoną tej nocy – fotografie z sekcji zwłok i kadry, w których uchwycone zostały niektóre ciekawsze miejsca na ciele denatki.

– Naturalnie, jak to powiedziałam panu wczoraj wieczorem, wykrycie niektórych trucizn jest niemożliwe lub po prostu graniczy z cudem. Oczywiście skurcze mięśniowe mogły być wywołane takimi środkami, bo to nie był na pewno ani atak serca, ani uduszenie.

– Czy na pewno badaliście wszystkie możliwości? – upewniał się funkcjonariusz policji.

– Sprawdziliśmy wszystko. Dla pewności wysłaliśmy jednak kilka próbek do Wiednia i Miami, żeby mieć absolutną pewność. Nam także zależy na tym, by tę sprawę wyjaśnić – tłumaczyła patolog. – Na ciele nie ma żadnych śladów przemocy ani duszenia. Są jeden czy dwa ślady na szyi po ukąszeniu komara lub pszczoły, choć równie dobrze może to być ślad po iniekcji, ale nic poza tym. Śmierć musiała przyjść nagle i ostatni jej epizod rozegrał się w wielkich męczarniach. To nie był naturalny zgon.

– Do wyjaśnienia pozostaje więc jeszcze kwestia, jak doszło do zdarzenia, bo nie wyobrażam sobie, by stary służący rzucił młodszą o jakieś dwadzieścia lat kobietą o ścianę i wprawił ją w śmiertelne przerażenie – powiedział Andreas Schultz, rozkładając ręce.

– To już pańska głowa w tym, aby ustalić fakty. Nie potrafię panu w tej sprawie pomóc – odparła lekarka.

Przez chwilę oboje w milczeniu wpatrywali się w ciało zmarłej kobiety. Słychać było tylko cichy szmer urządzeń chłodniczych oraz ich własne oddechy.

– Ale jest coś jeszcze – przerwała doktor Renner.

– Tak, a co takiego?

– W żołądku denatki znalazłam bardzo mały stary kluczyk z owalną główiczką. Zdaje się, że przypomina ona nieco kulę ziemską.

– Bardzo interesujące – stwierdził policjant. – Ciekawe, jakie drzwi ten klucz mógł otwierać... Hm... Miejsce, w którym znaleźliśmy hrabinę, było dokładnie przetrząśnięte. Może więc ktoś szukał właśnie tego kluczyka, kobieta wiedziała o tym i połknęła go, zanim napastnik się zorientował – podsumował zamyślony komisarz.

Kluczyk był rzeczywiście bardzo niewielki, zaledwie dwucentymetrowy. Andreas Schultz miał świadomość, że nie należy lekceważyć tego tropu. Postanowił więc wrócić do zamku następnego dnia po południu i wraz z ekipą przeszukać ponownie wszystkie pomieszczenia, a zwłaszcza bibliotekę i domek w ogrodzie. Trzeba będzie przesłuchać jeszcze raz lokaja. On z pewnością coś ukrywa, tylko co? – zastanawiał się policjant, wychodząc z Zakładu Medycyny Sądowej. Do jakich drzwi może służyć taki malutki kluczyk?

Wsiadł do samochodu i odjechał w kierunku komisariatu, by poczynić pierwsze notatki do raportu dla zwierzchnika. Na razie szło mu jak po grudzie. Wiedział już, że rozwikłanie sprawy nie będzie tak łatwe, jak sądził na początku. To przeczucie potęgowało wspomnienie ponurej atmosfery zamku, od której włosy stawały dęba, a dreszcze na moment paraliżowały

wszystkie członki. Zastanawiał się nad tym, jaką mroczną tajemnicę skrywa w sobie ta stara, historyczna siedziba rodowa. Sądził jednak, że mimo wszystko nic nadzwyczajnego nie może się wydarzyć i całą sprawę będzie można w sposób racjonalny wytłumaczyć.

Tymczasem na niebie znowu pojawiły się ciężkie burzowe chmury, a z oddali co jakiś czas dochodził odgłos grzmotów przerywany złowieszczo błyskawicami. Pod naporem wiatru drzewa groźnie pojękiwały, wzbudzając instynktowny strach. Noc zapowiadała się tym razem wyjątkowo niespokojnie.

4

Budzik w komórce zadzwonił o 5.30 rano. Thomas przetarł dłońmi oczy i spojrzał na zegarek. Wyjątkowo nie chciało mu się wstawać i iść do pracy. Postanowił jeszcze przez chwilę poleżeć w łóżku, zanim dzwonek odezwie się powtórnie.

– Jeszcze tylko pięć minut... – powiedział sam do siebie.

Myślami wracał do sobotniego wieczoru i nocy spędzonej w domu Marty. Pomimo wszystko czuł się tam dobrze. Doświadczył bliskości osoby, na której mu zależało, a ona to odwzajemniała. Jednakże wszystko, co dobre, szybko się kończy i ta niezwykła chwila także musiała znaleźć swój finał, przynajmniej na razie. Pocieszał się tym, że spotka dziewczynę w redakcji, zaprosi ją na lunch i będą mogli znowu po przyjacielsku pogawędzić. Cieszył się, że ich długo skrywane uczucie w końcu się zdefiniowało w tym namiętnym zbliżeniu. Dobrze się z tym czuł. Właściwie teraz już wiedział, czego pragnie najbardziej. Wierzył, że on i Marta są dla siebie stworzeni i że zawsze może na nią liczyć. Rejestrował to całym sobą, kiedy się namiętnie całowali i kiedy pragnął się w niej zatracić bez pamięci... Odkrył w sobie coś nowego. Nie rozumiał tego do końca, ale miał poczucie, że wreszcie otworzył się tak, jak tego pragnął od dawna, uzewnętrzniając całego siebie i wyzwalając wszystkie pokłady swojej osobowości.

Budzik zadzwonił po raz drugi. Była godzina 5.35. Już miał wstawać, kiedy przypomniał sobie o Eleonorze. Teraz wiedział, dlaczego nie chce iść do pracy. Nie chodziło tylko o zwyczajne zmęczenie lub źle przespaną noc. Jej odejście wywołało szok i ogromną pustkę. Stanowiło zagadkę, która go zaskoczyła i wyrwała z naturalnego rytmu życia. I chociaż od paru lat samodzielnie kierował swoimi finansami i swoim życiem, to jednak życzliwa kobieta wciąż troskliwie otaczała go opieką i zawsze cierpliwie czekała na jego list lub telefon. On z kolei chętnie czynił zadość jej oczekiwaniom, jakby to było całkiem naturalne w stosunku do kogoś takiego jak Eleonora. Thomas wiedział o hrabinie tylko tyle, ile zdążył powiedzieć mu przed śmiercią ojciec i ile ona sama zdradziła. Zawsze jednak zdawała się kimś bliższym niż jakikolwiek przyjaciel rodziny.

Przygotowując śniadanie, zastanawiał się, co powie szefowi i jak ten zareaguje na prośbę o urlop. Nie wiedział jeszcze, jak długa okaże się ta przerwa w pracy. Wszelkie informacje miał bowiem otrzymać w mailu, który obiecała mu wysłać Kathy Brück.

Powoli zbierał się do wyjścia. Stanął przed szafą. Wybrał elegancką popielatą koszulę – jedną z tych najbardziej ulubionych – która uwypuklała jego wysportowaną sylwetkę. Do tego czarne, dopasowane, dżinsowe spodnie i wygodne trampki. Sprawdził jeszcze przed lustrem, czy wygląda właściwie, poprawił nieco włosy, delikatnie nawilżając je specjalnym żelem, po czym spakował materiały przygotowane do pracy i wyszedł, dokładnie zamykając za sobą drzwi.

Do redakcji „Stadt Nachrichten” zazwyczaj jeździł tramwajem. Tym razem miał jeszcze dość dużo czasu, więc postanowił wybrać się pieszo.

Poranek był rześki i słoneczny, niebo bezchmurne i zalane niezwykle głębokim odcieniem błękitu. Zapowiadał się kolejny piękny dzień. Thomas jednak wcale nie odczuwał radości. Miał tylko nadzieję na jedno – na to, że znowu spotka Martę. Śmierć Eleonory przyćmiła wszystkie pozostałe jego zawodowe plany i zamierzenia, jakie w tym tygodniu sobie założył do wykonania. Szedł wolnym, spacerowym krokiem, spoglądając na zadbane kamienice, klomby oraz perfekcyjnie przystrzyżone trawniki. Przemierzył kilka ulic, wstąpił do ulubionej piekarni w okolicach neogotyckiej katedry św. Jakuba, nieopodal dworca kolejowego, po czym przyśpieszył kroku i energicznie ruszył w kierunku Starego Miasta. Po drodze mijał zabytkowe budynki, opustoszałe jeszcze o tej porze restauracje i gospody, ludzi wyprowadzających z rana swoje psy na spacer lub śpieszących, tak jak on, do pracy. W końcu znalazł się na Górnym Rynku, skręcił w jedną z wielu wąskich uliczek w kierunku południowym i tak dotarł do kamienicy przy Dresdner-Strasse, w której mieściła się siedziba jego gazety. Wszedł do środka, włożył kartę chipową do czytnika i skierował się ku klatce schodowej, choć równie dobrze mógł wybrać windę, jak czynił to zresztą każdego poranka. Tym razem jednak wszystko miało wyglądać inaczej. W budynku było wciąż jeszcze pusto i niepodzielnie królowała kojąca cisza. Tylko dozorca niewzruszenie trwał na posterunku i pilnował porządku, śledząc co jakiś czas nagrania monitoringu.

Redakcja „Stadt Nachrichten" zajmowała całe trzecie piętro. Większą jej część stanowiła ogromna sala, w której każdy z dziennikarzy miał własny boks z biurkiem, komputerem i innymi niezbędnymi przyborami. Osobne biura należały do wydawcy i redaktora naczelnego. Była to gazeta o dość szerokim profilu, z działem miejskim, krajowym, zagranicznym i sportowym, z dużą liczbą reklam, ogłoszeń i nekrologów oraz jeszcze kilkoma innymi rubrykami. Wbrew pozorom ekipa dziennikarska stanowiła niewielką grupę, mniejszą, niż to się mogło wydawać. Tygodnik „Stadt Nachrichten" nie pretendował do tego, by dorównać takim wielkim tytułom, jak „Die Welt", „Süddeutsche Zeitung", „Der Spiegel" czy „New York Times". Była to gazeta o zasięgu regionalnym, ale cieszyła się poczytnością, co dodawało skrzydeł wszystkim jej twórcom i czyniło z niej najpopularniejszy periodyk w regionie. Thomas pracował w dziale miejskim. Spotykał się z władzami, pisał o sprawach, które najbardziej nurtowały lokalną społeczność. Czasem wspomagał kolegów z działu krajowego i zagranicznego, ale w zasadzie nie zdarzało się to aż tak często.

Wolnym krokiem doszedł do przeszklonych drzwi, na których dumnie prezentowała się nazwa pisma. Otworzył je i wszedł do środka. Było cicho i pusto, a lekko przyciemnione światła lamp nadawały temu miejscu całkiem nietypowy klimat.

Dobrze, że jeszcze nikogo nie ma, pomyślał z satysfakcją i skierował się prosto do swojego stanowiska, które znajdowało się na drugim końcu sali, zaraz przy oknie. Kiedy doszedł na miejsce, postawił aktówkę z materiałami na biurku, odsunął fotel i usiadł na chwilę. Oparł ręce o blat i ukrył w nich twarz. Czuł się bardzo zmęczony po weekendzie pełnym wrażeń. Kiedy trochę odpoczął, wyjął w teczki przygotowane na dziś notatki i szkice kilku tekstów, sprawdzając przy tym swój kalendarz. Okazało się, że będzie musiał odwołać kilka ważnych spotkań lub po prostu dogadać się z kolegami. Wyjazd do Frankfurtu traktował teraz jako priorytet. Pomyślał sobie, że najlepiej podziała na niego mocna kawa. Poszedł więc do pokoju socjalnego, by za chwilę wrócić z gorącym napojem. Był już prawie przy biurku, gdy nagle w drzwiach ujrzał Martę Thein. Poczuł, jak serce zaczyna mu mocniej walić w piersi.

– Witaj, Marto – powiedział i podszedł do niej, uśmiechając się nieśmiało. Dotknął jej dłoni, a potem przesunął palec wskazujący po ramieniu. Dziewczyna odwróciła na chwilę głowę, lecz Thomas ujął rękoma jej twarz, delikatnie pocałował ją w usta i spojrzał jej czule w oczy.

– Cześć. Jak się dziś czujesz? – zapytała Marta. – Wszystko w porządku?

– Tak, oczywiście... W porządku – odparł nieco zmieszany. – Dziękuję ci za ten weekend, za twoją obecność i w ogóle za wszystko...

– To ja ci dziękuję – powiedziała Marta, delikatnie gładząc umięśnioną klatkę piersiową Thomasa.

– Może poszlibyśmy dziś wieczorem do jakiejś knajpki? – zapytał z nadzieją.

– Dziś? Nie, dziś nie mogę. Mam całą masę spraw do załatwienia – odpowiedziała dziewczyna. – Niestety nie mogę przesunąć tego na inny termin. A co z twoim wyjazdem? Odebrałeś tego maila od prawniczki?

– Kurde. Na śmierć zapomniałem – syknął Thomas i zaraz włączył komputer, by odebrać pocztę. – Przepraszam cię, ale to naprawdę ważne.

Marta pożegnała się z przyjacielem, obiecując mu dłuższą rozmowę podczas lunchu. Była bardzo ciekawa tego, co napisała do niego panna Brück z Frankfurtu.

Sprzęt, na którym pracował Thomas, miał już kilka dobrych lat. Otrzymał go w „spadku" po poprzednim właścicielu tego biurka, który zginął jako korespondent w czasie wojny w Iraku. Czasami więc otwierał się kilka, a innym razem nawet kilkanaście minut. Doprowadzało to dziennikarza do szewskiej pasji – zawsze obiecywał sobie, że w końcu poprosi szefa o nowy komputer. Tym razem jednak udało się uruchomić go bez komplikacji. Włączył program pocztowy i zaczął ściągać wiadomości. Odnalazł oczekiwanego maila, wydrukował go i przeczytał półgłosem.

Szanowny Panie Michel,

w nawiązaniu do naszej telefonicznej rozmowy przesyłam szczegółowe instrukcje dotyczące Pańskiego wyjazdu do Frankfurtu, które przekazuję na polecenie hrabiny Eleonory von Albertstein.

Pogrzeb odbędzie się w piątek, 27 sierpnia, o godz. 16.00 na cmentarzu głównym we Frankfurcie nad Menem, gdzie doczesne szczątki hrabiny złożone zostaną w rodzinnym grobowcu.

Hrabina pozostawiła w naszym depozycie list do Pana. List ten był bardzo ważny dla zmarłej. Sam się Pan przekona o jego znaczeniu dla swojego życia. Ponieważ pozostają do ustalenia kwestie postępowania spadkowego, w którym został Pan uwzględniony, musi Pan przybyć do nas w dniu pogrzebu na Rhein- -Strasse 45 o godz. 10.00. Wtedy nastąpi oficjalne odczytanie instrukcji Zmarłej w obecności prawników i pozostałych spadkobierców. Nie jest to

jeszcze testament, a jedynie wola Hrabiny. Na razie muszę prosić Pana o to, by postarał się Pan o miesięczny urlop i przyjął zaproszenie do Frankfurtu, bowiem Pańska obecność w tym czasie jest konieczna do wykonania testamentu.

Z wyrazami szczerego żalu,

Kathy Brück

Kancelaria Adwokacka Brück & Kunick

Frankfurt, 21 sierpnia 2004 r., godz. 22.05

Thomas na chwilę odłożył kartkę z wiadomością. Nie wiedział, co począć. To wszystko wydało mu się dziwne, niespodziewane i niepojęte. Nie był na to gotowy. Skumulowane emocje sobotniej nocy znowu wróciły. Poczuł wielką pustkę, którą musiał czymś wypełnić. Nie wiedział, co miało znaczyć to, że list Eleonory okaże się ważny także dla niego, że może przynieść jakąś konkretną zmianę w jego życiu. Najbardziej intrygował go fakt, że zażądano od niego miesięcznego urlopu, gdyż – jak podkreślała prawniczka – jego obecność w tym czasie jest ważna dla dopełnienia testamentu i jego właściwego wykonania. Był niemal pewien, że szef nie pozwoli mu na taką ekstrawagancję.

– Ucierpiałby prestiż gazety... – zamruczał Thomas. – Ale może jednak się uda...

Zastanawiał się też, gdzie będzie mieszkał przez te trzydzieści dni. Zamek, zapewne zamknięty przez policję, nie wchodzi w rachubę, w domku dla gości mieszka przecież stary lokaj Baum... A na niego czeka pewnie jakiś slums, bo przy takich zarobkach na dobry hotel nie będzie mógł sobie pozwolić.

No i masz, babo, placek – zasępił się Thomas, gdy czytał ponownie wiadomość, zastanawiając się nad znaczeniem każdego słowa. I co on teraz powie szefowi, co powie Marcie? Ech...

Zbliżało się południe. Thomas uporządkował bieżące sprawy redakcyjne, popoprawiał teksty i zaniósł je do akceptacji do redaktora naczelnego. Odpowiedział na maile, a na koniec potwierdził w kancelarii Brück & Kunick swój wyjazd do Frankfurtu, rezerwując miejscówkę w nocnym pociągu. W końcu poczuł ssanie w żołądku i przypomniał sobie, że umówił się na lunch z Martą.

– Przepraszam za spóźnienie – powiedział, gdy odnalazł przyjaciółkę w ich ulubionej knajpie po drugiej stronie ulicy, o tej porze bardzo zatłoczonej. – No wiesz, głupio mi... W nawale tylu spraw wypadło mi to z głowy.

– Nie szkodzi, rozumiem – powiedziała Marta, wpatrując się w swojego towarzysza. – Masz teraz trudny czas. Śmierć Eleonory, wyjazd do Frankfurtu... I jeszcze obowiązki tutaj.

Za każdym razem, gdy widział Martę, uspokajał się. Była dla niego swoistym lekiem na całe zło świata. Cenił ją za to, że zawsze starała się znaleźć złoty środek, że nigdy się nie kłócili

i zazwyczaj znajdowali właściwe słowa i rozwiązania.

– A ten mail? Co napisała ta prawniczka? – zapytała dziewczyna.

– Muszę wyjechać do Frankfurtu na... na cały miesiąc – wydusił z siebie Thomas, spuszczając głowę. – Nie wiem, dlaczego i co ja będę tam robił, ale ta adwokat podkreśliła, że tak chciała Eleonora. Znowu wspomniała o tym liście, że on coś zmieni.

Marta posmutniała. Przykro jej było, że muszą się rozstać. Zwłaszcza teraz, kiedy ich relacja nabrała rozpędu i pojawiła się szansa na trwały związek.

– Kurde, wkurza mnie to. Te wszystkie tajemnice, niedomówienia, jakieś listy i aluzje – powiedział z oburzeniem Thomas. – Bardzo mi brak Eleonory i jej dobroci, ale trudno mi zrozumieć to, że muszę zostawić pracę i... ciebie, że muszę wyjechać, nie wiadomo po co. I jeszcze ta jej dziwna śmierć. Nic z tego nie rozumiem. To jakiś cholerny absurd!

– Thomas, spokojnie. Razem jakoś przez to przejdziemy – powiedziała Marta, ujmując swoimi dłońmi jego silną męską rękę. – Pojedziesz i zobaczysz, co jest grane. Na pewno dasz radę.

Zgodził się z dziewczyną. Zresztą nie miał wyboru. Opowiedział przyjaciółce o swoich dziennikarskich zamierzeniach na ten tydzień i o rezerwacji pociągu, wciąż wracając jednak do tematu Eleonory, jej tajemniczego listu i testamentu. Marta snuła hipotezy, co w nim może być, ale Thomas nie liczył na majątek. Nigdy mu na nim nie zależało. Miał swoje życie, swoje pasje i to mu absolutnie wystarczało.

Na obiad zamówili ryż z jabłkami i sok. Potem na deser po kawałku piernika i filiżance espresso. Gawędzili o wszystkim – o pracy, życiu i o sobie. Od sobotniej nocy bardzo się do siebie zbliżyli i chcieli, by ta chwila wzajemnej bliskości trwała wiecznie.

Lunch skończył się tak samo szybko, jak się zaczął. Perspektywa powrotu do biura trochę zmieniła nastroje obojga, ale pocieszali się, że przecież praca nie jest całym ich życiem. Marta powróciła do swoich zajęć, a Thomas zebrał się w sobie i postanowił pójść w końcu do szefa, by poprosić o ten miesięczny urlop.

Axel Marx trzymał tygodnik silną ręką. Był właścicielem „Stadt Nachrichten” i jego wydawcą od ponad dwudziestu lat. To jemu tytuł zawdzięczał poczytność i pozycję na rynku, a pracujący w gazecie dziennikarze dobry klimat dla rozwoju zawodowego. Marx cenił sobie obiektywizm i profesjonalizm swoich pracowników, którzy starali się postępować zgodnie z etyką. Jednak rzadko decydował się na odstępstwo od przyjętych reguł funkcjonowania i nie tolerował pochlebstw, mimo że doceniał swoich podwładnych.

– Hej, Thomas! Słyszałem, że masz jakiś poważny problem. Tylko nie mów, że chcesz wziąć wolne – powiedział naczelny, kiedy tylko zobaczył chłopaka.

– Hm... Ja właśnie w tej sprawie – odparł młody dziennikarz. – Zmarła moja bardzo bliska znajoma... właściwie przyjaciółka mojej rodziny, po prostu muszę na jakiś czas wyjechać.

– Kiedy? – dopytywał się wydawca.

– W piątek powinienem być już we Frankfurcie – odrzekł Thomas.

– Na jeden dzień nie ma problemu. Świat się nie zawali – zawyrokował Axel Marx.

– Problem w tym, że tu chodzi nie tylko o pogrzeb, ale o coś więcej... i... i muszę wyjechać na... cały miesiąc.

– Zaraz, zaraz... Czy ja dobrze słyszałem? Na całe trzydzieści dni? Ty chyba żartujesz?! – krzyknął właściciel tygodnika tak, że było go słychać nawet za drzwiami gabinetu.

– Bardzo przepraszam, panie Marx. Nie mam nastroju do żartów. W końcu jadę na pogrzeb, a nie na wesele – bronił się Thomas. – Gdyby to ode mnie zależało, nie ruszałbym się stąd, ale nie mam na to wpływu.

– Ty jesteś potrzebny tutaj, w redakcji!

Thomas przedstawił list z kancelarii adwokackiej, wyjaśniając, kim dla niego była Eleonora von Albertstein. Opowiadał o tym, co dla niego zrobiła i dlaczego na tak długo musi opuścić redakcję.

– W porządku. Przekonałeś mnie... Weź sobie ten trzydziestodniowy urlop, ale ani dnia dłużej! Rozumiesz? Ani dnia dłużej! – stanowczo powtórzył Axel Marx, uderzając z całej siły w biurko pięścią. – Jeśli nie wrócisz za miesiąc, to możesz pakować manatki! Albo nie. Po prostu nie wracaj już! Może jakoś sobie poradzimy... – warknął na koniec i kazał mu natychmiast opuścić pokój.

Tymczasem cała redakcja z zapartym tchem oczekiwała na to, co powie Thomas. Wszyscy obserwowali go, jak szedł ze skwaszoną miną do swojego boksu. Czuł na sobie spojrzenia innych, co go bardzo denerwowało.

– No i co się tak, do cholery, gapicie! – w końcu nie wytrzymał i wybuchnął gniewnie. – Nie widzieliście człowieka, który został opieprzony przez szefa? No to teraz widzicie!

– Hej, Thomas, nie irytuj się tak... – odparł ktoś z drugiej strony sali, śmiejąc się rubasznie. – Po prostu nieczęsto się zdarza, żeby Marx kogoś wypieprzył z gabinetu w tak ekspresowym tempie. To było akurat wyjątkowo efektowne przedstawienie.

– Wiesz co... Pieprz się – odparował wkurzony Thomas i szybkim, zdecydowanym krokiem opuścił budynek, aby odreagować.

Wyszedł na wewnętrzny dziedziniec, który łączył siedzibę redakcji z kilkoma sąsiednimi kamienicami. Zaczął krążyć w kółko raz w jedną, raz w drugą stronę. Bił się z myślami, zastanawiając się, co będzie dalej. Ton reprymendy Marxa zbił go totalnie z tropu. Wydawało mu się, że wszystko ułoży się po jego myśli i uda mu się przekonać wydawcę, który zrozumie jego

sytuację i da mu wolną rękę. Tymczasem poczuł się jak mały chłopiec, który dostał porządnego klapsa w tyłek, bo chciał wziąć coś, co do niego nie należało. Po chwili zauważył, że w bramie mignęła kobieca sylwetka. To była Marta. Zmartwiła się, gdy usłyszała, co się stało. Nie mogła teraz zostawić go samego i pozwolić na to, by sam gryzł się ze wszystkim. W pierwszej chwili zignorował ją, ale dziewczyna pozostała i nie ustąpiła. Podbiegła do niego, zatrzymując na chwilę.

– Thomas, zaczekaj – powiedziała, łapiąc go za rękaw. – Posłuchaj mnie przez chwilę.

Mężczyzna podszedł do ściany budynku i przystanął. Odwrócił się do Marty, opierając plecami o zimny mur kamienicy. Sprawiał wrażenie trochę zagubionego.

– Pewnie już wszystko słyszałaś – zaczął po dłuższej chwili.

– Tak, doszły mnie słuchy i sądzę, że nie powinieneś się tym tak bardzo przejmować – pocieszała go Marta. – Marx po prostu ma gorszy dzień, a poza tym jesteś jednym z filarów gazety, więc zrozumiałe, że wydawca martwi się i nie chce, żebyś wyjeżdżał. Ale jedziesz... Dostałeś urlop i jest wszystko okej.

– Wiesz, chyba masz rację – odparł po chwili Thomas, obejmując przyjaciółkę serdecznym uściskiem. – Boże, co ja bym zrobił bez ciebie?

– Nic, po prostu zamartwiałbyś się dalej... – powiedziała ze spokojem dziennikarka, lekko się uśmiechając.

5

W redakcji było już niemal pusto. Thomas siedział przy swoim biurku, kończąc jeden z artykułów, który miał przygotować do kolejnego wydania tygodnika. Pisał o handlu narkotykami, który powoli zaczynał zbierać swoje żniwo także w ich mieście, głównie wśród niczego nieświadomych, żądnych szybkich i efektownych wrażeń młodych ludzi. Miał za sobą wywiady z policją, przedstawicielami władz i oczywiście z kilkoma dilerami, których udało mu się ostatnio namierzyć.

Marta przestrzegała go, żeby uważał na siebie, biorąc tę sprawę, ale Thomas nic sobie z tego nie robił. Wiedział, że ryzykuje i że mógłby nadepnąć komuś na odcisk, a wtedy byłoby niezbyt przyjemnie. Uważał jednak, że jest to temat jak każdy inny, choć nieco bardziej wymagający.

Zebrał wszystkie notatki, uporządkował je według założonego planu i naszkicował pierwszy zarys tekstu, który następnego dnia zamierzał zaproponować naczelnemu.

– Wspaniale... – powiedział sam do siebie, gdy udało mu się dobrnąć do końca. – Jutro usiądę nad tym jeszcze raz, by wyłapać ewentualne niedoróbki.

Thomas miał w zwyczaju czytać tekst kilka razy przed oddaniem go do druku. Chodziło przede wszystkim o to, by wyrzucić niepotrzebne rzeczy i maksymalnie udoskonalić cały prasowy materiał. Była to sprawdzona metoda, której nauczono go jeszcze podczas studiów we Frankfurcie oraz praktyk w jednej z tamtejszych redakcji.

Powoli zbierał się do wyjścia. Otworzył szufladę, by włożyć do niej przygotowany wydruk tekstu i notatki, gdy nagle jego uwagę przykuła biała koperta, którą rano znalazł na biurku.

Co to jest, do diaska? – zastanawiał się przez chwilę, z zaciekawieniem przyglądając się tajemniczej przesyłce. Wziął nóż do listów i delikatnie otworzył kopertę. W jej wnętrzu znajdowała się niewielka kartka, a na niej naklejone litery z gazetowych wycinków, które układały się w napis: „STRZEŻ SIĘ: ŚMIERĆ ZA ROGIEM”. Cholera jasna, to jakiś kawał czy co? – pomyślał wyraźnie poirytowany. Co to w ogóle ma być? Jak dorwę żartownisia, to popamięta mnie do końca życia... Nie ręczę za siebie.

Sądził, że to któryś z redakcyjnych kolegów robi sobie z niego żarty i próbuje nieco postraszyć. Żart czy nie, Thomas czuł niesmak i ciarki przeszły mu po plecach. Włożył kartkę do koperty, a tę schował do kieszeni spodni, po czym wyszedł z redakcji szybkim krokiem, aby zdążyć jeszcze przed zamknięciem budynku.

Był ciepły sierpniowy wieczór, bezchmurne niebo iskrzyło się morzem gwiazd. Idealna pora na romantyczny spacer we dwoje, choć mimo wszystko dawało się już odczuć pierwsze oznaki kończącego się upalnego lata, które powoli ustępowało kolejnej porze roku.

Spokój, jaki panował na ulicach miasta, zdumiał Thomasa, który wyjątkowo nie miał ochoty na oglądanie pustki swoich czterech ścian. Chciał być z Martą, ale pogodził się z tym, że ona ma dziś inne plany. Przystanął na moment na chodniku, rozejrzał się wokoło i obmyślał plan na wieczór.

Nieopodal znajdowała się bardzo stylowa gospoda Pod Starym Gargulcem, do której bardzo chętnie zaglądał. Ze względu na sprawną obsługę, znakomitą regionalną kuchnię i najlepsze trunki w mieście, nie mówiąc już o nieziemskim klimacie tego miejsca, cieszyła się ona bardzo dobrą renomą. Knajpa już dawno podbiła jego serce.

Nie zastanawiając się dłużej, zdecydował, że ten wieczór spędzi właśnie tam. Chciał zalać swoje smutki i odprężyć się – tak jak czynił to od czasu do czasu.

Gospoda mieściła się w starym, osiemnastowiecznym budynku z pruskiego muru i była niezwykle interesującym przykładem połączenia historii z nowoczesnością – myśliwskie proporce, żyrandole zrobione ze starych kół od wozów drabiniastych, stylowe ozdoby z epoki i nowoczesny bufet dla kontrastu. We wnętrzu snuł się papierosowy dym, ale to nie przeszkadzało Thomasowi, który przywykł do tego aż za bardzo. Usiadł przy barze, na swoim ulubionym miejscu, z którego widać było cały lokal łącznie z drzwiami wejściowymi. Lubił obserwować wchodzących ludzi i przysłuchiwać się odgłosom ich wrzaskliwych rozmów.

Na wprost miejsca, przy którym siedział, znajdował się niewielki telewizor, w którym nadawano właśnie transmisję meczu piłkarskiego. Borussia Dortmund wygrywała z Bayernem Monachium 4:2. Spora grupa kibiców w nieodległym kącie izby głośno się bawiła, dając do wiwatu innym bywalcom lokalu. To także nie przeszkadzało Thomasowi, który również z zainteresowaniem przyglądał się poczynaniom zawodników.

Aby dodać sobie animuszu, zamówił dużą wódkę. Chciał się zrelaksować i rozluźnić po tym wszystkim, co dzisiaj zobaczył i usłyszał.

Musiał jakoś to odreagować. Zazwyczaj bliskość Marty rozładowywała jego niepokój, ale teraz jej przy nim nie było. Załatwiała jakieś inne sprawy, które chwilowo okazały się ważniejsze niż on i jego problemy.

Po kilku kieliszkach uzmysłowił sobie, że słowa Marxa dotknęły go bardziej, niż mógł przypuszczać – zwłaszcza sugestia o ewentualnym zwolnieniu, gdyby musiał opóźnić powrót z Frankfurtu. Był zły na szefa, że tak ostro go potraktował i naraził na szyderstwa ze strony kolegów. Właściwie nie miał już nawet ochoty na ten wyjazd.

Im więcej pił, tym większy mętlik miał w głowie, która ciążyła mu coraz bardziej. Czuł, że powinien już przestać, ale trudno mu było przezwyciężyć nagłą potrzebę upicia się w trupa.

– Na zdrowie panie ba... barmanie – wybełkotał i upił porządny łyk trunku.

Siedział w takim zamroczeniu jeszcze jakiś czas, przypatrując się zawartości kieliszka.

– Hej, Thomas! – krzyknął na powitanie wchodzący właśnie Anton Felder. – Ty tutaj? Nie powinieneś być już przypadkiem w domu?

– Ja? Ja... eee, ja nic, piję – odparł niepewnym głosem Thomas, którego z chwilowego zamroczenia wyrwała niespodziewana wizyta kumpla. – Właściwie co ty tutaj robisz?

– No wiesz... przyszedłem się rozejrzeć.

– Rozejrzeć? A za czym?

– Tak zwyczajnie – powiedział krótko Anton. – Ale widzę, żeś się już nieźle urządził.

– A co? Czasem trzeba zalać smutki...

– Może jednak przesadziłeś?

– A co to, kurde... Przesłuchanie jakieś czy co? – odburknął Thomas.

– Może jednak powiesz, co się dzieje? – zaproponował Anton. – No wiesz, taka przyjacielska pogawędka lepiej ci zrobi niż samotne zalewanie robala.

Thomas bardzo niechętnie zaczął opowiadać o tym, co mu się przytrafiło. Nie za bardzo wiedział, czy może Antonowi zaufać, ale potem zapomniał o wszystkich animozjach i zrelacjonował, co zaszło u wydawcy.

Anton Felder był młodszy od niego o jakieś pięć lat. Nie wydawał się ani szczególnie przystojny, ani specjalnie elokwentny. Taki chudzielec o całkiem przeciętnej budowie ciała i kościstej twarzy. W środowisku miał opinię człowieka, który posadę zawdzięczał protekcji i tylko dzięki niej zaistniał. Jak to się zdarza w przypadku ludzi znikąd, niewiele o nim wiedziano. W gazecie pracował od paru lat i zajmował się fotografią i grafiką komputerową. Najczęściej wyjeżdżał w teren, by po powrocie przesiadywać całymi godzinami w swoim boksie i obrabiać zdjęcia. Nie darzono go specjalną sympatią ze względu na jego wścibstwo, co raziło także Thomasa, ale praca to praca i byli na siebie po prostu skazani.

– No, Anton, to jeszcze po jednym i... chyba czas na mnie... – powiedział dziennikarz, gdy już był naprawdę nieźle wstawiony, a barman przestał przyjmować kolejne zamówienia.

Wychylił ostatni kieliszek wódki. Zapłacił rachunek i nie czekając na resztę, chwiejnym krokiem wyszedł z gospody w ciemną noc.

Ulica powitała go ciszą i delikatnym, chłodnym powiewem wiatru. Rozejrzał się na wszystkie strony, ale nigdzie nie było widać żywego ducha. Na niebie był księżyc w pełni i ani jednej chmurki. Przemierzając zamroczone nocną aurą ulice, zastanawiał się, w którą stronę powinien pójść. Miał tylko dwie możliwości – albo dłuższą drogą przez park, albo na skróty wzdłuż dawnych murów miejskich, które o tej porze raczej nie wyglądały zachęcająco. Zależało mu jednak na tym, aby jak najprędzej znaleźć się na miejscu. Podążył więc wzdłuż murów, lekko się zataczając.

Uszedł zaledwie kilkadziesiąt metrów, kiedy o mały włos nie wpadł w kałużę, potykając się o kilka większych kamieni, które musiały odpaść od sąsiadujących z ulicą średniowiecznych fortyfikacji.

– Wszystko w porządku, panie Michel... Idź pan dalej... – wymamrotał sam do siebie.

Kiedy minął zakręt, zdawało mu się, że coś usłyszał. Zaniepokoił się nieco. Przystanął i zaczął się rozglądać, gorączkowo nasłuchując, ale do jego uszu doszła tylko głucha cisza. Nie zdążył zrobić nawet paru kroków, kiedy na swojej drodze zauważył kilka ponurych cieni. Po chwili poczuł mocny cios w plecy, między żebra, a potem jeszcze jeden, w głowę. Zamroczyło go totalnie, ale wciąż jeszcze był świadomy.

– Ugh, ugh, eee – zajęczał z bólu i zauważył jakiś dziwny metaliczny błysk przed oczami.

Nagle poczuł silny uścisk czyjejś dłoni na szyi, a zimny metal dotknął delikatnie jego twarzy, uświadamiając mu, że to raczej nie przelewki. Ciarki przeszły Thomasowi po plecach.

– Nie ruszaj się, ścierwo, bo pożałujesz – warknął jeden z oprawców.

Dziennikarz próbował wyrwać się napastnikom. Nie wiedział jednak, ilu dokładnie ich jest. Poza tym alkoholowe upojenie tak bardzo stępiło bystrość jego umysłu, że zanim się zorientował, zaciągnęli go do bramy i rzucili na ziemię niczym worek z kartoflami.

Nie widział ich twarzy, ale czuł bijący od nich odór, który przyprawiał o zawroty głowy.

– No to teraz mamy cię, ptaszku... – prychnął jeden z nich, wymierzając mu kolejne kopniaki i waląc pięściami gdzie popadnie. – Teraz się zabawimy...

Thomas czuł, jak z nosa zaczyna sączyć się gęsta ciecz. Starał się bronić, ale na niewiele się to zdało. Przeciwnicy otoczyli go i wykręcili mu boleśnie ramiona, uniemożliwiając wykonanie jakiegokolwiek ruchu. W końcu opadł zemdlony. Było mu tak niedobrze, że zwrócił całą zawartość żołądka. Próbował zebrać się w sobie i wstać, ale obolałe członki odmawiały mu posłuszeństwa. Ból rozrywał całe ciało.

– Trzymaj go, żeby nie uciekł – warknął jeden z napastników. – Mam tu jeszcze coś do zrobienia...

I zaczął przeszukiwać jego kieszenie.

Gdy znalazł to, czego szukał, zbliżył swoją twarz do zakrwawionego oblicza ofiary. Spojrzał Thomasowi prosto w oczy, szczerząc złośliwie zęby.

Thomas czuł, jak osuwa się w otchłań. Ból rozlewał się powoli po całym ciele, a jego zakrwawiona twarz przypominała bardziej przerażającą maskę jakiegoś potwora niż ludzkie oblicze.

Napastnicy odeszli.

Kiedy Thomas się ocknął, uzmysłowił sobie, że leży cały umorusany w jakimś ścieku. Śmierdziało od niego tak bardzo, że nawet pies z kulawą nogą bał się do niego zbliżyć. Cały był we krwi i odchodach z rynsztoka. Przez chwilę myślał, że to zły sen.

– Co to było? – jęknął z bólu, próbując się podnieść.

W końcu zebrał siły i zacisnąwszy mocno zęby, wstał. Bardzo powoli zaczął iść. Wciąż panował mrok, ale już nie tak gęsty jak wtedy, gdy wychodził z gospody.

Przez chwilę nasłuchiwał, czy ktoś znowu go nie śledzi. Wreszcie, powłócząc nogami, skierował się w stronę parku. Znalazł jakąś ławkę i usiadł na niej, rozglądając się przy tym na wszystkie strony. Oparł łokcie o kolana i zakrył twarz dłońmi.

W głowie huczało mu z bólu. Próbował zebrać myśli, zwalczyć zmęczenie i znaleźć sensowne wyjaśnienie tej irracjonalnej sytuacji.

Wszystko zaczynało go powoli przerażać. Wzdrygał się na każdy szmer i każdy szelest liści. Był tak wstrząśnięty tym wszystkim, że wystraszył go nawet mały, delikatnie popiskujący kundel, który widocznie sam się wypuścił na spacer, bo trzymał w pysku swoją własną smycz.

– Nieźle mnie trzepnęło... – jęknął Thomas, przecierając oczy ze zdumienia. – O cholera...

Po dłuższej chwili opanował fizyczne cierpienie i strach. Postanowił wrócić do domu najszybciej jak to możliwe, co w takim stanie stanowiło raczej nie lada wyzwanie.

W mieszkaniu czekała na niego tylko cisza. Nie musiał obawiać się tajemniczych nieznajomych.

Tymczasem miasto wciąż tonęło w mroku. Thomas, zwijając się z bólu, pośpiesznie mijał uśpione kamienice, z których okien zionęła nieprzenikniona czerń. To, co rankiem wydawało się takie swojskie i przyjazne, teraz go przerażało.

Co chwilę rozglądał się, czy znowu nie jest śledzony. Tak na wszelki wypadek.

A może ci faceci to tylko iluzja, projekcja jego własnego umysłu, upojonego zbyt wielką ilością alkoholu?

Kiedy zobaczył majaczącą w oddali sylwetkę domu, w którym mieszkał, uspokoił się, ale nie zwolnił kroku ani na chwilę. Strach i adrenalina sprawiły, że nie czuł znużenia, a wszelkie boleści na chwilę zniknęły.

Przystopował, gdy był już bezpieczny na korytarzu. Zapalił światło, dokładnie zamknął bramę kamienicy i powolnym krokiem pokonał klatkę schodową. Odszukał właściwy klucz, otworzył drzwi i z ulgą wszedł do mieszkania.

Poddając się zmęczeniu, opadł na łóżko i zasnął głębokim snem.

Zegar wskazywał godzinę 3.45.

6

W słoneczne przedpołudnie zamek Eleonory von Albertstein prezentował się imponująco. Po przebyciu parku przed oczyma przybysza odsłaniał się bajeczny widok, który można porównać jedynie z kilkoma niezwykłymi naddunajskimi zamkami w Bawarii lub we Francji nad Loarą. Ciepłe promienie radośnie odbijały się w niewielkich szkiełkach witrażowych okien, wywołując wrażenie czyjejś żywej obecności.

Komisarz Andreas Schultz wraz z Heinzem Müllerem, w towarzystwie jeszcze czterech innych funkcjonariuszy, właśnie podjechali służbowymi autami, by dokonać ponownych oględzin miejsca zbrodni i skonfrontować je z wiedzą pozyskaną od doktor Renner po sekcji w Zakładzie Medycyny Sądowej we Frankfurcie.

– Sierżancie, rozumiem więc, że posiadłość jest przez cały czas monitorowana? – zapytał, wysiadając z wozu, Schultz.

– Tak, oczywiście – odparł zdecydowanie Müller. – W zasadzie polega to tylko na śledzeniu obrazów z kamer zainstalowanych na zewnątrz obiektu.

– Nie uważa pan, że to zdecydowanie za mało?

– Ależ nie. Przecież nikt tutaj nie mieszka – odpowiedział naiwnie sierżant.

– No tak, ale mimo wszystko to jednak za mało. I jest jeszcze ten lokaj... Jak mu tam?

– Johann Baum.

– Naturalnie, Johann Baum. Dziękuję za przypomnienie.

– Nie sądzę, żeby to była jego sprawka...

– Przekonamy się. Na razie nie możemy być niczego pewni. Jest zbyt wiele niejasności.

Podeszli do wysokich frontowych schodów. Drzwi wejściowe zabezpieczone były taśmą policyjną, a futryna dodatkowo opieczętowana.

Komisarz usunął zabezpieczenia, a potem wyjął potężny klucz do zamkowych drzwi. Włożył go do otworu i przekręcił. Mechanizm głośno zazgrzytał, uwalniając zapadkę. Wrota posiadłości von Albertsteinów stały otworem.

– Pan tutaj zostanie z kolegą na straży – zarządził Schultz, wskazując na dwóch młodych, rosłych funkcjonariuszy. – Tak na wszelki wypadek. W razie czego proszę dać znać krótkofalówką.

Schultz, Müller i dwaj pozostali policjanci weszli do zamku. Za dnia wnętrze prezentowało się równie mrocznie jak wieczorną porą, z tą jednak różnicą, że nie przerażało tak bardzo.

Rozejrzeli się po holu.

Na pierwszy rzut oka wszystko wydawało się w porządku i na swoim miejscu. Rycerz w lśniącej zbroi mężnie pilnował wejścia na schody, z portretu na ścianie wciąż spoglądał założyciel rodu, a na witrażu nad schodami anioł groźnie unosił miecz.

– Wygląda na to, że miejsce zostało jednak dobrze zabezpieczone – odezwał się w końcu komisarz Schultz.

– Tak, na to wygląda... – odparł Müller, przytakując głową i rozglądając się po pomieszczeniu z zaciekawieniem.

– Proponuję, żebyśmy poszli na piętro do biblioteki i jeszcze raz przyjrzeli się miejscu zbrodni.

– W porządku.

– A potem złożymy wizytę naszemu lokajowi i zadamy mu kilka pytań. Może sobie coś przypomniał.

Schultz kazał dwóm towarzyszącym im policjantom sprawdzić hol, kuchnię i salę balową wraz z przyległościami. Nie mieli na to zbytniej ochoty, bo mroczna atmosfera zamku powoli zaczęła się udzielać także i im.

Biblioteka zamkowa, rozświetlona promieniami południowego słońca, sprawiała wrażenie oazy spokoju. Jak się okazało – byłoby to całkiem przyjemne miejsce, gdyby nie zbrodnia, którą obaj policjanci chcieli wyjaśnić.

– Panie Müller... Kiedy przybył pan na miejsce, hrabina leżała tutaj wśród porozrzucanych książek i dokumentów, czy tak?

– Zgadza się. Był to makabryczny widok – potwierdził sierżant, pokazując jeszcze raz dokładnie miejsce znalezienia zmarłej. – Miała bardzo szeroko otwarte oczy, tak jakby ktoś ją śmiertelnie wystraszył.

– No dobrze. Załóżmy, że została zaskoczona w tym miejscu, obok regału z rękopisami... Hm... I tutaj została zaatakowana...

– To jest jakaś hipoteza, ale sam pan wspomniał, że doktor Renner nie wyklucza całkowicie działania nieznanej trucizny.

– Racja, choć to nie stoi w żadnej sprzeczności z tym, o czym mówimy. Musimy jednak najpierw znaleźć motyw. Pomyślmy więc jeszcze raz – zaproponował Schultz i podszedł do

biurka, wokół którego znaleziono porozrzucane dokumenty, książki i inne materiały. – Może hrabina nad czymś pracowała? Wśród dokumentów znalazło się kilka listów zaadresowanych do krewnych i znajomych... Nie wydaje się to panu dziwne, sierżancie Müller?

Komisarz zaczął powoli przeglądać zebrane z podłogi dokumenty, wyłapując nazwiska, które wydały mu się skądś znajome. Potem otworzył szufladę, w której oprócz przyborów do pisania i pieczęci rodowych znajdowało się także niewielkie puzderko. Schultz wyjął je i otworzył.

– Czy ktoś wczoraj sprawdzał biurko? – zapytał.

– Tak. Nie znaleziono niczego, co mogłoby wzbudzić podejrzenie lub naprowadzić na jakiś trop.

– A to puzderko?

– To chyba nic takiego.

Schultz sprawdził. Było puste. Wewnątrz znajdował się tylko odcisk jakiegoś niewielkiego przedmiotu.

– Coś mi to przypomina... – zastanawiał się na głos komisarz. – Chyba już wiem, co mogło się tutaj stać.

Opowiedział sierżantowi o tym, co znalazła Renner podczas sekcji w żołądku zmarłej.

– Hrabina musiała gdzieś przechowywać coś ważnego. Tylko gdzie? – mruczał komisarz i zaczął powoli rozglądać się po bibliotece. – Żaden klucz do zamkowych pomieszczeń nie jest tak mały, więc do czego pasuje ten znaleziony w ciele denatki?

– Tego niestety nie wiem – przerwał mu Müller – ale sądzę, że hrabina mogła być zaskoczona czyjąś nagłą wizytą. Musiała rozegrać się jakaś głośna scena w holu. Starsza pani to usłyszała i szybko ukryła się w bibliotece, naprędce chowając coś cennego... może w biurku albo... albo w okolicy regału. To byłoby całkiem logiczne.

– Nie, na pewno nie w biurku. To zwyczajne biurko bez żadnych zapadek czy też schowków – odrzucił tę teorię Schultz. – Nawet jeśli ma pan w zasadzie rację, to jak wytłumaczy pan objawy podobne do otrucia i nagłą śmierć w męczarniach przy regale z rękopisami?

– Sądzę, że mogła tam uciekać przed napastnikiem.

– To bardzo prawdopodobne – przytaknął komisarz. – Ale skoro doszło do rękoczynów, to po jaką cholerę ktoś chciał ją jeszcze otruć? Dla zabawy?

– Podpis mordercy? – zgadywał Müller.

– Być może. Trzeba będzie zatem sprawdzić inne podobne przypadki.

Podeszli do regału, by przyjrzeć się miejscu zbrodni. Jeszcze raz zajrzeli pod mebel, lecz oprócz śladów zabezpieczonych wcześniej przez techników nic więcej nie znaleźli.

– Tutaj ktoś ją przycisnął do ściany i...

– I dalej nie wiemy, co się tak naprawdę stało – zakończył Schultz.

Nagle obydwaj usłyszeli jakiś cichy zgrzyt na piętrze biblioteki. Jakby coś się delikatnie przesunęło. Müller wyjął z kabury pistolet i spojrzał na galerię. Była pusta.

– Pewnie się przesłyszałem. To chyba my... – sierżant nie zdążył dokończyć zdania, bo nagle zwalił się na nich regał z rękopisami.

W bibliotece zrobiło się szaro od kurzu.

– Cholera jasna! Co to było? – warknął komisarz.

Schultz dotknął swojej skroni, która wyraźnie zaczęła krwawić. Westchnął głęboko i zaczął walczyć z przygniatającą go stertą zakurzonych starych ksiąg, z których niektóre ważyły dobrych kilka kilogramów. Regał także nie należał do najlżejszych – wszak wykonany został z solidnych dębowych desek. Mężczyzna próbował odnaleźć w sobie resztki sił, by podtrzymać ciężar.

Tymczasem na górze dało się słyszeć czyjeś kroki i nagły głuchy trzask. Müller pobiegł za odgłosami najszybciej, jak się dało, ale kiedy dotarł na górną galerię, nikogo już tam nie było. Jakby się ten ktoś po prostu rozpłynął w powietrzu. Nie potrafił też zlokalizować przejścia, którym napastnik uciekł. A może tylko mu się zdawało, że ktoś uciekał...

Zaległa cisza. Słychać było jedynie ciężki oddech mężczyzny, który siłował się z dębowym regałem oraz oprawionymi w skórę woluminami.

– Müller, chodź pan tutaj i pomóż mi, bo już dłużej nie dam rady – krzyknął spod regału komisarz.

– Przepraszam. Już idę. Jest pan cały, panie komisarzu?

Sierżant szybko wrócił na dół i nie bez trudu, wspólnymi siłami odstawili mebel na miejsce. Schultz kichnął kilka razy, następnie strzepnął z siebie kurz. Potem sprzątnęli bałagan, układając księgi na swoje miejsce. Zauważyli też, że śruby na tyle mebla zostały poluzowane.

– Cholera, ten ktoś doskonale wiedział, że tu będziemy... Ciekawe, ile udało mu się usłyszeć – podsumował zajście komisarz. – Zdaje się, że komuś bardzo zależy na zatarciu śladów i szybkim zamknięciu śledztwa bez dochodzenia szczegółów.

Schultz był cały szary od kilkusetletniego kurzu starych ksiąg i ciągle kichał, jakby nagle dostał ataku alergii. Z zakrwawioną skronią wyglądał dość niecodziennie, czym zwrócił uwagę

oczekujących w holu policjantów. Zaczęli się już nieco irytować przedłużającą się wizytą i czym prędzej chcieli stąd prysnąć, ale musieli wykonywać rozkazy.

– Nie widzieliście kogoś przemykającego się po zamku? – zapytał funkcjonariuszy sierżant. – Może coś słyszeliście?

– Nie, niestety. Stoimy tu od jakichś dwudziestu minut i czekamy na panów – odparł jeden z nich.

– Ciekawe... bardzo ciekawe. Nic nie słyszeliście? Naprawdę? – dziwił się komisarz. – Jak pan myśli, sierżancie Müller? Czas chyba odwiedzić lokaja Bauma, co?

– Tak, zdecydowanie.

Policjanci wyszli z zamku, zamykając dokładnie drzwi. Obeszli budowlę dookoła, przechodząc w kierunku ogrodu i domku dla gości.

W wielkim gotyckim witrażowym oknie biblioteki poruszyła się jakaś postać. Baczne oczy obserwowały przybyszów, śledząc każdy ich krok.

Ogród po południowej stronie zamku należał do najpiękniejszych w całej Hesji i na pewno był najlepiej zadbany spośród wszystkich kompleksów tego typu w okolicach Frankfurtu. Kwitło w nim mnóstwo różnobarwnych kwiatów i krzewów sprowadzanych z najdalszych zakątków świata. Najwięcej przestrzeni zajmowały róże i rododendrony. Ozdobna fontanna dodawała całości uroku i przynosiła nieco ochłody w upalne letnie dni. Wokół rozlegał się śpiew ptaków przenikający się z uspakajającym szumem wodnej kaskady.

Domek dla gości mieścił się w głębi ogrodu. Obrośnięty bluszczem sprawiał wrażenie opuszczonego, ale przyjaznego azylu. Całkowity spokój sprzyjał odprężeniu i owocnemu odpoczynkowi. Nic więc dziwnego, że hrabina tutaj właśnie lokowała swoich gości. Tutaj mieszkał też lokaj.

Johann Baum pełnił rolę służącego w zamku Albertsteinów od trzydziestu pięciu lat. Znał każdy kamień i każdy centymetr posiadłości. Tajemnice rodziny stały się także jego tajemnicami. Od śmierci brata Eleonory, hrabiego Alfreda, przed piętnastu laty zamek opustoszał niemal kompletnie. Dziedziczka fortuny zapraszała co prawda różnych gości i bardzo udzielała się społecznie, ale pełny dostęp do niej mieli tylko nieliczni. Tymczasem Baum odbywał wiernie służbę przy swojej pani każdego dnia, przygotowując posiłki, wykonując niezbędne sprawunki i prace domowe. Była to praca pewna, cicha i niewymagająca jakiegoś nadludzkiego wysiłku. Jedynym zmartwieniem lokaja było teraz, kto odziedziczył fortunę Albertsteinów, choć tak naprawdę śmierć dziedziczki oznaczała dla niego koniec ery dobrobytu i Johann Baum doskonale o tym wiedział. Mógł jedynie liczyć, że i jemu też coś się dostanie.

Policjanci zastali lokaja w ogrodzie przy pieleniu, wśród krzewów róż i innych bujnie rozkwitających roślin. Zdawał się nieco zamyślony, całkowicie oderwany od rzeczywistości – tak, jakby nie zdawał sobie sprawy z tego, że posiadłość straciła swoją panią, a on chlebodawczynię.

– Dzień dobry, panie Baum! – przywitał służącego komisarz Schultz. – Możemy chwilę porozmawiać?

– Ach, panowie z policji. Dzień dobry – odparł lokaj, który na widok ludzi bardzo się ożywił. Nie wyglądał na specjalnie zmartwionego ostatnimi wydarzeniami.

– Może sobie pan coś przypomniał w związku ze śmiercią hrabiny? Chodzi nam o szczegóły, które pomogłyby zidentyfikować sprawcę – zapytał sierżant Müller.

– Może i coś widziałem. Zresztą sam nie wiem... To wszystko działo się tak szybko... I potem ten straszny widok...

– Co konkretnie pan widział.

– No... wydaje mi się, że fragment sukni... Taki jak na tym starym portrecie w korytarzu prowadzącym do biblioteki... Pewnie panowie widzieli te wielkie obrazy?

– Zaraz, momencik. Sugeruje pan, że widział kobietę z obrazu w miejscu zbrodni? – zdziwił się Schultz. – Jest pan pewien, panie Baum?

– Tak... Chyba tak – powiedział nieco już wystraszonym głosem lokaj.

– To znaczy, że co... że widział pan kobietę odzianą w jakieś powłóczyste szaty? I to ta postać miałaby zamordować panią Eleonorę? – dopytywał się z niedowierzaniem Müller. – To jakaś niedorzeczność.

– Przysięgam na rodową pieczęć Albertsteinów, że tak było, przynajmniej tak mi się zdaje... – zarzekał się Baum.

– W porządku. A czy wie pan może, komu najbardziej zależałoby na śmierci hrabiny?

– Hm... Nie mam pojęcia. Hrabina była najserdeczniejszą kobietą pod słońcem. Kto mógłby chcieć ją skrzywdzić?

– Czy nie widział pan dzisiaj jakichś nieproszonych gości na terenie majątku? – dociekał detektyw Schultz. – Może był pan dzisiaj przypadkiem w zamku?

– Ja? Nie. Ja od rana siedzę wśród kwiatów. Nie... nie wiem, chyba nikogo nie było... – odpowiedział staruszek niepewnie, nasłuchując jednocześnie jakichś odgłosów z oddali, które go nieco zaniepokoiły.

Tymczasem policjanci pożegnali się, zostawiając lokaja samego. W drodze powrotnej rozglądali się jeszcze po majątku i dyskutowali o sprawie śmierci hrabiny oraz o dziwnym zajściu w bibliotece.

– To, co mówił lokaj, jest niemożliwe. To się nie trzyma kupy. Kobieta z obrazu? –

zastanawiał się na głos komisarz. – Coś tu jest nie tak. W razie czego trzeba będzie wziąć służącego pod obserwację. Może wtedy dowiemy się czegoś więcej.

Johann Baum wciąż pracował wśród kwiatów. Sprawiało mu to ogromną przyjemność. Kochał ten ogród, który od lat traktował jako swój azyl, i starał się robić wszystko, aby był najpiękniejszym miejscem w całej posiadłości.

Nagle ptaki wzbiły się w powietrze, zakłócając kojącą, martwą ciszę. Służący usłyszał zbliżające się kroki. Zdziwiło go to, bo nikogo się już dziś nie spodziewał.

– Panowie, ale chyba już wszystko wam powiedziałem – zawołał, myśląc, że to policjanci wrócili, aby go jeszcze o coś podpytać. – Jak sobie coś przypomnę, to... skontak...

Starzec jęknął, gdy coś wbiło mu się w szyję i do jego ciała dostała się śmiertelna trucizna.

Upadł sparaliżowany. Poczuł, jak wszystkie siły z niego ulatują. Ostatnie tchnienie i pożegnalne uderzenie serca. Oczy z przerażeniem wpatrywały się w przestrzeń, jakby na powitanie śmierci. Zanim skonał, ujrzał jeszcze ludzką postać. Zdawało mu się, że skądś ją zna, lecz umysł powoli zaczęła ogarniać bezkresna, mroczna ciemność.

– To ty... – wydusił z siebie lokaj, wydając ostatnie tchnienie.

Kobieta zamknęła służącemu wytrzeszczone z przerażenia oczy i odeszła, zostawiając za sobą woń lawendy.

7

Było tuż przed południem. Thomas wciąż jeszcze spał w swoim łóżku, ubabrany od góry do dołu krwią, błotem, uryną i czym się dało. Na dodatek cuchnął jak stado świń.

Spał tak mocno, że chyba nic nie mogłoby go obudzić. Do pracy nie poszedł. Zresztą i tak nie nastawił budzika. Po prostu zapomniał. Poza tym, nawet jeśliby chciał iść, to był w stanie, który zdecydowanie wykluczał normalne funkcjonowanie.

Jego ciało skutecznie odmawiało mu posłuszeństwa, boleśnie przypominając o nocnej przygodzie w rynsztoku. Za każdym razem, kiedy usiłował wykonać gwałtowniejszy ruch lub odwrócić się na drugi bok, kończyło się to tak żałosnym jękiem, jakby całą noc torturowano go w ciemnym lochu, co ostatecznie nie było tak dalekie od rzeczywistości.

Alkoholowe upojenie w gospodzie i późniejszy napad kilku drabów dawały mu się we znaki. Ból głowy wydawał się nie do zniesienia, a dźwięki zewnętrznego świata brzmiały niczym ryk pędzącego pociągu.

W końcu dobudził go natarczywy dzwonek komórki, który od dobrych kilku chwil nie dawał mu spokoju. Zwlókł się z trudem z posłania, by zakończyć ten koszmarny koncert i dowiedzieć się, kto zakłóca jego ciszę.

– Hej, Thomas! – usłyszał w słuchawce lekko podenerwowany głos Marty. – Gdzie ty się podziewasz? Co się z tobą dzieje?

– Ja... Ja chyba... Jestem w domu – odpowiedział z trudem mężczyzna, powstrzymując się na chwilę od pojękiwania. – Cholera, moja głowa.

– W domu? Marx chodzi wściekły jak osa i klnie na czym świat stoi. Podobno miałeś mu dzisiaj coś dać do kolejnego wydania.

– Kurde. Zaspałem. Wszystko mnie cholernie piecze i boli – jęknął. – Ledwie żyję. Miałem... miałem ciężką noc.

– Ciężką noc? Thomas, co ty opowiadasz? Wszystko w porządku?

– Nie, nic nie jest w porządku. Spotkałem nocą kilku kolesi, którzy chcieli się ze mną zabawić i... chyba im się to nawet udało.

– Nic z tego nie rozumiem.

– Ja też nie bardzo.

– A mówiłam...

– Przestań, proszę cię. I nie krzycz tak, bo łeb mi pęka – powiedział, jęcząc z bólu. – Sam nie wiem, co się działo minionej nocy, ale czuję się gorzej niż fatalnie, i to nie tylko dlatego, że ktoś porachował mi kości.

Thomas opowiedział krótko przyjaciółce, co pamięta z wydarzeń ostatniej nocy – jak spił się w gospodzie Pod Starym Gargulcem i jak potem kilku bandziorów zrobiło sobie z niego worek treningowy.

Mówił z trudem, ciężko przełykając ślinę. Wargi piekły go okropnie. Każdy ruch sprawiał mu ból, ale czuł, że powinien zrelacjonować dziewczynie to, co pamięta.

– Siedź w domu i nie ruszaj się – poleciła w końcu zdecydowanym głosem Marta. – Zaraz pogadam z Marxem i wyjaśnię tyle, ile powinien wiedzieć. Coś wymyślę, żeby się tak nie wściekał.

– Dobrze – westchnął Thomas. – Daj Marxowi mój tekst do następnego wydania. Jest w górnej szufladzie biurka.

– Nie ma sprawy. Będę u ciebie za godzinę – powiedziała i odłożyła słuchawkę.

Thomas czuł, jak w głowie kotłują mu się różne myśli, doprowadzając go do pasji. Na dodatek ten pulsujący, przeszywający ból, który paraliżował nawet najmniejszy ruch ciała. Przypominał wrak człowieka.

Jednocześnie był zły na siebie. Gdyby wiedział, że tak się to skończy, nie poszedłby do knajpy i nie spił się. Ale nie przewidział tego, bo jak niby miał to zrobić?

Pomimo bólu jakoś doczłapał się do łazienki. Zrobiło mu się niedobrze i zwymiotował wprost do umywalki.

Widok własnego ciała w lustrze – zakrwawionego i śmierdzącego – przeraził go. Twarz gęsto pokrywały bordowe siniaki, oczy miał mocno przekrwione i spuchnięte, wargi pokaleczone, a włosy posklejane krwią i jakąś jeszcze zaschniętą mazią.

Przed przyjazdem Marty postanowił wysilić się i nieco ogarnąć. Nie chciał, żeby zobaczyła go w takim stanie.

Nie bez trudu zaczął zdejmować z siebie brudne, śmierdzące ubrania, które po nocnej przygodzie nie nadawały się już do użytku.

Wszedł pod prysznic. Powoli odkręcił ciepłą wodę, pozwalając, by delikatnie obmywała go z brudu. Najpierw strumień poraził jego poranione i obolałe ciało, wywołując pieczenie. Jednak po chwili rozgrzał się i rozluźnił spięte z bólu mięśnie. Namydlił skórę i rozkoszował się kojącym ciepłem wodnego strumienia. Na chwilę zapomniał o wszystkich przykrościach minionej nocy, groźbach Marxa i wyjeździe do Frankfurtu, który miał zmienić jego życie.

Myślał tylko o Marcie...

Kiedy usłyszał pukanie, stał w kuchni ubrany jedynie w szlafrok i przygotowywał sobie herbatę z cytryną w nadziei na szybsze pozbycie się efektów wieczornego pijaństwa w gospodzie.

Powoli podszedł do drzwi, wciąż odczuwając bolesne konsekwencje spotkania z bandziorami. Spojrzał w wizjer i rozpoznał zgrabną, kobiecą sylwetkę Marty.

– Mój Boże, Thomas! Jak ty wyglądasz?! – krzyknęła wyraźnie zakłopotana przyjaciółka.

– Dzięki, że przyjechałaś. Mogłaś sobie oszczędzić widoku i wrażeń – odparł speszony.

– Owszem, mogłam, ale bardzo zmartwił mnie twój głos i to, że nie przyszedłeś dziś do pracy – rzekła zdecydowanie dziewczyna. – Marx się tak wściekał, że trudno było dziś z nim wytrzymać.

– Wyobrażam sobie. Ale...

Thomas próbował coś odpowiedzieć, ale przyjaciółka położyła palec na jego ustach.

– Nic nie mów! Zaraz zobaczę, co ci dokładnie jest, i wszystko mi opowiesz.

– Ja... Trochę doprowadziłem się do porządku, zanim przyszłaś, ale wciąż czuję się jak zbity pies – poskarżył się smutno mężczyzna.

– Właśnie widzę. Całe szczęście, że nie wylądowałeś w szpitalu lub na... na cmentarzu – powiedziała Marta z troską w głosie.

– Masz rację, całe szczęście.

– Poza tym powiedz mi, gdzie boli cię najbardziej. Przywiozłam jakieś opatrunki i kilka innych medykamentów, które udało mi się zdobyć.

– Przestań, proszę. Wcale nie musiałaś – odparł zawstydzony Thomas. – Jakoś dałbym sobie radę.

– Tak, na pewno. Spójrz na swoje mieszkanie. Wszędzie jakieś plamy, smród i bród...

– Marta...

– Thomas, daj sobie pomóc. Proszę... – przerwała mu błagalnym głosem.

Mieszkanie Thomasa rzeczywiście wyglądało równie fatalnie, jak on sam się czuł. Koszmarnie zabrudzona pościel i wszędobylski odór rodem z rynsztoka dawał się we znaki.

– Musiałeś być nieźle zamroczony i... skatowany... – powiedziała po chwili kobieta,

ostrożnie dobierając słowa.

– No tak, tak jakoś wyszło – rzucił półżartem, rozkładając ręce.

Jeszcze raz opowiedział o wizycie w gospodzie Pod Starym Gargulcem, spotkaniu z Antonem Felderem i bijatyce przy murach miejskich.

– Przykro mi... naprawdę – powiedziała Marta, delikatnie gładząc twarz i włosy przyjaciela i zabierając się do opatrywania jego obolałych członków.

Zaaplikowała mu porządną dawkę leków przeciwbólowych, których działanie od razu poprawiło samopoczucie poszkodowanego. Dopiero teraz mógł zebrać się w sobie i zacząć w miarę możliwości normalnie funkcjonować.

– Jestem potwornie zły na siebie i wstyd mi, że tak schlałem się w tej knajpie, ale po prostu nie wiedziałem, co robić.

– Mogłeś zadzwonić do mnie – odparła Marta. – Skróciłabym to służbowe spotkanie i przyjechałabym do ciebie.

– Nie chciałem, żebyś przeze mnie zawalała pracę.

– Thomas, ale są rzeczy ważne i ważniejsze. Praca nie może być całym życiem.

– Masz rację, ale mimo wszystko nie chciałem zarzucać cię swoimi problemami. Nie mogłem. No wiesz – odpowiedział stanowczo.

W międzyczasie oboje dopili przygotowaną przez Thomasa herbatę, delektując się nią. Subtelny posmak cytryny dodawał jej swojskiego klimatu. A potem Marta wprawną, kobiecą ręką uprzątnęła domowy bałagan, pomagając przyjacielowi przywrócić mieszkanie do stanu używalności.

– Coś sobie przypomniałem – powiedział po dłuższej chwili milczenia. – Wczoraj rano na biurku w redakcji znalazłem jakąś dziwną kopertę. Był w niej liścik.

– Liścik? To jakiś żart?

– Też tak myślałem, ale chyba już wszystko rozumiem... Chociaż nie, jednak tego nie rozumiem – zawahał się z miną kogoś zaskoczonego swoim nietrafionym odkryciem. – Zaraz, zaraz. Powinienem gdzieś mieć tę kopertę.

Thomas zaczął przeszukiwać swoje ubrania. Przetrząsnął je gruntownie, ale wśród poplamionych błotem szmat koperty nie było.

– No przecież pamiętam, jak ją wkładałem do kieszeni, zanim wyszedłem z redakcji – rzekł wyraźnie poirytowany. – Pokazywałem ją nawet Antonowi, który zdawał się równie zdziwiony jak ja.

– Thomas, może wydawało ci się tylko, że ją miałeś w ręku?

– Na pewno ta koperta była prawdziwa. Chciałem ci o niej powiedzieć już podczas lunchu, ale zapomniałem. Właściwie to otworzyłem ją dopiero wieczorem, zanim wyszedłem z biura.

Opowiedział Marcie o kopercie i wiadomości, którą skrywała. Wyznał jej, że wkurzył się, bo myślał, że to dowcip któregoś z redakcyjnych kolegów.

Jednak kobieta również w to nie wierzyła.

– Thomas... Myślisz, że ktoś chciał cię zastraszyć? – zastanawiała się. – Wiem, co mówiłam, ale może to tylko przypadek.

– No, nie wiem, jakoś nie przekonuje mnie to.

Podeszła do Thomasa i jeszcze raz przyjrzała się dokładnie jego ranom. Zauważyła kilka wciąż nieopatrzonych miejsc. Wzięła lekko wilgotną gazę i delikatnie zaczęła ocierać twarz mężczyzny z resztek krwi. Potem musnęła nią jego tors i szerokie, umięśnione ramiona, rozchylając poły szlafroka.

Zasyczał cicho, gdy natrafiła na bolesną ranę. Potem ujął jej dłoń i odłożywszy na bok gazę, zaczął całować.

– Zostaniesz tu dziś ze mną cały dzień, prawda? – zapytał ściszonym, błagalnym głosem. – Zostań, proszę. Pojutrze jadę do Frankfurtu i będzie mi ciebie...

– Brakowało? – dokończyła Marta.

– Tak, dokładnie.

– To miło. Zastanowię się na tym – droczyła się. – Właściwie... dlaczego nie? Mam dzisiaj wolny wieczór. Wypadałoby zaopiekować się cierpiącym przyjacielem...

Thomas bardzo się ucieszył. Zbliżył się do niej jeszcze bardziej, obejmując swymi ramionami i tuląc do siebie. Potem wszystko potoczyło się bardzo szybko. Jeden pocałunek wywołał nową, niekontrolowaną lawinę hormonów i namiętności, która ogarnęła ich niczym szał. Całował najpierw jej czoło i usta, budząc w sobie burzę uczuć i pozwalając się porwać namiętności, którą Marta odwzajemniała.

Zdjął jej bluzkę, obnażając kształtne piersi. Mimo wciąż piekących warg, pragnął zatopić się w niej. I wiedział, że ona także tego chce. Całował ją, gładząc jej nagie ciało. Delikatnie pieścił każdy centymetr jedwabistej, wypielęgnowanej skóry. Marta ujęła jego włosy, wbijając w nie swoje palce i rozkoszując się chwilą erotycznego uniesienia.

Spojrzeli sobie głęboko w oczy, by po chwili znowu namiętnie się kochać, zatapiając się

w sobie bez pamięci, wciąż bardziej i bardziej. Ich ogniste uczucie znowu wybuchło niczym wulkan.

Zanim się zorientowali, oboje znaleźli się na świeżo posłanym łóżku w sypialni Thomasa. Mężczyzna poczuł, jak wzbiera w nim męskość, jak zatapia się w ciele Marty, dając jej siebie w coraz mocniejszej ekstazie uczuć i pożądania. Delikatnie i powoli obdarowywał ją czułością. A ona odwzajemniała mu to, gładząc każdą część jego umięśnionego ciała. Czuli się tak, jakby cały świat nagle stanął u ich stóp, a czas zatrzymał się i trwał tylko w tej jednej, wyjątkowej chwili.

– Thomas – odezwała się nagle Marta.

– Tak?

– Chciałabym, żeby to znaczyło dla nas coś więcej.

– Więcej niż co?

– Więcej niż tylko chwilowa, nagła namiętność – tłumaczyła się przyjaciółka. – Wiem, że coś czuję do ciebie, że między nami jest...

– Chemia?

– Tak, nawet coś więcej... I ty chyba też tak to odbierasz, prawda? Widzę to za każdym razem.

– Tak.

Oboje usiedli wygodnie, opierając się o wezgłowie łóżka. Marta miała rację. Zaiskrzyło między nimi już bardzo dawno temu, ale dotąd obawiali się otworzyć na to rodzące się i tłumione od lat uczucie. W swoim towarzystwie czuli się znakomicie, rozumiejąc się niemal bez słów i w wielu sferach uzupełniając. Długo unikali relacji, która mogłaby diametralnie zmienić ich życie. Jednak ostatnie przeżycia i wspólne doświadczenia zbliżyły ich jeszcze bardziej.

Marta oparła głowę o pierś Thomasa. Czuła się przy nim bezpieczna i szczęśliwa. On zawsze potrafił ją rozbawić – czasami nawet do łez. Ona często troskliwie zajmowała się jego osobą – tak serdecznie, po przyjacielsku. Razem niejednokrotnie wybierali się do kina, teatru, a nawet w góry lub na wieś podczas wspólnych weekendów.

– Marta, jesteś moim największym skarbem... Najpiękniejszym darem od losu – wyznał jej Thomas. – Zrozumiałem to dopiero teraz.

Mężczyzna pocałował ukochaną delikatnie w czoło, spoglądając na nią i tuląc w swoich ramionach, a ona, oczarowana, przyglądała mu się uważnie, nie kryjąc zaskoczenia.

Nieuchronnie zbliżała się pora wyjazdu Thomasa do Frankfurtu, a młody dziennikarz czuł coraz większy dziwny niepokój.

To uczucie udzielało się także powoli Marcie. Martwiły ją jego opowieści o dziwnym liście z pogróżkami, który nagle zniknął, ale także napaść przy murach miejskich i nerwowa reakcja wydawcy gazety, w której oboje pracowali.

Wszystko to zaczynało wyglądać coraz dziwaczniej, ale trudno było jej znaleźć jakiekolwiek sensowne wytłumaczenie. Nie szukała więc odpowiedzi na siłę, lecz pozostawiła sprawy swojemu biegowi. Przynajmniej na razie.

W końcu poddała się magii nocy i przysnęła, tuląc się do piersi przyjaciela. Poczuła, jak ogarnia ją błogi spokój, przynoszący zapomnienie i odprężenie po wszystkich wrażeniach minionego dnia.

Gdzieś w oddali niebo znowu przecięły błyskawice, którym odpowiedziało burzowe echo. Nieuchronnie zbliżała się kolejna groźna, letnia nawałnica.

8

Noc spowiła Frankfurt woalem snu i chłodu. Wydawać by się mogło, że nocne życie zrobiło sobie tego wieczoru wolne. Nic bardziej mylnego.

Nieopodal Rhein-Strasse wciąż słychać było gwar, który docierał niczym echo dźwięków zagubionych za dnia. Życie tętniło w skupiskach ludzkich bez najmniejszej chęci zaprzestania swojego szaleńczego tańca, jakby nie chciało dać za wygraną. Mieszkańcy bawili się w najlepsze we frankfurckich dyskotekach i na wystawnych bankietach wydawanych przez rekiny światowej finansjery, w jaskiniach hazardu i cielesnej rozkoszy.

Jednak nie wszyscy bawili się równie dobrze...

Zza rogu Savigny-Strasse i Rhein-Strasse wynurzył się postawny, młody mężczyzna ubrany w sportową kurtkę i wytarte dżinsy, z modną czapką na głowie. Pomimo nocnych ciemności w jego oczach dało się dostrzec dziwny złowieszczy blask, który kazał trzymać się od niego z daleka.

Klucząc między latarniami, jeszcze raz obmyślał plan działania, przekonany, że wszystko pójdzie jak z płatka. Właściwie miał tylko znaleźć jakieś przydatne informacje i wykraść kilka ważnych dokumentów, potrzebnych jego zleceniodawcom. Zdziwił się, że nie chcieli tego załatwić w sposób bardziej legalny, ale skuszony pokaźną sumą pieniędzy zgodził się na tę nocną eskapadę – dla mamony gotów był nawet zabić. Zresztą takie wypady to dla niego nic nowego – podobne miał już na swoim koncie i za każdym razem odbyły się bez jakichkolwiek komplikacji. I o to właśnie chodziło także tym razem. Bez komplikacji.

Mężczyzna co chwilę rozglądał się na wszystkie strony, tak jakby – mimo wszystkich wcześniejszych ustaleń – coś go poważnie niepokoiło. A może nie chciał za bardzo rzucać się w oczy albo uciekał przed czymś? Zdecydowanie miał tylko ten jeden cel i chciał go osiągnąć za wszelką cenę.

Minął jakąś zakochaną parę, która była zajęta sobą tak bardzo, że nieomal się z nim zderzyła. Młodzi kochankowie szli mocno rozbawieni, zapominając o całym świecie i śmiejąc się bez skrępowania. Mężczyzna jednak w ostatniej chwili wyminął ich bezszelestnie, nie zdradzając ani na moment swojej obecności.

Kiedy znalazł się przed domem z numerem 45, znowu przystanął i rozejrzał się dokładnie, sprawdzając, czy nikt go nie widzi. Tak, to tutaj... – pomyślał, zacierając ręce z szelmowskim uśmiechem na ustach. Cudownie.

Poprawił swoją czapeczkę, potarł dłonie i postanowił czym prędzej zabrać się do dzieła.

Przylgnął do drzwi, na których wyraźnie można było dostrzec zarys dużego, stylowego szyldu kancelarii adwokackiej Brück & Kunick, wykonanego z dębowego drewna.

Z kieszeni wyjął niewielkie metalowe narzędzie, które na chwilę błysnęło, odbijając odległe światła latarń.

Wymacał dłonią położenie zamka w drzwiach, a potem wybrał najodpowiedniejszą końcówkę i włożył ją do otworu. Uczynił to z taką zwinnością, jakby była to najzwyklejsza w świecie czynność, powtarzana już tysiące razy.

Przez chwilę delikatnie manewrował narzędziem. Czekał w napięciu, aż mechanizm zabezpieczający drzwi ulegnie i będzie można bezszelestnie wejść do pomieszczenia. Nasłuchiwał. Zamek w końcu delikatnie zgrzytnął i drzwi stanęły przed nim otworem.

Mógł teraz czynić swoją powinność i odnaleźć to, co mu kazano.

Wślizgnął się do pomieszczenia, dla niepoznaki cicho zamykając za sobą od środka drzwi. Minął przedpokój, oświetlając sobie drogę niewielką latarką wielkości długopisu. Wąski strumień jasnego światła doprowadził go do gabinetu, w którym zazwyczaj pracowała Kathy Brück wraz ze swoim wspólnikiem.

Zatrzymał się przed jej biurkiem, które zamierzał dokładnie i szybko zlustrować – tak, jak mu polecono. Dokumenty Eleonory hrabiny von Albertstein, gdzie one mogą być? – zastanawiał się, omiatając światłem latarki pomieszczenie.

Wiedział doskonale, czego ma szukać. Został odpowiednio poinstruowany. Do wyobraźni przemówiła mu wizja bogactwa, wobec którego jedno czy dwa włamania, a nawet morderstwa to pryszcz.

Na biurku leżał spory stos papierzysk. Mężczyzna wziął latarkę w zęby i powoli zaczął je przeglądać.

Kiedy w końcu natrafił na plik kartek z nazwiskiem hrabiny, szybko zorientował się, że nie o nie chodziło. Były to tylko jakieś rachunki i odpowiedzi na prośby o wsparcie kilku dobroczynnych imprez.

Usiadł w fotelu za biurkiem i zaczął przetrząsać szuflady oraz szafki. Tam też nic nie znalazł. Żadnej teczki, żadnych pism sygnowanych herbem Eleonory. Po prostu nic.

– Cholera, przecież musi tu coś być... – mruknął wyraźnie już poirytowany włamywacz.

Rozejrzał się po pokoju i wtedy dostrzegł niewielką, białą kopertę na szafce tuż za biurkiem wspólnika Kathy Brück.

Na kopercie były jakieś stylizowane znaki. Rozpoznał kilka herbowych detali, ale właściwie nie rozumiał ich znaczenia i na wszelki wypadek schował znalezisko do kieszeni kurtki w nadziei, że trafił na właściwy trop.

W pokoju nie było ani żadnego sejfu, ani jakiejś specjalnej skrytki. I to bardzo go

zmartwiło. Wszędzie tylko papiery, segregatory i teczki z dokumentami, które zostały na tyle dokładnie poukładane, że każdy bez większych trudności mógł dotrzeć do niezbędnych materiałów.

Zdążył jeszcze odnaleźć terminarz adwokatów, który przekartkował pobieżnie. Raczej bez nadziei na powodzenie.

Jego uwagę przykuła informacja o pogrzebie Eleonory i poprzedzającym go spotkaniu.

„27 sierpnia, godz. 10.00 – spotkanie z Thomasem Michelem. List – klucz – dyspozycje hrabiny. Heiligen-Stift. WAŻNE!” – przeczytał.

Nazwisko Michel coś mu mówiło, ale nie bardzo wiedział, co dokładnie. Gdzieś już je słyszał. Wyjął notes z kurtki i zapisał sobie wszystko, aby o niczym nie zapomnieć.

– Znakomicie... – zamruczał mężczyzna, uśmiechając się do siebie.

Już miał zbierać się do wyjścia, kiedy nagle usłyszał jakiś zgrzyt przy drzwiach. Zdębiał na chwilę, zastanawiając się, kto to może być.

Cholera! Przecież miało nikogo tu nie być. Wszystko było tak dobrze przygotowane – pomyślał i zaklął po cichu.

Zgasił latarkę, podbiegł szybko do przedpokoju, zrzucając nieopatrznie na podłogę całą stertę dokumentów, i schował się w najciemniejszym zakamarku pomieszczenia.

Drzwi otworzyły się i stanął w nich niespodziewający się niczego Willi Kunick, który najwidoczniej czegoś zapomniał.

Prawnik nie zdążył nawet dotknąć włącznika światła, kiedy poczuł nagłe pchnięcie. Upadł, uderzając głową w komodę i tracąc na chwilę przytomność.

Napastnik pośpiesznie wypadł z kancelarii na ulicę, by znów wtopić się w mroczną ciemność miasta.

Był zaskoczony nagłą wizytą wspólnika Kathy Brück, ale przecież nie wracał z niczym. Zdobył informację, która może wiele znaczyć dla jego zleceniodawcy. Tego był raczej pewien.

A koperta? Zastanawiał się przez moment, czy może ją otworzyć. Bił się z myślami, ale wolał wiedzieć, co jest grane, niż oberwać przez jakieś niedopatrzenie.

Kiedy ją otworzył – ot tak, z ciekawości – zorientował się, że to tylko jakiś dziwny, niewiele znaczący świstek papieru. Z kieszeni spodni wyjął zapalniczkę i podpalił papier. Nie chciał, by w razie czego policja znalazła przy nim dowód włamania. Przez krótką chwilę obserwował, jak płomień pożera kopertę wraz z zawartością, zamieniając ją w popiół.

Mężczyzna skręcił w ciemny zaułek, znikając w mroku nocy.

9

Nocny pociąg wjeżdżał do Frankfurtu z półgodzinnym opóźnieniem, co było raczej rzadkością. Wszystko przez jakiegoś podróżnego, który w nieskończoność wykłócał się z maszynistą. Dopiero zdecydowana reakcja pozostałych pasażerów doprowadziła do konsensusu. Potem przytrafiły się jeszcze kolejne przeszkody na trasie, a kierujący pociągiem kolejarze bezskutecznie starali się nadrabiać po drodze stracony czas.

Zirytowało to Thomasa, gdyż – wychowany według pewnych zasad – wysoko cenił sobie porządek i punktualność.

Ostatecznie i tak mu się specjalnie nie śpieszyło. Miał zarezerwowany przedział tylko dla siebie i chciał wypocząć podczas drogi. Dawały mu się jeszcze we znaki skutki napadu, a każdy ruch wciąż sprawiał trochę trudności, choć generalnie czuł się już całkiem przyzwoicie.

– Dzień dobry, panu. Dojeżdżamy właśnie do Frankfurtu nad Menem. Proszę się powoli przygotować do opuszczenia pociągu. Zaraz będziemy na Dworcu Głównym – zakomunikowała dziennikarzowi kobieta z obsługi pociągu, pukając przedtem do jego przedziału i budząc go ze snu.

– Ech... – westchnął Thomas. – Bardzo pani dziękuję!

– Czy noc minęła spokojnie?

– Tak, wyjątkowo spokojnie – odparł Thomas.

– Cieszę się bardzo – odpowiedziała kobieta i poszła dalej.

Podniósł się niemrawo, założył obuwie i powoli przygotowywał się na spotkanie z miastem, które ukształtowało jego zawodowe życie i zmieniło spojrzenie na wiele różnych kwestii.

Ostatnim razem przebywał we Frankfurcie w czasie letniego urlopu. Spędzał go w majątku Eleonory, mieszkając w domku dla gości, jadając z hrabiną posiłki na zamkowym tarasie, odwiedzając wszystkie znane mu z czasów studiów knajpy i gospody. Nie mogło też zabraknąć górskich wypraw i wizyt w okolicznych kurortach, z których najbardziej urzekła go miejscowość Oberursel – znana jako wrota prowadzące wprost do gór Taunus. Od posiadłości dzieliło ją tylko 25 minut jazdy metrem. Z najwyższego szczytu Grosser Feldberg rozciągała się niezwykła panorama obejmująca dolinę Górnego Renu i Alzację. Nie mniejszą przyjemność czerpał z wypraw na szczyt Altkönig z kamienną koroną celtyckich wałów obwodowych. Teraz miał okazję przypomnieć sobie tę atmosferę.

Z dworca Thomas udał się na Römerberg, historyczne Stare Miasto. Była godzina 8.30. Miał jeszcze trochę czasu, więc postanowił wstąpić do pewnej urokliwej knajpki i zorganizować

sobie jakiś skromny posiłek oraz napić się porządnej kawy, która postawiłaby go na nogi.

Minął Kolumnę Sprawiedliwości i jego oczom ukazał się jedyny zachowany szesnastowieczny budynek starówki, w którym mieściła się restauracja Haus Wertheim. Tam zawsze podawano znakomite jedzenie, a fakt ten Thomasa bardzo mocno motywował.

Historyczne centrum miasta przywołało wiele wspomnień, które ożywały na każdym kroku. Przypominał sobie swoje studenckie wypady, czasy spędzone z kumplami z roku, ale i spotkania z hrabiną von Albertstein, która zawsze była dla niego kimś szczególnym.

Po śniadaniu i lekturze miejscowej gazety, w której natrafił na nekrolog i kilka artykułów o Eleonorze, wyszedł z lokalu, udając się w kierunku Rhein-Strasse. Minął gmach ratusza i dom Goethego, by po kilkunastu minutach marszu dotrzeć w końcu do celu.

Kiedy już był na miejscu, zaskoczyło go zamieszanie, które należało tutaj raczej do rzadkich widoków.

– Co tu się stało? – zapytał przechodniów, którzy właśnie tłoczyli się na Rhein-Strasse.

– Nie wiemy, ale skoro policja tu jest... – powiedziała starsza pani, spoglądając podejrzliwie na przybysza. – No, skoro jest policja i pogotowie, to chyba coś poważnego.

Thomas widział, jak funkcjonariusze zabezpieczali miejsce, a sanitariusze wynosili na noszach ciało mężczyzny w średnim wieku z zakrwawioną twarzą. Widniał na niej grymas pełen cierpienia, choć nie wyglądało to na nic groźnego.

Podekscytowany tłum mnożył spekulacje.

– To ten adwokat z uniwersytetu – prychnął ktoś z tłumu. – W końcu się doigrał.

– Ależ co pan opowiada, to bardzo porządny człowiek! – bronili poszkodowanego inni frankfurtczycy.

– Może i porządny, ale obsługiwał tylko bogaczy – odparowała gruba kobieta z tłumu gapiów.

– No i co z tego? Może tak było mu lepiej? – odezwał się czyjś głos z innej strony.

– Ha, pewnie, że lepiej! Grubsza kasa i te sprawy. Pieniądz nie śmierdzi.

– Wstydziłby się pan tak mówić, przecież ten człowiek jest naprawdę uczciwy. Wiem, co mówię!

Stojąc wśród ludzi, Thomas domyślił się w końcu, kto jest poszkodowanym, i zmartwiło go to nieco. Miał przecież pilną sprawę w tutejszej kancelarii.

Zastanawiał się, co z listem od Eleonory i czy teraz będzie mógł porozmawiać z Kathy

Brück, która dzwoniła do niego w sobotę wieczorem. Miał nadzieję, że to całe zdarzenie to nic groźnego, ale pewności nie miał.

– Jest pani pewna, że to współwłaściciel kancelarii Brück & Kunick? – zapytał stojącą nieopodal kobietę, która także obserwowała zajście i żywo je komentowała.

– Przynajmniej tak mówią ludzie – odparła. – Przecież to właśnie jego biuro. Tak, z całą pewnością. To on.

Thomas przyglądał się akcji policji i pogotowia z daleka. Choć za pół godziny powinien spotkać się z Kathy Brück, to jednak nie miał śmiałości, by właśnie teraz pojawić się w drzwiach kancelarii.

Postanowił jeszcze chwilę odczekać i dopiero potem udać się na rozmowę w sprawie listu.

W kancelarii wciąż panował chaos. Wszędzie kręcili się policyjni technicy, którzy powoli zaczęli zwijać taśmy i odmeldowywać się do innych zajęć.

Thomas stanął w drzwiach gabinetu punktualnie o godzinie 10. Kathy Brück pracowała przy swoim biurku, układając dokumenty, które ktoś z policji naprędce pozbierał z podłogi. Obok siedzieli komisarz Andreas Schultz i sierżant Heinz Müller, popijając z białych plastikowych kubków kawę i dopytując się o jakieś szczegóły, które mogłyby okazać się ważne dla śledztwa i ewentualnych poszukiwań.

– Na szczęście Willemu nic się nie stało – odetchnęła z ulgą prawniczka. – Lekarze mówią, że za kilka dni powinien dojść do siebie. Chociaż tyle dobrego w całym tym zamieszaniu.

– No ale guza to będzie miał dużego – odparował niespodziewanie Müller.

– Niechże pan nawet tak nie żartuje. Przecież mogło się naprawdę skończyć gorzej – żachnęła się Kathy Brück.

– Przepraszam, nie chciałem pani urazić. Nie mogłem się jednak powstrzymać – odparł ze wstydem w głosie Müller.

– Pani Brück, twierdzi pani, że raczej nic nie zginęło? – powtórzył już po raz któryś z kolei komisarz Schultz.

– Zgadza się, wszystko chyba jest na swoim miejscu – potwierdziła prawniczka. – Przejrzałam te dokumenty i raczej wszystko jest. Chociaż... nie do końca.

– To znaczy?

– Jeśli chodzi o dokumenty, to jest okej, ale nie ma takiej białej sygnowanej koperty, która leżała tutaj na regale – odpowiedziała.

– Jest pani pewna? – zapytał sierżant Müller.

– Nie wiem, może Willi ją wziął? Tylko po co? Może ją wyrzucił, ale wczoraj jeszcze tu była. Leżała dokładnie tutaj, na tym regale – wskazała dłonią.

– Czy może nam pani powiedzieć, co było w tej kopercie?

– To było bardzo dziwne. Jakieś powyklejane gazetowymi literkami słowa – tłumaczyła wspólniczka Willego Kunicka. – Coś o śmierci czy jakoś tak. Nie pamiętam dokładnie. Wiem tylko tyle, że znalazłam ją pod naszymi drzwiami w poniedziałek rano.

– Czy rozmawiała pani o tym ze wspólnikiem?

– Tak, zresztą mówiłam już, że być może on ją wyrzucił. Ja nie przywiązywałam do niej większej wagi, bo wydawało mi się to jakąś kompletną bzdurą.

Thomas przez chwilę przysłuchiwał się wymianie zdań. Sprawa z kopertą bardzo go zainteresowała, przypominając o podobnym zdarzeniu z jego udziałem. Stał w drzwiach gabinetu adwokatów od kilku minut, ale w całym tym ferworze nie został zauważony. W końcu postanowił włączyć się do rozmowy.

– Dzień dobry. Ja także otrzymałem taką kopertę, ale chyba ktoś mi ją ukradł. To rzeczywiście dość zagadkowa sprawa.

– Tak? A przepraszam, kim pan jest i co tutaj robi? – stanowczo zapytał Schultz. – Ej, wy tam! Wyprowadzić tego gościa stąd. Przeszkadza nam.

– Zaraz, zaraz. Chwileczkę. Nazywam się Thomas Michel i byłem na dziś umówiony w tej kancelarii w związku ze śmiercią mojej przyjaciółki Eleonory hrabiny von Albertstein. Podobno to miało być pilne.

– Thomas Michel. Ach, to pan... – powiedziała zaskoczona Kathy Brück. – Tak, oczywiście. Spotkanie jest aktualne. Mimo tych niedogodności muszę panu przekazać wszystko, czego zażyczyła sobie nasza czcigodna zmarła klientka.

– Jeśli wolałaby teraz pani ogarnąć swoje biuro, to mogę przyjść później. Nie chciałbym stawiać pani w niezręcznej sytuacji – odpowiedział skonsternowany Thomas.

– Nie, ta sprawa jest najważniejsza – przerwała mu w pół zdania Kathy Brück, wstając nagle z miejsca, by nadać swoim słowom większego znaczenia. – To naprawdę bardzo ważne i chyba dobrze się składa, że są z nami panowie z policji.

Policjanci ze zdumieniem patrzyli na młodego przybysza i panią adwokat. Nie bardzo rozumieli, co się dzieje i skąd Thomas nagle wziął się w kancelarii. Zastanawiali się nawet, czy to przypadkiem ów młody człowiek nie jest sprawcą włamania, potłuczenia Willego Kunicka i całego tego bałaganu.

Komisarz przypomniał sobie jednak dokumenty Eleonory znalezione w zamkowej bibliotece i z zaciekawieniem czekał na rozwój sytuacji.

Tymczasem Kathy Brück poleciła swoim dwóm sekretarkom, aby zajęły się uporządkowaniem papierzysk, a sama wraz z Thomasem i funkcjonariuszami przeszła do pomieszczenia obok, wyposażonego w sofę, cztery fotele, ławę i kilka zamykanych pancernych szaf, których włamywacz na szczęście nie ruszył.

– Panie Michel, czy mogłabym zobaczyć pańskie dokumenty, by potwierdzić pańską tożsamość? – zapytała. – Normalnie nie robię tego, ale w obecnej sytuacji chyba jestem zmuszona. Pani Eleonora ostrzegła mnie w swojej instrukcji, by na wypadek jakichś dziwnych okoliczności podjąć takie kroki, które usuną wszelką wątpliwość. Po dzisiejszym zajściu i rewelacjach, które przynieśli ze sobą panowie z policji, taka kontrola jest chyba nieunikniona.

Thomas podał swój dowód tożsamości i legitymację prasową. Adwokat wzięła je, a potem wykręciła numer redakcji „Stadt Nachrichten" i chwilę rozmawiała, dokładnie o niego wypytując. W końcu spojrzała na młodego mężczyznę przyjaźnie i poleciła usiąść wygodnie w fotelu. Na moment odwróciła się, by otworzyć jedną z szaf. Wyjęła szarą skórzaną teczkę z etykietą, na której widniało nazwisko klienta, i rozłożyła ją na ławie.

– Eleonora von Albertstein była kobietą o wielkim sercu, o czym zapewne się pan przekonał, panie Michel – zaczęła. – Posiadała ogromny majątek, który w głównej mierze stanowi wiekową spuściznę jej rodu. Jednak nie trzymała go wyłącznie dla siebie. Udzielała się społecznie i czerpała z tego ogromną satysfakcję.

– Wiem, bywałem u niej. To była wspaniała kobieta – potwierdził Thomas.

– W swojej instrukcji do testamentu wymienia głównie pana, choć przecież nie należy pan do rodziny. To bardzo zastanawiające – kontynuowała prawniczka. – Ale nie jestem tutaj od dociekania, lecz od przekazania pewnych ważnych informacji. W gronie spadkobierców sensu stricto znajduje się jeszcze jedna osoba, ale poza szlacheckimi przywilejami i tytułami dziedzicznymi oraz pewną niewielką gażą tylko pan został całkowicie uposażony.

– Nie rozumiem... Czy może pani jaśniej? – zapytał zmieszany Thomas.

– No cóż. Testament, zgodnie z wolą naszej zmarłej klientki, ma być w pełni ujawniony po upływie trzydziestu dni od jej śmierci, a więc dokładnie za trzy tygodnie – mówiła Kathy Brück, spoglądając w akta. – W tej chwili jest on zdeponowany w skrytce bankowej. W podobnej skrytce zdeponowany był również specjalny list, który zobligowana jestem teraz panu przekazać, panie Michel.

– List, który ma zmienić wszystko? – wtrącił Thomas.

– Tak, dobrze pan pamięta naszą pierwszą rozmowę.

– Ale co to ma znaczyć?

– Przekona się pan sam, kiedy go przeczyta. Osobiście nie wiem, o co dokładnie chodzi, ale mogę się domyślać z tego, co przekazała nam hrabina w swojej instrukcji. Oczywiście może pan przeczytać list, kiedy uzna to za stosowne, lecz nasza zmarła klientka prosiła, aby uczynił to pan niezwłocznie.

– Hm... Mówiła też pani, że powinienem wziąć dłuższy urlop. Mam czekać na otwarcie testamentu?

– Tak, dokładnie. Od tego zależy spełnienie woli zmarłej, tak jak sobie tego życzyła – rzekła prawniczka. – Ale jest coś jeszcze.

– Co takiego?

– Hrabina chciała, aby na ten czas zamieszkał pan w jej zamku. Oczywiście nie sam.

– Nie sam? To jakieś żarty? – zapytał zaskoczony Thomas.

– Niestety, nie mam dziś ochoty na dowcipkowanie, jak zresztą pan widzi – powiedziała ze spokojem panna Brück, spoglądając na niego zza swoich okularów. – Zamieszka pan w zamku z baronową Angelą von Schweinburg und Gotha, bratanicą naszej zmarłej klientki, która właśnie przyjechała na pogrzeb ciotki i już ulokowała się w rezydencji.

Mecenas wręczyła zdezorientowanemu klientowi zalakowaną herbową pieczęcią kopertę z wypisanym na niej odręcznie nazwiskiem Thomasa. Rozpoznał charakter pisma. To była cała Eleonora. Jej szlachetność wyrażała się nawet w pięknie wykaligrafowanych gotyckich literach.

Zaniemówił z wrażenia i przez dłuższą chwilę zdawał się nieobecny. W końcu został wyrwany z rozmyślań przez prawniczkę i policjantów, którzy opowiedzieli, co zdarzyło się w zamku i co mogło spowodować śmierć kobiety.

– A więc to nie była śmierć naturalna – powiedział po chwili Thomas.

– Można to tak najogólniej ująć. Uważam, że to było otrucie, ale wciąż czekamy na wyniki badań toksykologicznych przeprowadzonych w niezależnych instytutach w Miami i Wiedniu – odpowiedział komisarz Schultz. – Ekspertyzy przyniosą nam zapewne nowe dane i wtedy będziemy mogli szukać głębiej.

– Czyli konkretnie jeszcze nic nie wiadomo?

– Udało nam się ustalić hipotetyczny przebieg zdarzeń na podstawie zeznań jedynego świadka, lokaja hrabiny – kontynuował komisarz. – Ale to wciąż jest takie zwyczajne gdybanie. W każdym razie komuś bardzo zależy na tym, by to morderstwo nie zostało wyjaśnione.

– Hm... Zastanawiające – odpowiedział Thomas. – Nurtuje mnie jedno. Jak po tym wszystkim mam tam się wprowadzić?

– Tak po prostu. To chyba żaden problem? Nie musi się pan niczego obawiać. Wczoraj

nasza ekipa uprzątnęła bibliotekę i teraz w zasadzie można już tam wejść i mieszkać – powiedział sierżant Müller. – Na wszelki wypadek zostawimy panu nasz numer telefonu, gdyby coś się działo.

– Bardzo dziękuję, na pewno będzie mi raźniej – odpowiedział zrezygnowany dziennikarz, którego ta informacja raczej nie przekonała, bo choć pragnął spełnić wolę zmarłej hrabiny, to świadomość unoszącej się tam aury śmierci nie nastrajała go pozytywnie.

– Panie Michel, tu ma pan klucze do zamku. Zaraz po pogrzebie może się pan tam udać – wtrąciła Kathy Brück. – Przypominam panu jeszcze raz o liście. To było bardzo ważne dla hrabiny.

Wszyscy podnieśli się, wymieniając życzliwe spojrzenia. Thomas, z listem od Eleonory w ręku, wyszedł z kancelarii bez słowa.

Do pogrzebu pozostało jeszcze kilka godzin. Postanowił więc udać się do jakiejś knajpki, by przy kuflu wybornego, regionalnego piwa spożyć obiad, a następnie zastanowić się nad dalszym planem działania.

Idąc ulicami Frankfurtu, mijał stare, wiekowe kamienice, które cudem przetrwały wojenną pożogę i zostały pieczołowicie odrestaurowane. Całe miasto jednak było niemal całkowicie nowoczesne, co dawało się odczuć właściwie wszędzie. Przeszklone biurowce i zaganiani ludzie – to wszystko kontrastowało z urokiem zabytkowych budowli.

Thomas maszerował samotnie i bez pośpiechu, rozkoszując się każdą chwilą spędzoną w mieście pełnym wspomnień. Zastanawiał się, dlaczego hrabinie tak bardzo zależało na nim i jego przyszłości. Przecież nie byli nawet spokrewnieni. Bliscy sobie – tak, na pewno.

Trzymając w dłoni list zmarłej arystokratki, uświadomił sobie już chyba po raz tysięczny, że życie bez Eleonory na pewno się zmieni. Brakować mu będzie jej troskliwej opieki, której zawdzięczał swoją zawodową pozycję i umiejętności. Wytworna kobieta była dla chłopaka swego rodzaju oknem na świat, które otworzyło się przed nim, dając wgląd w nowe możliwości i wskazało kierunek rozwoju.

Co spowoduje jej odejście? – zastanawiał się Thomas, spacerując ulicami Frankfurtu. Czy otworzą się jakieś nowe drzwi?

10

– No, nareszcie pan przyszedł, panie Plank – powiedziała ze zniecierpliwieniem kobieta stojąca nieopodal okna zasłoniętego grubą, ciężką storą.

Dumnie wyprostowała sylwetkę, zwracając się ku drzwiom pokoju, w których pojawił się zapowiedziany przez hotelową recepcję przybysz.

W dłoni trzymała długiego papierosa, którym delektowała się tak, jakby to była najważniejsza czynność dnia. Zaciągnęła się nim z pasją godną smakosza tytoniowych wyrobów, by po chwili wyrzucić z siebie oszałamiający obłok nikotynowego dymu.

W pokoju panował półmrok, w którym skrywała swoją twarz, nie dając się rozpoznać. W jej głosie brzmiało jednak coś, co zdradzało jej nietuzinkowe pochodzenie. Nie była tylko zwyczajną kobietą biznesu. Jej zdecydowanie i władczy sposób bycia przykuwały uwagę i nakazywały okazywać respekt.

– Już myśleliśmy, że pan stchórzył lub po prostu został nakryty – dodał starszy mężczyzna siedzący obok w fotelu.

– Od samego rana w radiu i telewizji trąbią o nocnym ataku na kancelarię, którą miał pan zlustrować. Zastanawiałam się, czy przypadkiem nie wpadł pan w ręce policji, a to bardzo pokrzyżowałoby nam plany – przerwała mu kobieta.

Plank rozejrzał się po pokoju, próbując dostrzec coś więcej niż tylko mrok i opary snującego się gęsto nikotynowego dymu. Widział kilka tonących w ciemności mebli, jakiś stolik, komodę, sekretarzyk i kilka foteli – wyposażenie na wskroś nowoczesne.

Starał się przeniknąć panujący półmrok w nadziei, że może uda mu się zidentyfikować ludzi, z którymi się w tym miejscu umówił. Nie znał ich nazwisk ani pozycji społecznej. Jednak domyślał się, że był to ktoś władczy, pewny siebie i... obrzydliwie bogaty. Ktoś, kto zrobi wszystko, by osiągnąć swój cel.

Niepewnie uczynił krok naprzód, lecz po chwili czyjeś silne ręce przytrzymały go w miejscu.

Przy drzwiach stał ochroniarz, którego początkowo nie zauważył. Mężczyzna był dość wysoki i do tego nieźle napakowany, a jego twarz nie należała do najprzyjemniejszych widoków. W ponurej scenerii pokoju wydawał się potwornie odrażający. Plank próbował mu się wyrwać, ale uścisk okazał się silniejszy. Usiadł w końcu na wskazanym miejscu w najciemniejszym kącie pomieszczenia, zastanawiając się, co będzie dalej. Liczył na to, że może uda mu się wytargować coś więcej, choć miał świadomość, że nie osiągnął wszystkiego, co zamierzał.

– No, jestem – wyrzucił w końcu z siebie. – Przepraszam, że dopiero teraz, ale... Trudno

było mi się tutaj dostać. Wszędzie węszy policja i wypytuje o to nocne zdarzenie. Myślałem, że już po mnie.

– Panie Plank, to jak, znalazł pan coś, co mnie interesuje? – spytała w końcu kobieta, wciąż stojąc nieopodal okna. – Bo wie pan, jeśli nie, to o sowitej zapłacie może pan zapomnieć. W końcu niewiele brakowało, by wpakował nas pan w niezłą kabałę.

Plank poczuł oddech ochroniarza na swoim karku, a zimny pot spłynął mu po plecach. Rozmówczyni powoli podeszła do niego. Chwyciła dłonią jego twarz, a potem przejechała swoimi długimi, wypielęgnowanymi paznokciami po jego policzku. Poczuł, jak przenika go dreszcz, wyostrzając wszystkie jego zmysły, a woń lawendowych kobiecych perfum przyprawia o mdłości.

– Byłoby nam naprawdę przykro, gdyby nasza miła współpraca tak nagle się skończyła. Byłoby nam śmiertelnie przykro... – powiedziała niemal szeptem, zbliżając swoją twarz do ucha mężczyzny.

– Ja... Ja przeszukałem chyba wszystko.

– Tak? I dowiedział się pan czegoś?

– W zasadzie nic tam nie było.

– Jak to, nic nie było? Przecież to ona, ta Kathy Brück, prowadzi sprawę Eleonory von Albertstein! – warknęła ze złością kobieta.

– No, nic... nic takiego... chyba.

– Chyba? – wycedziła. – Bawi się pan ze mną w kotka i myszkę? Znalazł pan w końcu coś czy nie?

– Radziłbym panu mówić, bo nasz przyjaciel może chwilowo zapomnieć się i zrobić z pana kotlet schabowy – odezwał się ze stoickim spokojem siedzący w fotelu starzec. – Nie po to pana zatrudniliśmy, żeby teraz się pan z nami droczył i licytował.

– A może lubi pan, gdy się na pana naciska? – indagowała kobieta. – Alex, przytrzymaj mi tego ptaszka. Chyba chce się zabawić.

Ochroniarz złapał Planka za ramiona i przycisnął do fotela. Kobieta podeszła do niego tak blisko, że mężczyźnie zaczęło brakować tchu. Podwinęła lekko spódnicę i postawiła nogę na fotelu, na którym siedział, powoli przyciskając jego przyrodzenie. Plank poczuł, jak rośnie w nim jednocześnie strach i podniecenie. Jej nieoczekiwana reakcja wprawiła go w kompletne osłupienie. Tego się nie spodziewał.

Potem zobaczył niewielki nóż z lekko błyszczącym ostrzem w jednej dłoni kobiety, a rozżarzony papieros w drugiej.

Zimny pot znowu spłynął mu po plecach, a źrenice rozszerzyły się jeszcze mocniej, jak gdyby czekały na coś więcej. W końcu serce zaczęło mu mocno walić z przerażenia, gdy kobieta zimnym ostrzem dotknęła jego szyi i klatki piersiowej, manipulując przy tym papierosem w okolicach jego policzków.

– To jak? Dowiedział się pan czegoś? – spytała w końcu.

Uwięziony mężczyzna milczał przerażony, przez cały czas zastanawiając się, czy to, co znalazł, okaże się wystarczające.

– Miałeś się, człowieku, tylko czegoś dowiedzieć i tyle. A ty pogrywasz ze mną? – wycedziła z irytacją w głosie, dotykając policzków mężczyzny zimnym, metalicznym ostrzem noża. – To zbyt ważna sprawa! Zrozumiał pan? Zbyt ważna.

Kobieta odwróciła się. Plank odetchnął z ulgą, a ochroniarz poluzował uścisk. Już chciał coś powiedzieć, gdy oprawczyni odwróciła się i uderzyła go z całej siły w twarz.

Znowu go zaskoczyła, oszałamiając nagłym ciosem tak bardzo, że przez chwilę nie za bardzo wiedział, co się dzieje.

– Przepraszam, a za co to było? – zapytał w końcu Plank, pocierając dłonią bolącą szczękę.

– Jeszcze pan ze mną dyskutuje? Czekam na informacje. Nic więcej mnie nie interesuje – odparła, odwracając się od niego i idąc w kierunku starca.

– W porządku. Powiem wszystko, co wiem.

– I to mi się podoba. Nie można było tak od razu? Po co było kręcić?

– Nie kłamię. Naprawdę dowiedziałem się niewiele. Wszystkie dokumenty są chyba zdeponowane w innym miejscu.

– No tak. To było do przewidzenia – powiedział starzec. – Ta stara jędza się zabezpieczyła.

– Poza rachunkami nie znalazłem właściwie nic szczególnego... Nic szczególnego poza jedną rzeczą.

– Tak? A cóż to takiego? – zapytała zaciekawiona kobieta.

– Znalazłem notatki w kalendarzu na biurku adwokatów. Była tam informacja o spotkaniu z niejakim Thomasem Michelem.

– Thomas Michel... – powtórzyła. – Gdzieś już to nazwisko słyszałam. Czy było może coś więcej?

– Tak. Coś o kluczach i jakimś liście. Była też nazwa Heiligen-Stift.

– List? Heiligen-Stift? Co to, do cholery, ma znaczyć? – odparował starzec.

– Nie wiem. Mówię tylko, że to było wynotowane w tym kalendarzu.

– A jakieś inne papiery dotyczące hrabiny?

– Nic. Tak jak mówiłem. Proszę mi wierzyć – wymamrotał Plank błagalnym głosem. – Żadnych innych dokumentów. Tak mi się wydaje.

– Wydaje się panu? Może jednak coś pan przeoczył? Nie chcielibyśmy zostać wprowadzeni w błąd. Bo jak mówiłam, to zbyt ważna sprawa.

– Jest chyba coś jeszcze, ale o tym dowiedziałem się od kumpla, który podsłuchał to i owo w kancelarii dziś przed południem.

Plank opowiedział o tym, że jakiś mężczyzna, który podawał się za Thomasa Michela, przed południem odwiedził kancelarię, a Kathy Brück zaprosiła go do pomieszczenia obok i tam przez jakąś godzinę rozmawiali o hrabinie von Albertstein.

– Jest pan pewien, że chodziło o hrabinę? – zapytała kobieta.

– Tak, raczej tak. Podobno wyszedł z jakimś zalakowanym listem. Ma się pojawić dziś na pogrzebie, a potem zamieszkać w zamku – odrzekł informator, kończąc swoje opowiadanie.

– Zastanawia mnie jedno... – powiedziała zleceniodawczyni.

– Co takiego?

– Jak mógł pan nie zauważyć tego pomieszczenia i nie przetrząsnąć go? Za co ja panu płacę? Za jakieś popłuczyny czy za konkretne, namacalne wiadomości?

– Ale... Ja... – próbował się bronić Plank, gdy nagle znowu poczuł silny ucisk dłoni ochroniarza. – Ja nie widziałem tych drzwi. Były zbyt dobrze zamaskowane. Poza tym było tam cholernie ciemno, a na dodatek pojawił się ten Kunick.

– Ja to wszystko wiem, ale ten list jest ważniejszy niż to, co pan znalazł. Czy pan to rozumie? Jest najważniejszy! – powiedziała ze złością kobieta, wbijając paznokcie w jego twarz.

– Mam go zdobyć?

– A potrafi pan tego dokonać? Bo jeśli nie, to będziemy musieli się rozstać – rzuciła z sarkazmem kobieta.

– Chyba tak, postaram się – odpowiedział zdenerwowany Plank.

– Tak? Mam inny plan. Ale będzie musiał się pan bardziej postarać.

– Jestem bardzo zainteresowany. Ile za to dostanę?

– Wystarczająco, jak na pańskie potrzeby. Jednak najpierw poczekamy na rozwój sytuacji. Sądzę, że wkrótce wszystko się wyjaśni.

Kobieta podeszła do stojącego na środku pokoju stolika i wzięła leżącą na nim kopertę. Otworzyła ją, upewniając się, czy jest w niej właściwa zawartość.

– Na początek piętnaście tysięcy. Druga połowa później – zarządziła, wręczając mężczyźnie należność.

– Piętnaście? Miało być przecież trzydzieści! Tak się umawialiśmy.

– No tak, ale... ale trochę pan nas zawiódł, nieprawdaż?

– Zawiódł? Jak to, zawiódł? Skąd mogłem wiedzieć, że Kunick się pojawi i że są jeszcze jakieś cholerne drzwi?

– Nie interesuje mnie to. Podobno jest pan zawodowcem... Albo bierze pan pieniądze, albo nie. Pański wybór.

Plank próbował wykłócać się z kobietą o wysokość zapłaty, ale na próżno. Ochroniarz chwycił go za szyję i przycisnął do ściany, na moment boleśnie unieruchamiając. Mięśnie zaczęły mu odmawiać posłuszeństwa. Chciał walczyć, uwolnić się z uścisku, ale bezwład opanował jego kończyny, a przerażenie zaciemniło także jasność umysłu. Pomimo to był świadomy sytuacji i tego, co się do niego mówi. Kiedy znowu dostrzegł błysk ostrza przed swymi oczami, zdawało mu się, że to już koniec.

– Ze mną się nie dyskutuje – powiedziała kobieta, spoglądając mężczyźnie prosto w twarz i dmuchając w nią nikotynowym oparem. – Bierz te pieniądze, człowieku, jeśli chcesz. Jeśli nie, to trudno. Widocznie wolisz wylądować na cmentarzu. To jak?

Ochroniarz – na polecenie kobiety – rozluźnił uścisk na szyi Planka. Mężczyzna poprawił koszulę, założył swoją sportową czapkę, wziął kopertę i wybiegł z pokoju bez słowa. Postanowił jak najszybciej zniknąć.

Wybiegł z hotelu i skręcił w jedną z kolejnych wąskich uliczek, by po chwili zniknąć w tłumie przechodniów.

– Sądzisz, że Plank będzie nam jeszcze przydatny? – dopytywał się starzec.

– Tak, jestem o tym przekonana. Przecież to nie koniec. Poza tym zależy mu na naszych pieniądzach – odpowiedziała kobieta, odkładając do popielniczki nadpalonego papierosa. – A tego Thomasa Michela musimy mieć na oku.

– To prawda. Choć zdaje mi się, że jego osoba nie stanowi żadnej specjalnej zagadki.

– Tak sądzisz? Mnie też to nazwisko znajomo zabrzmiało.

– Pupilek Eleonory?

– No przecież! Gdyby się dobrze zastanowić i właściwie rozegrać...

– Czy myślisz o tym samym, co ja? – zastanawiał się mężczyzna, znacząco spoglądając na partnerkę.

– Tak, z pewnością. Ciekawe, co na to powiedziałaby Eleonora.

11

W Zakładzie Medycyny Sądowej we Frankfurcie panował spokój. Korytarze i pracownie tonęły w półmroku awaryjnego oświetlenia, odbijającego swój ponury blask od bladozielonych lamperii, tworząc mroczną atmosferę wszechobecnej śmierci. Tydzień wytężonej pracy dobiegał końca i większość pracowników zdążyła już pozamykać swoje sprawy, by spokojnie udać się na weekendowy odpoczynek. Na dyżurach pozostali tylko ci, którzy w razie potrzeby okazywali się absolutnie niezbędni.

Doktor Jenny Renner również powoli szykowała się do wyjścia. Właśnie wróciła z sali sekcyjnej, w której od rana wykonywała badania zwłok młodego inżyniera znalezionego na trawniku przed willą na przedmieściach Frankfurtu z poważną raną szarpaną szyi i jeszcze kilkoma innymi dziwnymi obrażeniami. Pomimo sporego stażu w zawodzie wciąż nie mogła pojąć skali ludzkiego okrucieństwa i choć wydawało jej się, że powinna być przecież już przyzwyczajona do widoku zimnych, szarych oraz martwych ludzkich ciał, to jednak dreszczem przejmowała ją świadomość śmierci, która każdego dnia oblepiała ją swoim zimnym, lepkim woalem, próbując wyssać z niej resztki człowieczeństwa i humanitarnych odruchów.

Renner usiadła na chwilę przy swoim biurku usłanym stosem dokumentów, zdjęć i teczek z aktami, by sporządzić jeszcze kilka notatek i podpisać ekspertyzy, które zostały jej właśnie przekazane przez sekretarkę Anę Walter.

– Dziękuję, Ana, że tak długo na mnie czekałaś – powiedziała Jenny, z trudem ukazując uśmiech na swej zmęczonej twarzy.

– To żaden problem, pani doktor. Po prostu chciałam dopilnować wszystkiego, tak jak zawsze.

– Tym bardziej dziękuję. Gdzie mam podpisać?

– O tutaj, tu i jeszcze tam, na samym końcu – odparła Ana. – Jest jednak jeszcze coś.

– Tak? A co to takiego?

– Przyszły jakieś dwa listy – odpowiedziała sekretarka. – Jeden ze Stanów Zjednoczonych, a drugi z Austrii. To chyba coś bardzo ważnego, bo dyrektor kazał mi je doręczyć bezpośrednio do pani rąk.

– Ze Stanów i Austrii? – zastanawiała się przez chwilę doktor. – Chyba wiem, o co chodzi. To rzeczywiście bardzo ważne.

Sekretarka podała swojej szefowej dwie grube koperty z dokumentami, na które ta czekała z nadzieją, że coś wyjaśnią w sprawie zagadkowej śmierci Eleonory von Albertstein.

– Jeśli nie będzie mnie pani dziś potrzebowała, to ja chętnie już pójdę – powiedziała nieśmiałym głosem dziewczyna. – Dziś idę na randkę z Filipem i jestem tym bardzo podekscytowana. Czekałam na to tak długo...

Ana zarumieniła się i nieco rozmarzonym wzrokiem spoglądała przez chwilę w przestrzeń. Była młodą, dwudziestopięcioletnią kobietą, o smukłej, zadbanej figurze i okrągłej twarzy, którą okalała burza drobnych, kruczoczarnych, lekko pofałdowanych włosów. W zakładzie pracowała od niedawna, ale od razu dała się poznać jako osoba dyskretna i kompetentna, co przy jej romantycznej naturze wymagało solidnej samodyscypliny. Renner zmierzyła pracownicę wzrokiem, spoglądając na nią z zaskoczeniem zza swoich okularów.

– No to dlaczego jeszcze tutaj stoisz, Ana? Idźże już do domu, bo randka przeleci ci przed nosem i chłopak będzie zawiedziony – odparła Jenny, przerywając egzaltowane marzenia sekretarki.

– A tak, prawda. Już mnie nie ma.

– No, powodzenia dziewczyno. Baw się dobrze – powiedziała doktor Renner i znowu usiadła za biurkiem.

Ostrożnie wyjęła zawartość obu kopert i zaczęła czytać. Na białym papierze wypisanych było mnóstwo danych, specjalistycznych oznaczeń i symboli. Patolog jednak nie sprawiło to problemu. Z łatwością odnalazła właściwy wynik badania próbek, które wysłała do Miami i Wiednia. Dokonując oględzin ciała Eleonory, miała pewne wątpliwości. Domyślała się, że doszło do otrucia, choć wszystko wydawało jej się dziwne i z trudem szukała odpowiedzi, których w swoim laboratorium i na sali sekcyjnej nie potrafiła znaleźć. Oczywiście pojawiły się pewne przesłanki, ale to za mało, by mieć stuprocentową pewność. A w tym przypadku nie mogła opierać się na jakichś niejasnych hipotezach. I o tym wiedziała aż za dobrze.

– Tak myślałam – powiedziała do siebie doktor Renner. – Nie mogło być inaczej, chociaż tutaj i tutaj jest coś jeszcze dziwnego. Nie rozumiem...

Wyjęła z kieszeni pęk kluczy i jednym z nich otworzyła najniższą szufladę w swoim biurku. Wyjęła teczkę, na której odręcznie wypisane było: *Eleonora von Albertstein – wyniki sekcyjne*. Otworzyła ją i wyszukała dokument, który potem porównała z wynikami badań zamiejscowych ośrodków medycyny sądowej. Następnie wzięła pióro i skrupulatnie odnotowała podsumowanie wyników ekspertyz:

Śmierć denatki – tak jak przypuszczaliśmy – nastąpiła na skutek zbrodniczego otrucia. Trudno jest jednak jednoznacznie stwierdzić, jaka substancja została użyta, ponieważ specyfik zastosowany przez mordercę należy do grupy tych, które po pewnym czasie nie pozostawiają śladów w organizmie.

Wyniki badań próbek tkanki wykonanych przez instytuty medycyny sądowej w Miami i Wiedniu oraz opis miejsca zdarzenia i stanu ciała denatki sugerują pavulon, który spowodował całkowity paraliż układu oddechowego i – w efekcie – zgon. Specyfik został wstrzyknięty zmarłej dożylnie, co wywołało natychmiastową reakcję organizmu ze skutkiem śmiertelnym.

dr Jenny Renner

Frankfurt nad Menem, dn. 27.08.2004 r.

Do akt podpięła dokumenty z wynikami, które właśnie otrzymała, i wszystko razem spakowała do teczki. Spodziewała się takiego obrotu sprawy, ale zawsze upewniała się, by nie popełnić błędu. Poza tym chodziło przecież o śmierć jednej z najznamienitszych mieszkanek Frankfurtu, której zabójstwo komentowały wszystkie media. Nie mogła więc sobie pozwolić na błąd.

Wzięła do ręki słuchawkę i wystukała numer komórki komisarza Andreasa Schultza.

– Dzień dobry, komisarzu. Tu Jenny Renner z Zakładu Medycyny Sądowej – powiedziała, gdy funkcjonariusz odebrał. – Mam już ostateczny wynik badań toksykologicznych, więc jeśli mógłby pan przyjechać, to chętnie wszystko przekażę.

– Znakomicie. Zaraz do pani przyjadę, chociaż nie mam za dużo czasu – odpowiedział policjant i odłożył słuchawkę.

Przez jakiś czas. Renner porządkowała dokumenty i już miała zamykać je w pancernej szafie, gdy w drzwiach pojawił się Schultz.

– Dzień dobry. Nie boi się pani sama siedzieć tutaj po godzinach? – rzucił na powitanie policjant z szelmowskim uśmiechem na twarzy. – Wokół ani żywej duszy...

– Bardzo śmieszne – odgryzła się, udając obrażoną. – Niektórzy na zewnątrz są bardziej sztywni niż ci ludzie z lodówki. Tutaj przynajmniej każdy trzyma fason i w zasadzie wszystko jest dość przewidywalne.

– No tak, przepraszam. Ma pani więc coś ważnego. Rozumiem, że chodzi o Eleonorę von Albertstein.

– Tak, chodzi właśnie o to, jak została zamordowana.

– Co mówią ekspertyzy?

– Właściwie to potwierdzenie moich przypuszczeń...

– Więc?

– Eleonora von Albertstein została otruta pavulonem, który tworzy sterydową strukturę podobną do hormonów: estrogenu i testosteronu – tłumaczyła patolożka. – Szybko się rozpada i praktycznie niemal nie pozostawia po sobie śladu.

– A więc jest tak jak sądziliśmy. Sprawca dożylnie wstrzyknął śmiertelną dawkę, która wywołała paraliż dróg oddechowych, tak?

– Dokładnie tak. Zaraz panu przekażę wszystkie dokumenty, by można było włączyć je jako materiał dowodowy do śledztwa – odparła Renner. – Ale to pokazuje nam jedno. Morderca miał dostęp do medykamentów, wiedział, czego szuka i jaki będzie efekt.

– Wszystko dokładnie przemyślał. Nie może być więc mowy o przypadku – kontynuował rozważania komisarz. – Bardzo dziękuję. Nie rozumiem tylko, skąd to przerażenie na twarzy denatki.

– Mnie też to zastanawiało, ponieważ pavulon nie wywołuje takich skutków. Być może wykorzystano także coś, co jeszcze trudniej wykryć niż to wspomniane już pankuronium.

– Czy wyniki z zagranicy potwierdzają tę tezę? – dopytywał się Schultz.

– I tak, i nie. W danych pojawiają się pewne sygnalne wielkości. Coś, co oznaczono jako ilości anormalne – wyjaśniła Renner. – Domyślam się, że chodzi właśnie o ten nieznany nam jeszcze specyfik. Jednak główną rolę sprawczą w przypadku tej śmierci odegrał pavulon i to w tej chwili jest już bezdyskusyjne.

– Jeszcze raz dziękuję – powiedział komisarz i już miał wychodzić, gdy nagle jakby mu się coś przypomniało. – Może da się pani namówić kiedyś na dobrą kolację?

– Kiedyś być może, ale proszę nie robić sobie zbyt wielkich nadziei – odparła zaskoczna Jenny.

– Nie będzie pani żałowała – nalegał policjant, który już od dłuższego czasu chciał umówić się z atrakcyjną patolożką.

– Panie Schultz, jestem naprawdę bardzo zmęczona i nie mam nastroju do flirtów. Jeśli pan pozwoli...

– Tak, oczywiście... Rozumiem. To do widzenia.

– Tak, do widzenia.

Andreas Schultz wyszedł z gabinetu, zamykając za sobą drzwi. Przystanął na chwilę i oparł się o bladozieloną ścianę korytarza. Odetchnął głęboko, poprawił krawat pod szyją i przetarł chustką spocone czoło. Po chwili ruszył wolnym krokiem przez mroczne pomieszczenia zakładu ku głównemu wyjściu. Zastanawiał się, czy dobrze zrobił, próbując umówić się z Renner, ale nie zaprzątał sobie tym długo głowy. Cieszył się, że ten pierwszy krok ma już za sobą. Nie tracił nadziei, że kiedyś uda się namówić panią patolog na smaczną kolację. Jednak teraz chciał już jak najszybciej dostarczyć ekspertyzy na komisariat, a potem podjechać na cmentarz, by przyjrzeć się żałobnikom uczestniczącym w pogrzebie hrabiny. Miał nadzieję, że uda mu się wyłapać coś podejrzanego, co pomoże mu w szybkim zamknięciu dochodzenia i w awansie, o którym marzył od lat.

Tymczasem na ulicy zaczął się już weekendowy tłok, a słońce wciąż paliło sierpniowymi

promieniami, wywołując uczucie skwaru. Zaduch zwiastował kolejną wieczorną burzę.

12

Thomas Michel wciąż siedział na ławeczce przed rodzinną kryptą hrabiów von Albertstein, trzymając w ręku odręcznie napisany list Eleonory. Jego wilgotna od łez twarz zdradzała burzę uczuć, które nim targały. Po latach owocnej znajomości z tą sześćdziesięciodwuletnią kobietą, która obdarzała go przyjaźnią i wsparciem, teraz będzie musiał sam stawić czoła przeciwnościom. W pewnym sensie przyzwyczaił się do jej cichej, ale bardzo wymownej obecności. A teraz... teraz brakowało mu jej czułego usposobienia, w którym odnajdywał coś z matczynej miłości.

Mimo wszystko kameralna uroczystość, na której zgromadziło się paru nieznanych mu bliżej krewnych hrabiny i kilkoro przyjaciół, stanowiła duże wyzwanie dla tego mężczyzny – z pozoru silnego i trzymającego fason. Wracały wspomnienia, które wywoływały złożone oraz intensywne emocje. Właśnie dlatego nie lubił pogrzebów. W końcu wziął list Eleonory i zaczął czytać go półgłosem, od czasu do czasu przecierając wilgotną od łez twarz.

Drogi Thomasie,

jeśli czytasz mój list, to znaczy, że właśnie zakończyła się moja doczesna pielgrzymka, a wraz z nią cząstka historii rodziny. Cieszę się, że po latach, dzięki Twojemu ojcu, znowu Cię spotkałam. Moją wolą jest, abyś zamieszkał w zamku razem z moją bratanicą Angelą, która lata temu opuściła mnie, mocno zasmucając swoim postępowaniem. Chcę, abyś ją poznał i przekonał do siebie.

Byłeś dla mnie kimś więcej niż tylko młodym przyjacielem, którego towarzystwo sprawiało mi tyle radości. Może nie rozumiesz jeszcze tego, ale... ale wkrótce się wszystkiego dowiesz. Pamiętaj, nic nie dzieje się przypadkiem. Chciałabym powiedzieć Ci wszystko już teraz, jednak to nie jest bezpieczne. Pomimo to wiedz, że wiele Ci pozostawiam.

Za tydzień o tej porze musisz udać się do opactwa Aller-Heiligen-Stift, które ukryte jest w lasach nieopodal gór Taunus – drogę wskaże ci stary poczciwy drwal Oswald. Poprosisz o spotkanie z ojcem opatem. On przekaże ci klucz do miejsca, w którym znajdziesz odpowiedź. Strzeż go jak oka w głowie! Stroń od fałszywych przyjaźni. Wielu jest bowiem takich, którzy czekali na moją śmierć i będą chcieli Cię zniszczyć.

Zamek ma wiele tajemnic... Odkryjesz je już niebawem. Jedna z nich dotyczy... Ciebie.

Twoja na zawsze,

Eleonora hrabina von Albertstein

Przez chwilę Thomas zastanawiał się nad znaczeniem słów Eleonory. Czy to jest ten list, który zmieni wszystko? Rzeczywiście, odkrywał przed nim coś, czego się nie spodziewał nawet

w najskrytszych marzeniach.

Na pozór wyglądał jak zbiór zdań, które co jakiś czas sprawiały wrażenie wyrwanych z kontekstu. Jakby stara hrabina pisała je w jakimś narkotycznym transie. Nie rozumiał, dlaczego ma poznać Angelę i po co to wszystko. Co ma znaczyć to, że znowu go spotkała? Wkurzało go to, że musi zamieszkać w wielkim, starym i ponurym zamczysku z kobietą, której nie zna. I jeszcze te kolejne tajemnice, ostrzeżenia i rady...

– Co to ma znaczyć, do cholery! – mruknął.

Minęło jakieś czterdzieści minut. W końcu Thomas złożył list i włożył go do kieszeni spodni. Otarł mokrą od łez twarz i chciał już odejść, gdy zza drzew wynurzył się komisarz Schultz.

– Pan tutaj? – zdziwił się dziennikarz. – Nie rozumiem. Był pan tu cały ten czas i przysłuchiwał się wszystkiemu? – Thomas poczuł się tak, jakby został przyłapany na gorącym uczynku, a przecież tylko rozmyślał nad tym, co go spotkało i co jeszcze go czeka.

– Tak, panie Michel, byłem tutaj. Byłem na całym pogrzebie, a potem zostałem, ponieważ pańska dłuższa obecność przy grobie hrabiny bardzo mnie zaintrygowała – wytłumaczył się policjant.

– No wie pan... Eleonora to jest... to była bardzo bliska przyjaciółka mojej rodziny – odparł Thomas.

– To raczej widać – potwierdził Schultz. – Rzadko się zdarza, by obcy ludzie na pogrzebach zalewali się rzewnymi łzami. Mnie jednak interesuje treść tego listu, który pan czytał półgłosem.

– Tak? A co w nim takiego interesującego? To tylko świstek ręcznie zapisanego papieru.

– Jakim cudem obca osoba cieszy się tak ogromnym zaufaniem potężnej i bogatej kobiety? Czy może mi pan to wytłumaczyć?

– Tego to i ja nie rozumiem. To wszystko jest jakieś dziwne, nierealne – powiedział po chwili zastanowienia Thomas. – Od ubiegłej soboty czuję się jak w malignie, a sytuacja powoli zaczyna mnie chyba przerastać.

– Tymczasem jest pan tutaj uziemiony.

– Tak, jestem uziemiony we Frankfurcie, w zamku hrabiny i właściwie nie wiem, do czego to doprowadzi.

– No tak. Ale otrzymał pan jakieś wskazówki...

– Panie...

– Schultz. Andreas Schultz.

– A tak, panie Schultz, to chyba nie stanowi przedmiotu dochodzenia – odparł zniecierpliwiony Thomas, któremu wścibskie pytania funkcjonariusza zaczęły już nieco ciążyć. – List, który otrzymałem w kancelarii, jest prywatną sprawą moją i Eleonory. Proszę na mnie nie naciskać, bym powiedział panu cokolwiek więcej.

– Rozumiem, przepraszam – odpowiedział komisarz speszony reprymendą.

– Tak naprawdę sam nie wiem, o co chodzi. Poza tym, proszę wybaczyć, ale Eleonora naprawdę była kimś szczególnym w moim życiu i dopiero ją pochowaliśmy.

– Czy w takim razie mógłbym panu jakoś pomóc?

– Hm... Myślę, że tak. Potrzebuję podwózki do zamku Eleonory, jeśli to nie byłby kłopot.

– Ależ żaden. Samochód stoi zaraz za bramą cmentarza – odpowiedział Schultz, wskazując kierunek, w którym powinni się udać.

Thomas odwrócił się w stronę grobowca, by jeszcze przez chwilę pogrążyć się w zadumie i pożegnać z Eleonorą. Pomnik miał kształt krypty czy też mauzoleum, w którym znajdowało się kilka sarkofagów. Ozdabiały je piaskowcowe epitafia, będące swoistą księgą umarłych. Żałobnik zbliżył się do sarkofagu, w którym złożono trumnę hrabiny. Przykucnął i prawą ręką dotknął wierzchu płyty nagrobnej, wykonanej z czarnego granitu. Znajdowała się na niej wypisana złotymi literami inskrypcja:

ELEONORA HRABINA VON ALBERTSTEIN
1942-2004
DZIEDZICZKA I UTYTUŁOWANA PANI
REQUIESCAT IN PACEM

Całość była zwieńczona takim samym herbem, jaki widniał wybity na liście oraz na frontowej ścianie i drzwiach zamku. W mroku grobowej kaplicy Thomas jeszcze raz ze wzruszeniem rozejrzał się dokoła, a potem ocierając wilgotne oczy, wstał i udał się ku wyjściu, w którym oczekiwał go Schultz.

– Możemy już jechać – stwierdził, gdy przymknął kratę krypty.

– No to chodźmy, bo zaraz chyba znowu będzie burza.

Niebo rzeczywiście powoli zasnuwało się gęstymi, czarnymi chmurami. Gdzieś w oddali dało się już słyszeć odgłosy żywiołu, który z impetem zaczął nacierać na Frankfurt.

Wiatr, jaki właśnie się zerwał, przyniósł orzeźwiającą świeżość, która po skwarze upalnego dnia wydawała się wybawieniem.

Dopiero w samochodzie dziennikarz zdał sobie sprawę, że nie może się zamykać w sobie

i musi się komuś wygadać. Policjant nadawał się do tego idealnie. W końcu słuchanie należało do jego obowiązków. Thomas opowiedział o przyjaźni z Eleonorą – o tym, co dla niego zrobiła i jak bardzo była mu bliska. Wspominał studia we Frankfurcie, wakacyjne wypady w góry Taunus oraz spotkania z hrabiną.

– Wiadomość o jej śmierci była dla mnie szokiem – mówił Thomas. – Poczułem się tak, jakby ktoś walnął mnie mocno w twarz i odebrał coś najcenniejszego. Rozumie pan?

– Tak to już jest, gdy ludzie odchodzą.

– Nie do końca. Kiedy odszedł mój ojciec, było inaczej – tłumaczył młody mężczyzna. – Ale tutaj ciągle są jakieś zagadki, listy, testamenty i jeszcze kilka innych dziwnych spraw. Po prostu nie rozumiem tego.

– Może nie powinien pan spoglądać na to w ten sposób, choć faktycznie dużo tych niewiadomych.

– Nie wiem. Weźmy na przykład ten list, który otrzymałem dzisiaj od panny Brück, i to, co ona powiedziała, że to zmieni moje życie.

– I co? Coś się zmieniło?

– Tak, zmienia się cała perspektywa. Wszystko wywraca się do góry nogam. I do tego te ciągłe tajemnice.

– Ale przecież jako dziennikarz powinien pan być do tego przyzwyczajony – zdziwił się detektyw.

– Możliwe, ale dotyczy mnie to osobiście i to już nie jest takie miłe i przyjemne.

– Mimo wszystko uważam, że pańska profesja pomoże panu się z tym uporać i poznać prawdę... – stwierdził z przekonaniem Schultz. – Może razem uda nam się znaleźć mordercę Eleonory? Byłby z nas niezły tandem.

– Tak pan myśli? Hm... Zobaczymy, jak się to wszystko dalej potoczy – odparł Thomas.

Andreas Schultz skręcił z głównej trasy i wjechał na ubitą polną kilkunastokilometrową drogę prowadzącą wprost do zamku. Po bokach rosły młode drzewka, które odgradzały trakt od pól uprawnych.

Tymczasem słońce dawno już przykryła gruba warstwa chmur i powoli zaczynało padać. Wiatr wciąż nie ustawał, wzmagając się z każdą minutą coraz bardziej. Gdzieś w oddali dał się słyszeć przeszywający łomot, a towarzysząca mu błyskawica wyłoniła z mroku ponurą sylwetkę zamku.

Średniowieczna warownia zdawała się już czekać na zbliżającego się gościa.

13

Wieczorną porą zamek wydawał się jeszcze potworniejszy niż za dnia. Jego dwie strzeliste wieże przypominały łapy potwora, który pragnął złapać i pożreć nieproszonych przybyszów. Na dodatek uderzające tu i ówdzie pioruny potęgowały ten niezwykły dramat – pełen grozy i przerażenia oraz nabuzowanej energią i przenikliwym szumem wiatru atmosfery. Deszcz padał coraz mocniej i woda zaczęła spływać strumieniami po zboczach wzgórza, na którym stał strzelisty gmach. Grunt w jednej chwili stał się grząski i błotnisty, a każdy kolejny krok okazywał się ryzykowny – zwłaszcza w połączeniu ze śliskim już brukiem ścieżki prowadzącej do schodów wejściowych.

– Raczej nie wygląda to zachęcająco – mruknął Thomas, gdy wysiadł z samochodu i skierował swoje kroki ku drzwiom fortecy Albertsteinów, taszcząc za sobą swoją jedyną walizkę. – Za dnia posiadłość wydaje się znacznie przyjemniejsza. Rzeczywiście trudno w to uwierzyć, że ktokolwiek tutaj mieszkał.

Przypomniały mu się stare filmy z Draculą, których tak bardzo obawiał się w dzieciństwie. W wyobraźni widział już różne straszne stwory pełzające po zamkowych komnatach i czyhające na niespodziewających się niczego ludzi.

Rozejrzał się dokoła, chcąc dostrzec jakiś znajomy szczegół, ale szybko zrezygnował z delektowania się mrocznym widokiem, by nie zmoknąć do reszty. Kiedy się otrząsnął, stał już przed frontowymi drzwiami, których wielkość po prostu go przytłaczała. Otarł dłonią twarz mokrą od deszczu i uderzył w dębowe drewno ciężką, mosiężną kołatką w kształcie lwiej głowy. Spodziewał się, że zapalone w holu światła są oznaką czyjejś obecności. Czekał kilka kolejnych minut, ale nikt mu nie otworzył. Chciał powtórnie uderzyć w drzwi, ale po chwili rozmyślił się. Dotknął prawą ręką ciężkiej klamki i pchnął z całej siły. Stare drewno ustąpiło, skrzypiąc przeraźliwie, i Thomas powoli wszedł do środka. Wokół paliły się wszystkie kandelabry, a w wielkim kominku po lewej stronie potężnych dębowych schodów płonął ogień, dając tego chłodnego sierpniowego wieczoru nieco ciepła. Gdzieś w nieodległej zamkowej jadalni głośno tykał zegar, ale poza tym wokół panowała przenikliwa cisza.

Mężczyzna rozglądał się z ciekawością po zamkowych salonach. Stare dywany, obrazy i przytłaczające boazerie z ciemnego dębu z jednej strony przyciągały go, wzbudzając niemałą fascynację, ale z drugiej odstręczały.

Nagle niebo przeszyła kolejna błyskawica, rozświetlając wnętrze bladym światłem. Thomas spojrzał odruchowo na witraż nad wielkimi schodami, na którym anioł z mieczem ze złowieszczym uśmiechem dobijał smoka. Dreszcz przeszedł mu po plecach. Miał wrażenie, jakby ta mityczna postać odmawiała mu wstępu do posiadłości Eleonory. Wzdrygnął się, ale po chwili przywołał się do porządku, nie tracąc zimnej krwi.

– Spokojnie, to tylko witraż, nic więcej – mruknął do siebie, wciąż jeszcze nieco zmieszany.

Po chwili znowu zaczął się rozglądać, szukając kogoś, kto mógłby wskazać mu miejsce noclegu lub z którym mógłby po prostu porozmawiać. Minął wielki kominek. Otworzył drzwi prowadzące przez mały korytarzyk wprost do zamkowej kuchni. Tam jednak też nikogo nie zastał.

– Halo, czy jest tu kto?! – zawołał, ale odpowiedziała mu głucha cisza. – Gdzie się wszyscy podziali, do jasnej cholery?

Thomas był święcie przekonany, że ktoś mieszka obecnie w zamku. Wiedział od Kathy Brück, że miała się zjawić Angela von Schweinburg und Gotha, bratanica Eleonory, która przybyła specjalnie na pogrzeb ciotki. Jednak dotąd nikogo nie spotkał. Bierne oczekiwanie wydawało mu się bez sensu, choć wiedział, że poszukiwania kogokolwiek w tak ogromnym gmachu z dziesiątkami pokoi i zakamarków nie przyniesie żadnych efektów poza frustracją.

– No to nieźle – zamruczał Thomas. – Jestem sam w wielkim zamczysku. Cholerny świat!

Kiedy tak się rozglądał, nagle usłyszał cichy, miarowy stukot kobiecych butów. Odgłos dochodził z góry. Odwrócił się i zobaczył na schodach kobietę w czarnej bluzce i obcisłych spodniach tego samego koloru, które uwypuklały jej znakomitą szczupłą figurę, krągłe piersi oraz długie zgrabne nogi. Jej twarz przypominała nieskalane oblicze anioła i złowieszczego demona zarazem – zagadkowe spojrzenie wyrażało jej kobiecą pasję i drapieżność, a jednocześnie pełną niedopowiedzeń, niedostępną sferę jej osobowości. Krwistoczerwone delikatne usta i proste blond włosy w słomkowych odcieniach słońca, spięte z tyłu głowy w kok w stylu dam z lat trzydziestych, dopełniały tego nadzwyczajnego wizerunku. Nieznajoma trzymała w ręku cienkie cygaro, pociągając je co jakiś czas namiętnie. Woń tytoniu połączonego z lekką nutką czekolady upajała zmysły. Thomas stał jak wryty i z ciekawością obserwował zjawiskową piękność. Jej maniery, chód i sposób bycia dowodził ekscentrycznego charakteru, który stanowił efekt jej wychowania, ale i świadomości swojej nietuzinkowej pozycji społecznej. Na jego oko miała jakieś trzydzieści pięć lub trzydzieści siedem lat, choć momentami zdawało mu się, że jest nieco starsza. Może to tylko gra światła i cieni? – zastanawiał się. Sprawiała wrażenie takiej nierealnej, a jednak obecnej, rzeczywistej i zaznaczającej swoją obecność, namacalnie wypełniając sobą całą przestrzeń.

Nieznajoma podeszła do Thomasa, który wciąż był pod wpływem jej uroku. Dotknęła dłonią jego policzka i ust, a potem delikatnie pocałowała. Poczuł intensywny zapach jej lawendowych perfum, których dotąd nie rozpoznał. Zmierzyła go wzrokiem z góry na dół, jakby chciała dokonać wyceny jego męskości, wystawiając na próbę jego zmysły.

– Czekałam na ciebie, Thomasie – powiedziała po chwili milczenia, po czym zaciągnęła się tytoniowym dymem, upajając się nim tak, jakby to była najcudowniejsza rzecz pod słońcem. – Przystojny, dobrze zbudowany, wysportowany... Przedmiot pożądania każdej przedstawicielki płci pięknej...

– T... tak? – wyjąkał zaskoczony. – Ale... czy my się znamy? Skąd pani wie, kim jestem?

– Nie, nie mieliśmy jeszcze przyjemności, ale wiele nas łączy... Zapewne – odparła

kobieta. – Cóż... Wiem o tobie wiele więcej, niż sądzisz. Nazywam się Angela von Schweinburg und Gotha, a ty jesteś Thomas Michel. Czy tak?

– Ależ oczywiście! Angela... Jesteś bratanicą Eleonory?

– Naturalnie, mój drogi – odpowiedziała. – Dawno mnie tutaj nie było. Zrzędliwa stara ciotka nie wykazywała nadmiernej chęci do spotkań ze mną, więc jest, jak jest. Ale to już przeszłość.

– Mam inne zdanie o Eleonorze i wiem, że...

– Nie interesuje mnie to – przerwała Thomasowi kobieta, wskazując na drzwi po prawej stronie holu. – Poza tym mamy dużo czasu na wymianę poglądów, a ty chyba jesteś głodny i zapewne chciałbyś odpocząć po dniu pełnym wrażeń.

Weszli oboje do wielkiej zamkowej jadalni. Na środku królował długi stół, na którym stało kilka mosiężnych kandelabrów z zapalonymi świecami. Ściany obite były karmazynową tkaniną i przyozdobione rzędem wielkich obrazów przedstawiających mityczne sceny walk tytanów – podobne jak te z arrasu w holu. Tu i ówdzie dało się dostrzec jakieś rzeźby o kobiecych i męskich kształtach, a tuż obok drzwi – kolejną rycerską zbroję. Na środkowej ścianie znajdował się stylowy rokokowy kominek, w którym buzował ogień, ocieplając atmosferę tego mrocznego pomieszczenia. W rogu zaś Thomas zobaczył zegar, którego tykanie słyszał już wcześniej.

Angela zaprowadziła go w głąb sali, gdzie czekało na nich nakrycie dla dwóch osób.

– Usiądźmy, proszę – zaproponowała delikatnym, lecz jednocześnie nieznoszącym sprzeciwu tonem. – Robert zaraz coś przyniesie.

– Robert? A co z Johannem Baumem? – zapytał. – Przecież to Johann był lokajem Eleonory!

– Johann... Johann musiał wyjechać – odpowiedziała zniecierpliwiona Angela i machnęła ręką, jakby było to coś absolutnie nieistotnego. – Nie mógł znieść atmosfery pustego zamku i braku swojej pani, no i... po prostu uciekł.

– Uciekł? To niemożliwe. On był najbardziej oddanym człowiekiem, jakiego znam. Nie zostawiłby zamku bez opieki i to jeszcze w takiej chwili.

– A jednak... – odparła, gdy zasiadła do stołu. – O, Robert już niesie nam swoje specjały. Lubisz zupę kartoflaną i pieczeń jagnięcą?

– Ja? Tak, czemu nie... – odpowiedział Thomas. – Wygląda i pachnie bardzo apetycznie.

– Na pewno będzie ci smakowało.

Kolacja była w iście królewskim stylu – wykwintna zupa, pieczeń i czerwone wytrawne

wino wprost z zamkowej piwnicy. Tylko rozmowa jakoś nie bardzo się układała. Bezpośredniość Angeli zaskoczyła przybysza tak bardzo, że zaczął zastanawiać się, czy to rzeczywiście bratanica zmarłej. Miała w sobie nie tylko coś z dystyngowanej damy, co umiejętnie wykorzystywała, wzbudzając respekt, ale równie dobrze umiała podejść rozmówcę i wykorzystując swój kobiecy wdzięk, sprawić, że nieświadomy niczego mężczyzna ulegał jej urokowi. Thomas nie potrafił jej do końca rozgryźć, choć bacznie się jej przyglądał. Zastanawiał się, czy może jej tak po prostu zaufać. Nie znał jej przecież prawie wcale. Kiedyś Eleonora opowiadała o niej i pokazywała kilka zdjęć, lecz nic poza tym. Wiedział, że hrabina wiązała z nią duże nadzieje, ale te z czasem przyblakły, a wtedy całą serdeczność przelała na niego.

Muszę się mimo wszystko pilnować, pomyślał, przypomniawszy sobie słowa z listu. Angela jest piękna i pociągająca, ale... nie mogę dać się usidlić.

Kiedy wieczorny posiłek dobiegał końca, Angela wzięła do ręki dzwonek i zadzwoniła. W drzwiach natychmiast pojawił się służący, ubrany w czarny surdut, który znakomicie kontrastował ze śnieżnobiałą koszulą. Był starszym mężczyzną, grubo po sześćdziesiątce, co dało się zauważyć po jego lekko pomarszczonej twarzy i siwych, przerzedzonych włosach.

– Robercie, weźmiesz zaraz po kolacji bagaż pana Michela i zaniesiesz go do komnaty mojego ojca – zakomenderowała nieznoszącym sprzeciwu głosem kobieta. – Taka byłaby zapewne wola mojej starej ciotki, która, jeśli dobrze pamiętam, bardzo cię, Thomasie, lubiła.

– Masz rację, Angelo, Eleonora była dla mnie kimś absolutnie wyjątkowym – odpowiedział śmielszym tonem, co stanowiło zapewne efekt trunku, który podano do kolacji. – Szkoda, że jej tutaj z nami nie ma.

– No cóż. Ja chyba nie za bardzo żałuję jej braku. Nie przepadałyśmy za sobą, mówiąc dość oględnie.

– To różnica charakterów czy priorytetów?

– Jedno i drugie – odparła zdecydowanie, zapalając kolejne cygaro z czekoladowej zapachowej kolekcji. – Ona była delikatna, wrażliwa, żałowała każdego żebraka i chciała zmieniać świat, trwoniąc majątek rodziny. Ja z kolei zawsze uważałam, że należy zachować te dobra ze względu na dziedzictwo i honor.

– Uważasz zatem, że jestem jednym z tych żebraków, których obdarowywała Eleonora?

– Cóż... Sam wiesz najlepiej – odpowiedziała z lekko złośliwym uśmieszkiem na twarzy.

– Tylko że ja niczego od niej nie chciałem. To ona pierwsza wyciągnęła do mnie przyjazną dłoń, jeszcze na długo przed śmiercią mojego ojca – bronił się Thomas.

– Mój drogi, jeszcze wielu rzeczy nie wiesz...

– Co chcesz mi przez to powiedzieć?

– Po chwili namysłu sądzę jednak, że wiesz więcej, niż mówisz – powiedziała z rozmysłem baronowa i zaśmiała się szyderczo.

– Angelo! Mam dość tych cholernych tajemnic i niedomówień – odfuknął Thomas. – Chociaż ty nie drocz się ze mną!

– Oj, jak się nasz rycerzyk obruszył... – odparowała, ignorując jego nagłe wzburzenie. – Niepotrzebnie tracisz energię na głupie utarczki ze mną. Powinieneś zachować ją na inne okazje, których na pewno ci nie zabraknie. To mogę ci zaręczyć!

Angela wstała i podeszła do Thomasa. Spojrzała na niego z wyższością, chcąc pokazać mu, gdzie jest jego miejsce. W tej sytuacji speszony dziennikarz znów poczuł zakłopotanie, ale nic nie mógł na to poradzić. Objęła go od tyłu, rozkoszując się bliskością nowego lokatora zamku. Mężczyzna wyprostował się, podczas gdy kobieta dotknęła dłońmi jego umięśnionej klatki i szerokich barków, powoli pochylając się ku niemu.

– Koniec tych dyskusji. Czas, byś zobaczył swój nowy pokój – szepnęła mu uwodzicielsko do ucha.

Wchodząc po wielkich dębowych schodach, mijali portrety kolejnych hrabiów von Albertstein. Weszli na pierwsze piętro. Półmrok spowijał korytarz, wzdłuż którego leżał długi, stary, zatęchły czerwony chodnik. W oddali majestatycznie prezentowały się okazałe drzwi biblioteki zamkowej.

Komnata Alfreda von Albertstein, młodszego o rok brata Eleonory, znajdowała się na pierwszym piętrze w centralnej części zamku. Był to apartament bardzo przestronny, z dużymi oknami wychodzącymi na podjazd i park. Składał się z sypialni, gabinetu i łazienki.

Po śmiertelnym wypadku, któremu uległ Alfred, okazały pokój pozostał pusty. Osiemnastoletnia wówczas Angela, poróżniona z ciotką, wyjechała z zamku, bez słowa znikając na długie lata. Po tym wszystkim hrabina sama zaglądała do komnaty, by osobiście dopilnować porządku i zachować przez to więź z ukochanym zmarłym bratem.

W apartamencie wszystko było już przygotowane – pościel, środki czystości, a nawet przybory do pisania, gdyby okazały się konieczne. Thomasa zaskoczyła nowoczesna łazienka – takiej w tym miejscu raczej by się nie spodziewał – urządzona tak, jakby przynależała do wystroju pięciogwiazdkowego hotelu. Wszystko inne jednak, utrzymane w starym stylu, przypominało o świetności rodu i rezydencji – siedemnastowieczne komody i skrzynie, dziewiętnastowieczne wielkie łóżko z baldachimem i sekretarzyk z tego samego okresu.

– Mam nadzieję, że będziesz się tu czuł dobrze – powiedziała w końcu Angela. – Gdybyś czegoś potrzebował, jestem w pokoju na drugim piętrze, tuż przy schodach.

– Dziękuję, ale chyba sam dam sobie z tym wszystkim radę. Jestem już dużym chłopcem – odparł nieufnie Thomas, który czuł się już bardzo zmęczony i chciał jak najszybciej pozbyć się kobiety oraz jej służącego, aby w końcu udać się na spoczynek. – Zatem dobranoc.

– Dobranoc, Thomasie – powiedziała Angela, ucałowała go uwodzicielsko w policzek i powolnym krokiem odeszła, zamykając za sobą drzwi komnaty i pozostawiając narkotyczny zapach lawendowych perfum.

Thomas ostrożnie przekręcił klucz w drzwiach. W końcu miał czas tylko dla siebie. Był sam w apartamencie, w którym zazwyczaj mieszkali książęta i baronowie. Czuł się rzeczywiście jakoś nieswojo, kiedy rozejrzał się dokoła po pomieszczeniach oddanych do jego wyłącznej dyspozycji na wyraźne polecenie zmarłej Eleonory. Przytłaczały go ciężkie bordowe zasłony i tkaniny na ścianach oraz ciemnobrązowe dębowe boazerie i ozdoby. Nie czuł się z nimi dobrze.

Sam zamek przerażał go jeszcze bardziej, i to nie tylko rozmiarami, ale przede wszystkim ponurą aurą, która od śmierci Eleonory zdawała się w nim coraz bardziej ujawniać. Zastanawiał się nad tym, co naprawdę się wydarzyło i jakie jeszcze niespodzianki na niego czekają. Niepokoiła go dodatkowo sama bratanica hrabiny, która najwyraźniej chciała się do niego mocno zbliżyć i zdobyć jego zaufanie. Wyczuwał, że zna ona niejedną tajemnicę tej rodziny i najchętniej pozbyłaby się wszelkich intruzów, zwłaszcza pretendentów do schedy po zmarłej ciotce. Nie mógł jednak zrozumieć, dlaczego jej widok tak bardzo go paraliżował i jednocześnie wzbudzał coraz większe pożądanie. Chętnie by się jej oddał, ale była przecież w jego życiu Marta – kobieta, którą kochał najbardziej na świecie. Tego nic nie mogło zmienić.

Thomas zgasił wszystkie światła i rozłożył się wygodnie na swoim łożu. Senność zaczęła pochłaniać go coraz mocniej, powoli przejmując kontrolę nad znużonym ciałem.

W oddali dał się słyszeć świst szalejącego wiatru i odgłos oddalającej się letniej burzy.

Nad zamkiem Eleonory von Albertstein znów zapadła grobowa cisza.

14

Noc okazała się wyjątkowo spokojna. Groźna burza odeszła i zza chmur wychylił się księżyc, jasnym światłem rozświetlający powierzchnię zroszonej wieczornym deszczem ziemi. Jego promienie okalały rezydencję Albertsteinów, tu i ówdzie walczyły z mrokiem, chcąc wedrzeć się przez szkiełka witrażowych gotyckich okien do zamkowych wnętrz. Magiczna aura ogarnęła posiadłość, otulając mglistym woalem dziedziniec z podjazdem, park oraz ogród zamkowy. Wszystko wydawało się takie inne, nieziemskie, pełne uroku. Tylko stare, sterczące spod zamkowych gzymsów, piaskowcowe gargulce, ze swymi przeraźliwymi i pełnymi grozy obliczami, wymykały się spod wpływu tej idyllicznej magii nocy, jakby gotowały się do ataku na zbliżającego się cichaczem nieprzyjaciela.

Ucichł wiatr, a gdzieniegdzie dało się słyszeć złowieszcze pohukiwania nielicznych sów i odgłosy dzikiej, leśnej zwierzyny.

Thomas spał spokojnie już od dobrych paru godzin. Noc przyniosła mu ukojenie i odpoczynek. Był totalnie wykończony wydarzeniami minionego dnia i przygodami, którym musiał stawić czoło.

Na zamkowych korytarzach panowała grobowa cisza i tylko od czasu do czasu rozlegał się cichy szmer dobiegający z szybów kominowych.

Otulony pościelą, Thomas poczuł instynktownie czyjąś wyraźną obecność i zdawało mu się, że słyszy szept, który coś mu przypominał, ale nie mógł się zdecydować co.

Odgłosy stawały się coraz głośniejsze, aż w końcu rozpoznał w nich ludzkie słowa, których znaczenia początkowo nie potrafił zrozumieć. Zdawało mu się, że to jakieś potępieńcze pojękiwania, od których włos się jeżył na głowie, lecz potem tajemniczy szept zmienił się w pełen czułości, miłosny i uwodzicielski głos kobiety.

Thomas wstał z łóżka i rozejrzał się ostrożnie po pokoju, by sprawdzić, skąd dobiegają te wszystkie dziwne dźwięki, ale nic nie znalazł. To chyba wybryki mojego zmęczonego umysłu, pomyślał i na powrót wygodnie ułożył się na swoim posłaniu.

Tymczasem nie minęło nawet pięć minut, kiedy podłoga sypialni mocniej zaskrzypiała, a głos kobiety stał się jeszcze wyraźniejszy, jak gdyby ktoś zbliżał się do jego łóżka. W słowach, które doń docierały, rozpoznawał znowu wyznanie pełne miłości. Pomyślał o Marcie, która go pociągała nie tylko czysto fizycznie, ale także emocjonalnie.

– Marta, to ty? – rzucił w mroczną przestrzeń komnaty, jakby wyczekiwał spotkania z przyjaciółką.

– Kochaj się ze mną... Weź mnie i kochaj się ze mną... – dobiegł go głęboki, zmysłowy głos z prawej strony łóżka, tuż przy jego twarzy.

Nagle dostrzegł, jak z ciemności wyłania się naga postać kobiety, która – oświetlona nikłym blaskiem księżyca – powoli zaczęła zbliżać się ku niemu. Jej kształty i twarz wydawały mu się znajome, przypominając o kimś, kogo kocha najbardziej.

– Marta? Czy... czy to naprawdę ty? – zapytał Thomas.

– Tak, kochanie, to ja... Marta – usłyszał w odpowiedzi. – Kochaj się ze mną... Weź mnie i kochaj się ze mną.

Postać zbliżyła się w końcu do niego i bladymi dłońmi objęła jego twarz. On zaś odwdzięczył się jej pocałunkiem – długim i pełnym czułości, który na nowo rozpalił jego pragnienia stłumione na skutek smutnych wydarzeń poprzedniego dnia. W jednej chwili zdał sobie sprawę, że pragnął tego, odkąd przyjechał do Frankfurtu. Bardzo potrzebował zmysłowej i emocjonalnej intymności z ukochaną osobą.

Kobieta bezszelestnie położyła się obok niego w miękkiej pościeli. Powoli ściągnęła z niego koszulę i pieszcząc jego muskularne ciało, przysiadła na nim, poruszając rytmicznie biodrami. Thomas poczuł, jak rozpiera go wprost nadludzka energia. Znużony wcześniej organizm, pobudzony do granic wytrzymałości tym miłosnym impulsem, zaczął współgrać z rozpalonym ciałem partnerki, która powoli, lecz zdecydowanie, przejmowała nad nim kontrolę. Trwało to może kilka lub kilkanaście minut, ale czas nie miał dla niego w tym momencie znaczenia.

Zanurzył się w Marcie jeszcze bardziej niż poprzednio, wchodząc w nią coraz mocniej i oddając się jej całkowicie. W końcu odchylił do tyłu głowę, wydając z siebie okrzyk pełen spełnienia.

Kobieta przez dłuższą chwilę mocno trzymała Thomasa za włosy, niemal wbijając swoje palce w skórę jego głowy. Powoli całowała jego twarz, usta, szyję i tors.

Spojrzała na niego namiętnym, wyzywającym wzrokiem. Wtedy ich oczy spotkały się, a on jeszcze raz doznał tego samego niezwykłego uczucia, w którym urzeczywistniała się jego męskość, siła i gorąca miłość. Z pasją gładził blade, aksamitne ciało ukochanej i pieszczotliwie dotykał krągłych piersi. Potem znów zaczął przybliżać ją ku sobie, by zjednoczyć się z nią i móc uprawiać miłość – tak bez końca, ulegając urokowi pełnemu pożądania. Kobieta znów krzyknęła.

– Kocham cię, Marto... – wyjęczał Thomas, oddając się bez reszty seksualnemu transowi.

Mężczyzna spojrzał na kochankę jeszcze raz. Nie było już Marty.

Przyszło zdziwienie, a może nawet strach. Zimny pot popłynął mu po plecach. Ujrzał inną twarz okoloną burzą jasnoblond włosów. Dostrzegł w niej obcość i wyrachowanie, a w oczach chłód i bezwzględność. Zdał sobie jednak sprawę, że utknął w tym uścisku i nie mógł w żaden sposób uciec. Stał się niewolnikiem erotycznego koszmaru, który zawładnął nim, zanim zdołał się zorientować.

– Angela? Odejdź, proszę! – krzyknął przerażony. – Kim ty, u diabła, jesteś?! Przestań!

Ona jednak zdawała się go nie słuchać, tylko jeszcze mocniej naciskała na zniewolonego mężczyznę, wzbudzając w nim coraz większe pożądanie, z którym nie potrafił walczyć.

Oczami duszy zobaczył oblicze Angeli, która zdawała się patrzeć mu prosto w twarz, śmiejąc się złośliwie. Poczuł, jak coraz bardziej ogarnia go wyczerpanie i rozpacz.

W końcu wszystko ustało tak samo nagle, jak się zaczęło. Tajemnicza kobieta zniknęła w mrocznych zakamarkach, porzucając rozpalonego kochanka na pastwę samotności.

Pokój był pusty...

Pozostał tylko on i nieprzenikniony mrok nocy. Nagle doszedł do jego uszu dźwięk starego zegara z zamkowej jadalni.

Thomas czuł narastające przerażenie. Był cały spocony, szybko oddychał i z trudem dochodził do siebie po tym erotycznym doznaniu. Czegoś takiego jeszcze nigdy nie doświadczył.

W końcu zasnął wyczerpany.

Obudził go promień słońca, który z trudem próbował przebić się przez witrażowe okienka sypialni.

Mężczyzna przetarł oczy i przez chwilę zastanawiał się, czy to, co zdarzyło się w nocy, było jawą czy snem. Wciąż odczuwał to niezwykłe podniecenie, które go wówczas rozpaliło.

W pierwszej chwili nie dostrzegł obecności Angeli, która z ciekawością przypatrywała się, jak jej gość powraca do życia. Stała oparta o kominek i rozkoszowała się swoim cygarem o czekoladowej, elektryzującej woni. Miała rozpuszczone włosy, które jaśniały świeżością, a na sobie obcisłą kremową sukienkę sięgającą nieco powyżej kolan i modne rajstopy z haftkami. Wyglądała imponująco, co nie uszło uwadze młodego mężczyzny.

– O, Angela. Co... co ty tutaj robisz? – zapytał Thomas, gdy zorientował się, że nie jest sam. – Przecież drzwi były zamknięte.

– Chyba mnie nie doceniasz – odpowiedziała, wciąż delektując się swoim cygarem. – Poza tym mam klucze do wszystkich pokoi, a przyglądanie się tobie sprawia mi ogromną przyjemność.

– Chyba sobie żartujesz – odparł, okrywając się wstydliwie prześcieradłem. – Wyjdź, proszę, i pozwól, żebym doprowadził się do porządku.

– Okej, nie unoś się tak. Jesteś taki drażliwy...

– Miałem ciężką noc i jestem trochę zmęczony, a ty na dodatek postanowiłaś zabawiać się mną jak zwierzątkiem domowym – odpowiedział jej zdenerwowany nieco Thomas. – Chyba

należy mi się trochę prywatności.

– No tak, naturalnie – odrzekła Angela. – Nie przyszłam tu jednak wyłącznie dla rozrywki. Przyznaję, że się martwiłam. W nocy tak się wydzierałeś, że nie można było spać spokojnie.

Mężczyzna przez chwilę zawahał się. Nie wiedział, czy postąpiłby roztropnie, gdyby zaczął dopytywać się o minioną noc. Nie miał żadnej pewności, że towarzyszką jego przygody była właśnie Angela. Nie chcąc wyjść na kretyna, postanowił przemilczeć sprawę i zobaczyć, co będzie się działo dalej.

– Cóż... przepraszam. Trudno mi jednak to wyjaśnić, bo sam nie wiem, co się stało.

– Tak, na pewno. Zamiast gadać, ubieraj się szybko. Robert czeka ze śniadaniem. Potem możesz robić, co zechcesz – stwierdziła kobieta i swoim dostojnym krokiem wycofała się z sypialni.

Thomas szybko odświeżył się i doprowadził do porządku. Stojąc przed lustrem, zauważył jakieś niewielkie draśnięcie na szyi. Chwilę przyglądał się temu zadrapaniu, wciąż myśląc o zaskakującym zajściu i zastanawiając się, czy nie był to przypadkiem wpływ zamkowej aury i ekscentrycznej, przesyconej erotyzmem osobowości Angeli.

Przejrzał swoją garderobę i ze względu na letnią pogodę wybrał jasne lniane spodnie oraz białą koszulkę polo i trampki.

Schodząc do jadalni, rozglądał się po korytarzu, który w blasku słonecznego światła nie wydawał się już tak straszny i sprawiał wrażenie, że żadne zło nie ma tutaj dostępu. Jedynie anioł z witraża psuł cały nastrój, przypominając o swojej obecności.

Tymczasem dzień zapowiadał się słonecznie, choć już nie tak upalnie jak poprzednio.

Cała okolica po nocnej burzy pachniała świeżością, sprawiając wrażenie rajskiego ogrodu. Nastało sobotnie sierpniowe przedpołudnie.

15

Wczesnym przedpołudniem Angela i jej służący Robert pośpiesznie szykowali się do wyjazdu do miasta, w którym planowali spędzić cały dzień. Mieli umówione jakieś ważne spotkania, które nie mogły czekać. Zapowiedzieli Thomasowi, że tym razem obiadu ani kolacji nie będzie i właściwie musi oporządzić się sam. Nic nowego... – pomyślał w duchu i wzruszył ramionami. Coś sobie znajdzie do roboty. Zamek jest duży. Poza tym będzie miał trochę czasu na znalezienie odpowiedzi na kilka dręczących go coraz bardziej pytań.

– Dasz sobie radę w tym wielkim zamczysku? – zapytała Angela niczym troskliwa przyjaciółka.

– Oczywiście. Nie musisz się o nic martwić – odpowiedział bez wahania. – W końcu bywałem w posiadłości wielokrotnie, gdy żyła Eleonora.

– Ach, no tak – przytaknęła Angela. – I jeszcze jedno. Jedzenie znajdziesz w kuchni. Robert przygotował coś, żebyś mógł się posilić.

– Bardzo miło z jego strony.

– Poza tym uważaj, gdzie i po co wchodzisz – ostrzegła bratanica zmarłej, zbliżając się do niego i kładąc rękę na jego ramieniu. – Czasami może być tutaj trochę niebezpiecznie dla takiego człowieka jak ty.

– Znowu coś sugerujesz? Zaczyna mnie to powoli trochę drażnić.

– Skądże. Ja tylko mówię, żebyś nie próbował tutaj żadnych swoich dziennikarskich sztuczek. To wszystko.

Angela zdawała się wiedzieć o Thomasie coś, co chyba nie za bardzo przypadło jej do gustu. Wyjątkowa stanowczość i nagły zakaz spontanicznych eskapad po zamkowych zakamarkach zaskoczył dziennikarza, który wciąż jeszcze miał w pamięci miniony wieczór i jej kokieteryjne zabiegi.

Właśnie ta ostatnia uwaga baronowej nie spodobała się Thomasowi. Wydawało mu się, że pobrzmiewała w jej głosie jakaś złowieszcza nutka, która kazała mu trzymać się na baczności. Niby czemu powinien zapomnieć o swojej poznawczej pasji i zająć się czymś innym?

Kobieta uśmiechnęła się tajemniczo, obserwując przy tym bacznie reakcję rozmówcy. Starała się go uwieść lub po prostu wpłynąć na niego swoim urokiem, co dotąd okazywało się dość skutecznym zabiegiem.

Po chwili szybkim krokiem wyszła bez słowa, trzaskając za sobą ciężkimi, dębowymi drzwiami. W samochodzie stojącym na podjeździe od ponad piętnastu minut czekał na nią

zniecierpliwiony służący, który od samego rana nie był w nastroju do żartów. Nic mu nie pasowało, a zwłaszcza obecność dziennikarza z prowincji, któremu musiał usługiwać jak jakiemuś paniczowi z wyższych sfer.

Czar minionej nocy powoli znikał i objawiała się prawdziwa natura tego mrocznego miejsca, która wywoływała zarówno fascynację, jak i przerażenie.

Thomas jednak ani myślał poddać się woli Angeli. Zaplanował sobie między innymi wyprawę do słynnej zamkowej biblioteki, o której tyle słyszał od Eleonory. Teraz nadarzała się ku temu znakomita okazja. Drzwi na pierwszym piętrze same do tego zachęcały, a on bardzo chętnie zapoznałby się ze zbiorami, które rodzina hrabiny gromadziła tutaj przez stulecia.

Czasami, gdy bywał u niej w gościnie, otrzymywał co ciekawsze egzemplarze różnych znakomitych dzieł, które mógł studiować w ustronnym miejscu i z pasją oddawać się interesującej lekturze. To dzięki starej hrabinie von Albertstein Thomas miał okazję poznać pisma Lutra, pierwsze oryginalne wydania dzieł Goethego opatrzone jego odręcznymi dopiskami, a potem także rękopisy Schillera i dziewiętnastowieczne niemieckie tłumaczenia grecko-rzymskich wieszczów – Homera, Horacego czy Wergiliusza. Kiedyś Eleonora pokazała mu nawet jeden z najznakomitszych atlasów przechowywanych w zamkowych zbiorach, zawierających osiemnasto- i dziewiętnastowieczne mapy różnych krain, plany bitew, a także szkice Michała Anioła, Leonarda da Vinci i Lucasa Cranacha oraz jeszcze kilku innych doskonałych artystów. Była to dla niego pierwszorzędna przygoda, a spotkanie z epokowymi dokumentami uświadomiło mu wielkość ludzkiego ducha i intelektu.

Ale to nie jedyny powód, dla którego planował wejść do zamkowej książnicy. Po rozmowie z komisarzem Schultzem postanowił na własną rękę zbadać, co mogło się stać tamtego dnia. Chciał po prostu wiedzieć, dlaczego hrabina została zamordowana. O swoich spostrzeżeniach obiecał powiadomić policjanta, który pozostawił mu służbową wizytówkę. Wyjazd Angeli był mu bardzo na rękę i zamierzał to wykorzystać.

Thomas odczekał kilka minut, upewniając się, czy jej samochód na pewno odjechał. Stał przy oknie jeszcze dłuższą chwilę i wpatrywał się w przestrzeń, jaka okalała zamek, a zwłaszcza w podjazd i stary, dębowy park tuż za nim, który tworzył szczelny szpaler drzew. Następnie wziął klucz i zamknął od środka frontowe drzwi rezydencji, by mieć pewność, że nikt nie przeszkodzi mu w jego poszukiwaniach.

– No to teraz mam czas rzeczywiście tylko dla siebie – powiedział ściszonym głosem, zacierając ręce, i odetchnął z ulgą.

Towarzystwo egzaltowanej baronowej i jej wiecznie niezadowolonego lokaja stawało się coraz bardziej uciążliwe, choć starał się nie dawać tego po sobie poznać. Trudno mu jednak było nie ulec magicznemu urokowi Angeli, roztaczającej wokół siebie pełną niedopowiedzeń aurę. Zresztą nie było chyba takiego mężczyzny, który mógłby oprzeć się sile jej sugestii.

Rozejrzał się jeszcze po holu i upewniwszy się, że nie ma w tym miejscu nic niepokojącego, udał się głównymi schodami na piętro zamku, wprost do biblioteki.

Ze ścian spoglądali na niego przodkowie Eleonory, którzy zdawali się przyglądać mu z zaciekawieniem.

Tuż przy wejściu do zamkowej książnicy jego uwagę zwrócił ogromny portret kobiety w średniowiecznych, powłóczystych granatowo-rubinowych szlacheckich szatach. Jej blada twarz przypominała mu osobę, którą już gdzieś widział i to całkiem niedawno. Miała długie blond włosy, które obficie okalały oblicze. Rysował się na nim smutek, zdradzający jakąś wielką stratę. Spojrzenie było surowe, prawie nienawistne, ale pełne dostojeństwa. Czoło zwieńczał diadem z diamentów, a szyję ozdabiała perłowa kolia, która nawet na tym olejnym płótnie błyszczała feerią barw i odcieni. Na serdecznym palcu prawej ręki dostojna niewiasta nosiła taki sam pierścień, jaki widział u Eleonory.

Thomas długo przyglądał się postaci z portretu, zastanawiając się, gdzie już widział tę kobietę... Miał masę pomysłów, ale każdy z nich wydawał mu się tak nieprawdopodobny, jak to, że w sierpniu spadnie śnieg.

Przyjrzał się podpisowi i dacie wypisanej na tabliczce: *Elysabeth de Albertsteyn (1367-1409).*

– Hm... Nie sądziłem, że rodzina hrabiny ma aż tak stare korzenie – mruknął pod nosem. – Poza tym ta dama jest jakaś znajoma. Przypomina mi... to jest... ech...

Zlustrował obraz jeszcze raz, analizując każdy detal. Nie mógł się oderwać od postaci, która go tak mocno zelektryzowała.

Spojrzał na jej oczy, wyraz twarzy i krwistoczerwone drobne usta, które zdawały się poruszać. Nagle gdzieś z oddali usłyszał narastający cichy szept. Rozpoznał w nim ten sam nabuzowany erotyzmem kobiecy głos, który słyszał minionej nocy w swojej sypialni.

– Co jest u licha? – powiedział do siebie, zastanawiając się, czy nie oszalał przypadkiem. – Czy ja znowu śnię?

Potok słów jednak nie ustawał, lecz jeszcze bardziej przyzywał go, wyzwalając w nim fascynację i lęk zarazem.

– Weź mnie... Weź i kochaj się ze mną, Thomasie! – usłyszał gdzieś obok siebie.

– Halo, czy ktoś tu jest? – krzyknął z przestrachem.

Odpowiedziała mu głucha cisza. Rozejrzał się po korytarzu, lecz nie dostrzegł nikogo. Był sam na sam z pustką.

Kiedy się odwrócił, omal nie strącił ze ściany innego portretu, o który zahaczył z rozpędem. Raz jeszcze spojrzał na obraz kobiety, który go tak mocno zaintrygował.

O cholera... przecież to niemal Angela – stwierdził nagle zaskoczony Thomas. Ale... jak to możliwe? Nie... nie może być. Przecież to jakiś absurd!

Wyjął z kieszeni notes i zapisał sobie dane z tabliczki pod obrazem. Musiał to sprawdzić i dowiedzieć się o damie z portretu czegoś więcej.

Jak to możliwe, że rodzinne geny mogły się po wielu wiekach tak bardzo ujawnić w jakimś potomku i to właśnie teraz? – zastanawiał się. Robi się tutaj coraz bardziej ciekawie, stwierdził, drapiąc się po głowie.

Nie oglądając się już za siebie, czym prędzej udał się w kierunku biblioteki. Miał dość obrazów, dam i mrocznych, gotyckich korytarzy.

Drzwi książnicy otworzyły się, lekko skrzypiąc. Przed oczyma Thomasa zarysował się widok pięknego barokowego wnętrza z mnóstwem ksiąg rozłożonych starannie na regałach w dwóch kondygnacjach. Jego oczy chłonęły każdy detal wyposażenia, które teraz wydawało mu się jeszcze piękniejsze niż opowiadała Eleonora.

Z pasją prawdziwego kolekcjonera przyglądał się wysokim kandelabrom, stojącym na środku pomieszczenia niczym uliczne latarnie, oraz ogromnej kuli z niebieskawego kryształu, przypominającej gigantyczny globus, stanowiącej centrum biblioteki. Podszedł do biurka wyłożonego zielonym suknem. Przejechał palcami po rzeźbionych zdobieniach okalających blat. Mebel bardzo przypadł mu do gustu. Takie wypasione biurko to mógłbym mieć, czemu nie? – stwierdził z satysfakcją Thomas.

Rozsiadłszy się wygodnie w fotelu dzielącym przestrzeń między biurkiem a ogromnym witrażowym oknem, poczuł się jak ktoś całkiem wyjątkowy. Rozkoszował się tą chwilą, wspominając Eleonorę i wszystkie najpiękniejsze chwile życia.

Na biurku leżał niewielki zbór dokumentów. Zaczął je pobieżnie przeglądać i wtedy zorientował się, że jest to korespondencja, którą morderca – szukając czegoś – rozrzucił po podłodze w noc śmierci hrabiny. Zrezygnował jednak z lektury tych pism i postanowił zwiedzić bibliotekę.

Spacerując między regałami, przypomniał sobie słowa komisarza Schultza na temat morderstwa. Podszedł do miejsca, w którym wciąż jeszcze wisiała policyjna taśma, oddzielająca miejsce zbrodni od pozostałej części biblioteki. Nadal nie zostało ono uporządkowane. Kilka rozrzuconych książek i rękopisów oraz przechylony regał pozostawiły ślad po konfrontacji śledczych z kimś, kto ich zaatakował wkrótce po makabrycznym zajściu.

Thomas przykucnął i dokładnie lustrował przestrzeń między regałem a ścianą, na której widoczne były oznaki walki. Niestety ślady napaści na policjantów prawie całkowicie zniszczyły dowody w kwestii śmierci Eleonory.

Następnie wszedł po schodach na galerię, z której widać było znaczną część książnicy. Thomas przeszedł się między ciasno ustawionymi regałami, próbując odczytać etykiety z łacińskimi napisami, którymi oznakowano kolejne działy.

Kiedy znalazł się przy prawym narożniku biblioteki – tuż nad miejscem okrutnego

bezprawia – wziął do ręki jedną z ksiąg i zaczął ją przeglądać. Było to ciężkie tomisko, zapisane gotycką czcionką i oprawione w skórę, które z trudem dawało się utrzymać w ręku. Dziennikarz oparł się o sąsiedni regał, by ułatwić sobie przeglądanie. Nagle poczuł jakiś delikatny podmuch zatęchłego powietrza. Obracając się, by zobaczyć, w czym rzecz, nieszczęśliwie potknął się o dywan i zahaczył księgą o jakąś dźwignię wystającą pomiędzy innymi woluminami. Zanim się zorientował, ściana rozstąpiła się i wpadł do ciemnego, zimnego korytarza, w którym czuło się wszędobylską wilgoć, grzyb i stęchliznę. Tymczasem wejście powoli się zatrzasnęło, odcinając drogę powrotu do biblioteki.

– O w mordę! – rzucił zaskoczony Thomas i instynktownie zaczął szukać jakiegoś włącznika światła lub innej dodatkowej dźwigni.

Nic takiego jednak nie znalazł. Zewsząd zwisały pajęczyny, co świadczyło o tym, że dawno nikt tędy się nie przemieszczał.

Szukając wyjścia, Thomas natrafił na spiralne, metalowe schody i potknąwszy się, zaczął po nich spadać.

Zatrzymał się kilkadziesiąt stopni niżej, uderzając boleśnie w zimną i obficie ociekającą jakąś śmierdzącą, kleistą cieczą przeciwległą ścianę.

– Cholera jasna... – jęknął z bólu, zastanawiając się, czy jego kości są jeszcze całe, czy już nie.

Podnosząc się, wyciągnął z kieszeni spodni telefon komórkowy. Na szczęście działał i mógł jego nikłym światłem oświetlać sobie drogę.

Przeszedłszy wolno jeszcze kilka kroków, poczuł powiew świeżego powietrza. Zaczął szybko biec, aż w końcu uderzył z impetem w zimną metalową bramę, która pod naporem jego ciała ustąpiła, uwalniając z zamknięcia.

Oszołomiony wypadł z hukiem wprost na trawnik rozciągający się poniżej rozległego tarasu, przy którego fundamentach znajdowało się właśnie wejście do podziemnych zamkowych lochów i korytarzy. Schowane głęboko poniżej poziomu gruntu, przykryte bluszczem i ozdobnymi krzewami, nie było widoczne z oddali i tak naprawdę niewielu bywalców posiadłości o nim wiedziało.

Thomas leżał dłuższą chwilę, ciężko oddychając, a słońce oblewało jego zmarznięte i obolałe ciało przyjemnym ciepłem sierpniowego gorąca.

– Ale numer... – mruknął, gdy poczuł odór bijący z piwnicznych wnętrz.

Jego jasne odzienie straciło swoją świeżość, gęsto upstrzone zielonkawo-szarymi plamami śmierdzącej pleśni i brudu.

Kiedy wreszcie doszedł do siebie, usiadł na zielonej trawie. Było mu wszystko jedno. Każdy ruch sprawiał mu trudność. Postanowił zadzwonić do Marty. Wiedział, że ona na pewno

pomoże mu dowiedzieć się czegoś więcej o rodzinie Eleonory. Nie mógł czekać.

– Halo, Marta? – zapytał zbolałym tonem.

– Cześć, Thomas – usłyszał z drugiej strony dźwięczny głos Marty. – Co słychać? Nie odzywałeś się. Wszystko w porządku? Wiesz, martwiłam się o ciebie.

– Dziękuję. U mnie chyba dobrze. Będę miał do ciebie prośbę – odparł, nie dając po sobie poznać, że życie odpłaciło mu za zbytnią ciekawość.

– O co chodzi?

– Poszukaj mi coś o Albertsteinach.

– O Albertsteinach? Nie bardzo rozumiem. Przecież jesteś u nich, prawda?

– Interesuje mnie wszystko, co dałoby się znaleźć o niejakiej Elysabeth de Albertsteyn – powiedział Thomas, dokładnie literując imię i nazwisko damy z obrazu. – Chcę po prostu coś sprawdzić.

Zignorował konsternację przyjaciółki. Nie chciał jej mówić wszystkiego w detalach, by niepotrzebnie nie narażać jej i siebie na konsekwencje, które były trudne do przewidzenia. Być może się mylił, ale jego zdaniem coś wisiało w powietrzu. Intuicyjnie wyczuwał dziwną, ponurą aurę tego miejsca, lecz nie miał pewności, czy to jakaś gra, czy tylko projekcja jego znużonego umysłu.

– No dobrze... Zobaczę, co da się zrobić – stwierdziła po chwili Marta. – W razie czego podam ci jeszcze namiar na mojego starego znajomego, który pracuje we „Frankfurter Allgemeine Zeitung”. Nazywa się Berndt Klein i zajmuje problematyką historyczną.

– Okej. Będę wdzięczny.

– Czy poza tą sprawą wszystko na pewno jest w porządku?

– Tak... Zamek mnie trochę przeraża, ale to nic takiego. Nowe miejsce, nowi ludzie. To chyba normalne.

– Rozumiem.

– To czekam na twój telefon, jakby co.

– Tak, oczywiście – odpowiedziała dziennikarka i pożegnawszy się z przyjacielem, zakończyła rozmowę.

Thomas opadł na trawę znużony. Miał wrażenie, że opuszczają go wszystkie siły. Po chwili poczuł delikatny, ciepły podmuch wiatru, który wprawił go w senność. Mężczyna powoli zapadał w ciszę, która go wciągała coraz bardziej i bardziej, aż w końcu całkowicie zatopił się

w otchłani nieświadomości.

16

Pomimo słonecznego sierpniowego weekendu Frankfurt nad Menem był mocno zatłoczony i to niezależnie od pory dnia. Kraina światowej finansjery nie uznawała wakacji, urlopów czy rodzinnych wypadów w pobliskie góry. Wszystko podlegało sztywnym ustaleniom, bez możliwości odstępstwa od tej smutnej reguły. Tylko nieliczni, stojący na szczycie ekonomicznej drabiny zależności i interesów, mogli pozwolić sobie na chwile rozkoszy i podróże po egzotycznych zakątkach. Niżej sytuowanym musiały wystarczyć nocne namiastki szczęścia.

Elegancki czarny samochód marki Mercedes-Benz zajechał właśnie nieopodal słynnego frankfurckiego deptaku zwanego Fressgass – „Zaułek Żarłoków” – królestwa delikatesów, różnego rodzaju kawiarni i restauracji. Starszy kierowca wysiadł, by pośpieszyć z otwarciem swojej pani drzwi. Chwilę później na chodniku stanęła zjawiskowa blond piękność o pociągającym, surowym obliczu anioła i demona zarazem – Angela von Schweinburg und Gotha.

– Robercie, czy Alex wie o naszym dzisiejszym spotkaniu? – zapytała kobieta.

– Naturalnie. Wiesz dobrze, że on nigdy o niczym nie zapomina – powiedział zirytowany pytaniem służący. – Poza tym przecież on świata poza tobą nie widzi.

– To dobrze, bardzo dobrze...

Robert rzucił jeszcze dla rozluźnienia jakiś żart i oboje wybuchli śmiechem. Minęli niewielką uliczną kwiaciarnię, której sprzedawczyni darła się na wszystkie strony, próbując zareklamować swoje towary. Angela i Robert skręcili w niewielką urokliwą boczną uliczkę, by po chwili zniknąć w drzwiach małej niszowej restauracji o nazwie Glück’auf.

Wnętrze miało swój specyficzny klimat. Prowadzący lokal człowiek był właścicielem jednego z tutejszych browarów, więc wystrój nawiązywał do jego życiowej pasji, czyli mniej lub bardziej wykwintnych alkoholi oraz gastronomii w regionalnym wydaniu. Proste krzesła i okrągłe stoliki nakryte białym obrusem, zatopiony w murze fragment wielkiej beczki, jakby wprost z piwnicy browarnika, oraz artystyczne zdjęcia na pozbawionych tynku czerwonych, ceglastych ścianach dopełniały całości, tworząc wyjątkową aurę lokalu. Miało się wrażenie, jakby nie była to zwykła restauracja, ale najprawdziwsza piwnica, gdzie pieczołowicie przygotowane trunki czekają na przybycie gości, którzy chętnie je skosztują jako dodatek do swoich ulubionych dań.

W najciemniejszym kącie pomieszczenia siedział mężczyzna w wieku około lat czterdziestu, ubrany w lniane białe spodnie i czarną przylegającą koszulę, która doskonale podkreślała jego wysportowaną sylwetkę. Jego spojrzenie zdradzało naturę człowieka przebiegłego i pewnego siebie zarazem. Czekał na swoich przyjaciół, sącząc najlepsze wino w regionie, dostępne tylko tutaj. Rozkoszował się smakiem napoju, gdy w drzwiach dostrzegł Angelę i Roberta. Ruchem ręki dał im znak, aby podeszli i rozgościli się przy jego stoliku.

– Dzień dobry, kotku... – powiedział do kobiety, całkowicie ignorując obecność służącego. – Czy w zamku wszystko w porządku? Podobno masz lokatora na gapę.

– Tak, Alex, wszystko w porządku – odparła krótko. – Mam nadzieję, że dziś już nigdzie się nie wybierasz i zostaniesz ze mną.

– Oczywiście, że zostaję. Udanie zakończyłem kilka spraw, które leżały mi na sercu, i teraz możemy już zająć się tylko sobą.

– To dobrze... – odpowiedziała ze spuszczoną głową.

Na myśl o posiadłości zrobiła się niespokojna. Na moment zniknęła ta zimna, wyrachowana i pewna siebie osoba. Zaczęła rozglądać się na wszystkie strony, jakby chciała się upewnić, że miejsce jest bezpieczne. Po chwili jednak na powrót stała się dumną baronową.

Chcąc dodać przyjaciółce otuchy, Alex ujął jej delikatne dłonie.

– Widzę, że coś cię trapi. Powiesz mi w końcu, o co chodzi?

– Trapi mnie jak cholera – wybuchła ostro Angela. – Ciekawe jak ty byś się zachowywał.

– Spokojnie, Angelo. Powiedz dokładnie, o co chodzi.

Kobieta zaczęła opowiadać o spotkaniu z Thomasem Michelem, przyjacielem zmarłej Eleonory, który na jej życzenie aż do dnia odczytania testamentu miał mieszkać w zamku. Jako krewna zmarłej domyślała się powodów jej decyzji, ponieważ ciotka nigdy nie akceptowała jej ekstrawaganckich poglądów na życie, pieniądze, historię rodziny i jeszcze kilka innych spraw. Teraz nagle pojawił się ktoś, kto teoretycznie mógłby stanowić problem w przejęciu schedy po niej i po ojcu. Zrelacjonowała nowe informacje, jakie po nagłym wyjeździe Alexa w interesach udało jej się uzyskać dzięki Plankowi, człowiekowi od brudnej roboty. Jakimś cudem dowiedziała się o liście hrabiny do Thomasa Michela i domyślała się jego konsekwencji, które mogłyby się okazać dla niej fatalne. Właśnie dlatego postanowiła podjąć odpowiednie kroki w celu eliminacji pewnych ewentualnych problemów.

Jednocześnie jednak postanowiła usidlić przybysza, który był od niej zaledwie kilka lat młodszy. Naiwnie liczyła na to, że ulegnie on magii miejsca i jej urokowi, a potem zniknie bezpowrotnie z jej życia i nie będzie więcej zakłócał rodzinnej hierarchii.

– Może da się to jakoś załatwić? – zastanawiał się Alex. – Z tego, co mówisz, on niewiele wie.

– Teoretycznie tak, ale mam wrażenie, że Eleonora zadbała o to, by dowiedział się więcej – powiedziała kobieta.

– Thomas Michel to tylko nieco wkurzający przyjaciel tej starej zrzędy – wtrącił się w końcu Robert. – Może się mylisz i nie jest tak, jak mówisz? Pomyśl o tym, Angelo.

– A jeśli zacznie węszyć i jednak coś odkryje? – indagował Alex.

– Tak, ten cały Thomas Michel może nam narobić dużo kłopotów – przytaknęła Angela. – Trochę postraszyłam go tym anonimowym listem, który ukradkiem dostarczył mu w redakcji nasz wierny przyjaciel Anton Felder, ale najwidoczniej to nic nie dało. Na szczęście nie domyśla się, kto to zrobił. Podobnie zresztą, jak ta adwokat Brück.

– Oj, kochanie... Nie wiesz, co się robi z wrzodami? Po prostu przecina się je i tyle – odparł Alex. – Przerabialiśmy to tyle razy.

– Czysto teoretycznie – wtrąciła Angela.

– On wydaje się trochę nieświadomy tego, co się wokół niego dzieje. Może moglibyśmy to wykorzystać? – zaproponował Robert.

– Eleonora i Johann to był pryszcz. Zmarło się starej wiedźmie i jej poplecznikowi, i tyle. Thomasowi też damy radę – stwierdził Alex.

– Tak, to fakt. Myślę, że na razie powinniśmy przede wszystkim obserwować każdy jego krok – kontynuowała baronowa. – Do ujawnienia testamentu mamy jeszcze sporo czasu. W razie problemów zorganizuje się jakiś nieszczęśliwy wypadek i będzie po kłopocie.

– Świetnie, trupowi nic się przecież nie należy – skonstatował z rozkoszą Robert, zacierając przy tym ręce.

– Trzeba to jeszcze przemyśleć, ale co do zasady, to macie absolutną rację – potwierdził Alex.

Przyjaciel Angeli zawołał kelnera i zamówił butelkę najlepszego wina.

– No, kochani, musimy to teraz uczcić – zakomenderował i nalał przyjaciołom odrobinę trunku dla poprawienia animuszu.

17

Thomas leżał na słońcu dobrych kilka godzin. Spiekł się niesamowicie, co odczuwał boleśnie na karku i ramionach spalonych od południowego słońca.

Zbudziła go czyjaś troskliwa obecność. Dochodząc do siebie, usłyszał głośne skrzypienie zawiasów metalowej bramy prowadzącej do zamkowych podziemi. Kątem oka dostrzegł, jak jakiś mały – może dziesięcioletni – chłopiec wraz ze swoją towarzyszką z wielkim trudem zatrzaskują ciężkie metalowe wrota. Potem oboje podbiegli do Thomasa, dopytując się, czy nic mu nie jest.

– Dobrze się pan czuje? – zapytał malec. – Może zawołać rodziców? Są niedaleko, w naszej winnicy. Pomogą panu.

– Dziękuję chłopcze, czuję się dobrze. I chyba nic mi już więcej nie potrzeba – odpowiedział Thomas. – Jak ci na imię?

– Ale pan strasznie śmierdzi! Ufff... – wypaliła bezpardonowo dziewczynka.

– Klara, przestań, to nieładnie – skarcił ją chłopiec. – Przepraszam za moją siostrzyczkę. Ona ma dopiero siedem lat. Ja na imię mam Karl. Często się tutaj bawimy.

– Bawicie się tutaj?

– Tak, stara pani Eleonora nam pozwalała. Urządzała nam bale przebierańców, przynosiła cukierki, czytała bajki.

– Pewnie teraz jest wam smutno, gdy pani Eleonora nie żyje?

– Tak, proszę pana. To była taka nasza przybrana babcia – odpowiedziała smutno Klara. – Bardzo ją lubiliśmy i ona nas chyba też.

– To szczera prawda, proszę pana – przytaknął chłopiec.

– Ale ta druga pani jest niedobra – powiedziała dziewczynka. – Musi pan na nią bardzo uważać...

– Coś się wam chyba ubzdurało – przerwał dzieciom Thomas. – Ta pani to bratanica Eleonory i jest całkiem miła.

– Nie, ona naprawdę jest zła! Musi nam pan uwierzyć. Widzieliśmy, jak kilka dni temu strasznie krzyczała na babcię, a potem babci już nie było.

– Głupstwa pleciecie.

– Ale naprawdę tak było! Musi nam pan uwierzyć. Ona jest zła, bardzo, bardzo zła – nalegały dzieci.

– No dobrze. Przekonaliście mnie.

– My wiemy też, kim pan jest – wypaliła znowu niespodziewanie Klara.

Jej braciszek skarcił ją wzrokiem, ale mężczyzna pogłaskał dziewczynkę po główce, dając znak, że wszystko jest w porządku.

– Tak? To kim jestem? Widzę, że chyba naprawdę dużo wiecie.

– Proszę pana, bo my wiemy wszystko! Pani Eleonora nam opowiadała o panu, pokazywała zdjęcia i często wspominała, ale zakazała nam mówić o tym komukolwiek. Zaznaczyła, że to tajemnica – wyjawił w końcu Karl. – Powiedziała też, że gdyby się coś złego działo, to mamy pana pilnować i ostrzec. Bardzo pana kochała.

– A to dopiero numer! – zaśmiał się Thomas. – Poczciwa stara Eleonora...

– Myślę, że powinien pan wrócić do zamku. Ta młoda, zła pani nie może się dowiedzieć, że był pan w podziemiach – powiedział poważnym głosem dziesięciolatek. – Jeśli się dowie, to...

– Oj, Karl! Nie martw się. Na pewno nic mi nie będzie – uspakajał dziennikarz.

– Pokażę panu boczne drzwi do zamku, żeby mógł pan wejść, zanim wróci ta straszna pani – powiedział chłopiec. – Pani Eleonora nam je pokazała.

Thomas wstał z trawy. Był cały brudny i śmierdzący. Otrzepał się, sprawdził, czy ma przy sobie klucze, telefon i notes. Na szczęście wszystko pozostawało na swoim miejscu.

Karl ujął jedną jego dłoń, a Klara drugą i oboje poprowadzili go do starej oranżerii, która łączyła się z zamkiem wąskim przeszklonym korytarzykiem od strony południowej, zaraz za wielkim tarasem. Miejsce sprawiało wrażenie rzadko uczęszczanego, ale w tym wypadku stanowiło to raczej zaletę niż wadę. Thomas otworzył drzwi i podziękował rodzeństwu za miłą pogawędkę.

– Może chcielibyście jutro dostać solidną garść słodyczy? W końcu należy się wam – zaproponował na odchodne. – Skoro Eleonora darzyła was sympatią, to ja też powinienem wam zaufać. Co wy na to?

Dzieci z radością przystały na propozycję i obiecały, że na pewno go nie zawiodą i – tak jak zawsze to robiły – będą obserwować zamek oraz jego otoczenie.

– Do widzenia – zawołał głośno na odchodne Karl. – Proszę uważać na siebie.

– Do zobaczenia i jeszcze raz dziękuję za pomoc – odpowiedział Thomas, machając ręką

na pożegnanie.

Przez chwilę stał przy drzwiach oranżerii, obserwując, jak Karl i Klara oddalają się od zamku i biegną tuż za miedzę – ku gospodarstwu swoich rodziców. Zdał sobie sprawę, że mogą okazać się ważnymi świadkami zamkowych wydarzeń, co nie było wcale bez znaczenia. Potem odwrócił się, wszedł do pomieszczenia, w którym powietrze tak mocno się nagrzało, że zaraz po wejściu lepił się cały od potu. Rozejrzawszy się wokół, zauważył, że w tym opuszczonym zakątku też jeszcze nigdy nie był.

Przeszedł przez przeszklony korytarz, który prowadził ku niewielkim drewnianym drzwiom wiodącym wprost do zamku.

Były otwarte. Stare zawiasy głośno zaskrzypiały i oczom Thomasa ukazały się schody, które kończyły się zaraz przy zamkowej jadalni.

W rezydencji wciąż panował grobowy spokój. Zegar cicho tykał, wybijając miarowo czas.

Upewnił się, czy na podjeździe nie stoi samochód Angeli. Miał szczęście.

Szybko popędził do swojego apartamentu, by zaordynować sobie gorący prysznic i doprowadzić swoje ciało do porządku.

Nie mógł przecież pozwolić, by bratanica hrabiny dowiedziała się o jego przygodzie. Byłoby to nie tylko nieroztropne w obecnej sytuacji, ale mogło okazać się również niebezpieczne.

Idąc po schodach, zastanawiał się nad tym, co powiedziały mu dzieci. Dzięki nim poznał Eleonorę jeszcze bardziej. Była dobrą przyjaciółką i wspaniałym kompanem, a kiedy zaszła taka potrzeba, zawsze służyła pomocą, niwelując wszelkie zło. W pamięci utkwiło mu jeszcze jedno. Dzieci znają tajemnicę, której ujawnienie miało zmienić jego życie – tę samą, jak przypuszczał, o której delikatnie napomknęła w swoim liście sama hrabina. Wewnętrznie dojrzewał do jej poznania. Chciał przyjąć wszystko, co przygotowała dla niego jego przyjaciółka oraz powierniczka, i to nie z egoistycznych pobudek czy jakiejś nieokiełznanej ludzkiej żądzy, lecz przede wszystkim ze względu na pamięć i głęboki szacunek, jaki odczuwał względem zmarłej starszej pani.

Czy ze zmarłą hrabiną łączyło go coś więcej niż przyjaźń? Jeśli tak, to co? Nie bardzo to rozumiał... Jeśli Klara miała rację, to rzeczywiście mógłby być w niebezpieczeństwie.

Młody dziennikarz przygotował sobie czystą odzież i skierował się do łazienki. Tam zdjął śmierdzące ubranie i wszedł pod prysznic, zamykając za sobą szklane drzwi kabiny.

Ciepły, pulsujący strumień wody delikatnie oczyszczał zabrudzoną skórę, dając ukojenie znużonemu ciału. Gorąca kąpiel uspokoiła jego rozedrgane nerwy. Zdał sobie sprawę, jak bardzo tego potrzebował po dniu pełnym wrażeń.

Kiedy dostrzegł kilka złocistych promieni popołudniowego słońca wpadających przez łazienkowe witraże, przed oczami stanęła mu postać Marty – tej rzeczywistej i prawdziwej, którą uczył się kochać z dnia na dzień coraz mocniej.

Brakowało mu jej bliskości, cielesnego kontaktu z nią. Chciał przytulić ją do siebie, opowiedzieć jej o wszystkim – po prostu być z nią.

– Marto... – westchnął zagubiony. – Ileż bym dał, by mieć cię teraz przy sobie!

18

Koniec sierpnia i początek września był dla Thomasa czasem spotkań i rozlicznych zajęć, które wynajdywał sobie dla własnej przyjemności, ale i z pewnej konieczności, jaką stwarzała niepewna sytuacja. Nie mógł bezczynnie siedzieć i czekać na odpowiedzi, które nie nadchodziły.

Odkąd Angela przyprowadziła do zamku Alexa i pozwoliła mu w nim zamieszkać, atmosfera z każdym dniem robiła się coraz trudniejsza do wytrzymania. Thomas czuł się obserwowany na każdym kroku i to nie bez powodu. Wykorzystywał krótkie chwile nieobecności baronowej i jej kompanów, by poznać zamek jeszcze bardziej i dowiedzieć się czegoś więcej o historii rodziny, a zwłaszcza o relacjach Angeli i Eleonory.

Nie było to łatwe zadanie. Bratanica zmarłej znakomicie się maskowała, nieustannie starając się oczarowywać go swoim władczym i pełnym seksapilu usposobieniem. Na nieszczęście dokumenty i listy zgromadzone w bibliotece milczały zawzięcie i to nie tylko na temat Angeli, ale także niezwykłej, elektryzującej postaci z portretu.

W końcu zdecydował się na chwilę zrezygnować z własnych badań i popytać o interesujące go szczegóły znajomych z Frankfurtu, a zwłaszcza dawnego przyjaciela Marty, Berndta Kleina – dziennikarza „Frankfurter Allgemeine Zeitung”. Zadzwonił do niego i umówił się na spotkanie w swojej ulubionej restauracji z czasów studiów – Haus Wertheim na frankfurckim Römerbergu. Na spotkanie pojechał taksówką, gdyż dotąd jeszcze nie dysponował żadnym samochodem. Przedstawił Berndtowi całą sytuację i wątpliwości, jakie ona nastręczała.

Wciąż nie miał pojęcia, co za tajemnica kryje się za fasadą średniowiecznej gotyckiej fortecy i jaką rolę w tym wszystkim odgrywa ród Albertsteinów, a zwłaszcza Angela, hrabia Alfred i jego niedawno zamordowana siostra Eleonora.

– Nie wiem, o co tutaj chodzi – powiedział Thomas. – Wszyscy mówią o jakiejś tajemnicy, której ujawnienie byłoby niebezpieczne lub ostatecznie wiązałoby się z jakimś ogromnym skandalem.

– No wiesz... Rodzina hrabiny osiadła na tych terenach wieki temu. Krążą o nich legendy, które są trudne do udowodnienia – tłumaczył Berndt Klein. – Jednak tak naprawdę nikt nie zna całej historii.

– A hrabina? Przecież była znana w okolicy...

– ...z dobroczynności, dobrego serca i jeszcze kilku innych spraw – dokończył Klein. – Fakt, była lubiana i sama obdarzała wszystkich swoją dobrocią.

– Za którą zapłaciła życiem – rzucił Thomas.

– Nie wiesz przecież, do czego doszło w tej bibliotece. Po co rzucać od razu jakieś

oskarżenia? Daj spokój.

– Przepraszam, poniosło mnie. Ale jeśli możesz poszperać w starych rocznikach gazet i w miejskich archiwach, to będę twoim wielkim dłużnikiem.

– Oczywiście pod warunkiem że coś faktycznie znajdę – odparł Berndt. – Na razie obaj poruszamy się niemal po omacku.

– A jeśli faktycznie zrobi się groźnie?

– Przecież nikt nie może zabronić nam zwyczajnego dziennikarskiego śledztwa – stwierdził Klein. – To mógłby być znakomity materiał na reportaż. Już widzę tytuł: „Tajemnica testamentu hrabiny".

– Tak, na pewno... – mruknął Thomas z kwaśną miną. – Nie rozśmieszaj mnie. Pamiętaj, że ja mieszkam w jej zamku i ta sprawa dotyczy mnie bezpośrednio.

Przy zamówionej wcześniej kawie omówili zagadnienia, których rozwiązanie najbardziej leżało mu na sercu. Potem się rozstali.

Thomas udał się do jednej z frankfurckich wypożyczalni aut i za całkiem przyzwoitą cenę wynajął ulubionego opla astrę. Chciał zapewnić sobie większą mobilność, by nie być zmuszonym przebywać z wiecznie niezadowolonym lokajem, podczas gdy Angela codziennie zabawia się w pobliskich kurortach ze swoim kochasiem.

Potrzebował zmiany klimatu chociaż na parę godzin dziennie – przynajmniej do czasu, aż się wszystko wyjaśni.

Bezpośrednio z wypożyczalni Thomas pojechał na spotkanie z komisarzem Schultzem. Mijał kolejne uliczki Frankfurtu i w końcu dotarł do komisariatu przy Gutleutstrasse 112. Siedziba miejscowej policji zrobiła na nim dobre wrażenie. Wszystko wyglądało schludnie, czysto i bardzo przyjaźnie.

Nigdy nie powiedziałbym, że to komisariat. Bardzo nowoczesny obiekt – pomyślał, przechadzając się między przeszklonymi, eleganckimi biurami policyjnych śledczych, jakie widywał dotąd tylko w filmach sensacyjnych. U nas jest trochę inaczej... bardziej staroświecko.

Komisarza napotkał przy automacie z kawą. Andreas Schultz zaproponował mu kubek czarnego napoju, na co Thomas chętnie przystał. Minęli kilka sąsiednich pomieszczeń i w końcu obaj znaleźli się w przestronnym, słonecznym gabinecie, w którym na pewno dobrze się pracowało. W skład wyposażenia wchodziły: biurko, obrotowe krzesło, kilka szafek na policyjne akta, a pod ścianą niemal rozpadająca się ława, stara sofa i dwa fotele. Mimo wszystko było to miejsce całkiem przyjemne.

– Proszę się rozgościć, panie Michel – powiedział Schultz, wskazując fotele i sofę. – Cieszę się, że pan przyjechał. Ostatnie nasze spotkanie odbyło się raczej w smutnych okolicznościach.

– Tak, to prawda. Ale jakoś daję radę – odparł Thomas. – Chciałem się z panem spotkać, bo jest kilka rzeczy, które zwróciły moją uwagę. Być może to ważne dla pańskiego śledztwa.

– To znakomicie – ucieszył się policjant. – Ja też mam pewne informacje, które powinien pan poznać.

– Rozumiem, że chodzi o przyczynę śmierci hrabiny.

– Naturalnie. Doktor Renner z Zakładu Medycyny Sądowej przekazała mi wynik badań sekcyjnych – zaczął Schultz. – Konsultowała go z innymi ośrodkami i potwierdzono tezę o otruciu.

– To naprawdę okropne – rzekł Thomas. – Czy domyśla się pan, kto mógłby to zrobić?

– Sądzimy, że to mógł być ten lokaj, Johann Baum – powiedział komisarz.

– Johann? Nie, to niemożliwe. On nie jest typem zabójcy. Kochał i szanował Eleonorę tak bardzo, jak tylko mógł to czynić służący. Nie, to na pewno nie on.

– A jednak jego zachowanie wydało się nam podejrzane. Zeznania o jakichś głosach, tajemniczych damach i tym podobne dyrdymały nie trzymają się kupy.

– Głosy, tajemnicze damy? – powtórzył powoli Thomas z wyrazem twarzy, który bardzo zaskoczył siedzącego obok funkcjonariusza.

– Coś nie tak? Mówi to coś panu?

– To chyba jednak nie Johann. On mówił prawdę. Jestem tego pewien.

– Jeśli pan coś wie, to proszę mówić.

– Na razie nie mogę nic powiedzieć, bo jeszcze nie posiadam wystarczających informacji.

– W każdym razie chcemy dzisiaj pojechać po Johanna, żeby przesłuchać go jeszcze raz.

– Ale Johann wyjechał...

– Jak to wyjechał? Jeszcze jakiś tydzień temu, parę dni po zabójstwie Eleonory, rozmawiałem z nim -- odpowiedział zaskoczony policjant. – Kazałem mu nie ruszać się z posiadłości dla dobra śledztwa.

– No mówię. Nie ma go. Angela przyjechała ze swoim służącym... Robertem jakimś tam... Nazwiska nie znam – zapewniał Thomas, rozkładając ręce. – Przy pierwszej wspólnej kolacji powiedziała, że Johann uciekł. Wydawała się tym mocno poirytowana, ale to wszystko.

– Coś mi tu nie gra... – mamrotał pod nosem mocno zamyślony komisarz Schultz.

Nie tracąc czasu na próbę wyjaśnienia tej zagadki, dziennikarz opowiedział mu o bibliotece, lochach oraz o spotkaniu z dziećmi gospodarza sąsiadującej z majątkiem Eleonory winnicy. Stwierdził też, że obecność i zachowanie Angeli nie tylko są niepokojące, ale zaczynają go po prostu przerażać. Nie był na to przygotowany, ale nie mógł też pokazać po sobie, że coś podejrzewa.

– Czuję się nieustannie zagrożony jej ekspansywną osobowością. Oczywiście mógłbym się sprzeciwić, ale oni każdego dnia bacznie obserwują moje poczynania. Czasem dla pozoru pozwalam, by odnosiła wrażenie, że wszystko jest po jej myśli.

– Przebiegła kobieta...

– Też tak myślę... Ale to w końcu przede wszystkim bratanica Eleonory.

– Proszę być mimo wszystko bardzo ostrożnym. Tak zresztą radziła panu w swym pośmiertnym liście sama hrabina, prawda?

– Tak, dokładnie.

Obaj mężczyźni długo jeszcze dyskutowali o morderstwie, działalności policji, polityce i pogodzie. Tematów nie brakowało.

Od spotkania na cmentarzu przy grobie Eleonory nawiązała się między nimi nić porozumienia. Thomas potrzebował kogoś, z kim mógł sobie swobodnie pogawędzić, a detektyw liczył z jego strony na drobną pomoc w ujęciu sprawcy.

Pożegnali się przed gmachem komisariatu. Dziennikarz wsiadł do wypożyczonego opla i odjechał w kierunku zamku. Starał się pozbierać rozbiegane myśli i uspokoić emocje, wywołane przez nowe wieści przekazane przez policjanta. Wiedział, że coś tu nie pasuje, ale na razie nie mógł nic na to poradzić.

Po intensywnym wypadzie do Frankfurtu chciał tak po prostu odpocząć. W zamku czekał na niego apartament, do którego zdążył się już nieco przyzwyczaić i polubić pomimo wielu wcześniejszych obaw.

Przede wszystkim jednak musiał przygotować się na spotkanie z opatem Aller-Heiligen-Stift. Było to dla niego niemałe wyzwanie. „Klucz do miejsca, w którym znajdziesz odpowiedź. Strzeż go jak oka w głowie!" – Thomas przypomniał sobie jeszcze raz słowa Eleonory nakreślone w jej liście. Co to ma w ogóle znaczyć? Jaką odpowiedź i dlaczego ten klucz jest taki ważny? To jakiś obłęd...

Zastanawiał się, czego ma się po tym spotkaniu spodziewać. Może to nic takiego – odbędzie zwykłą pogawędkę z uduchowionym mnichem w starym opactwie. Ale może to będzie coś więcej.

– Cholera! To przecież tylko stary klasztor... – strofował siebie pod nosem. – Pogadam

z tym mnichem tak, jak dziś z Schultzem i Kleinem. Szybko, zwięźle i na temat.

Nie wiedział jednak, że to wydarzenie stanie się niebezpiecznym źródłem życiowych zmian oraz walki, którą będzie musiał stoczyć na przekór wszystkiemu.

19

Dzień był deszczowy i dość chłodny jak na początek września. Powoli pojawiały się już pierwsze oznaki jesieni, która w tym roku chciała wkroczyć znacznie wcześniej niż zwykle.

Thomas właśnie jechał wypożyczonym samochodem, mijając kolejne zakręty w leśnych zakątkach okolic Frankfurtu. Niedawno odnowiona droga sprawiała, że nie odczuwało się uciążliwości podróży. Jechało się płynnie – po prostu miło i przyjemnie.

Dzień rozpoczął się dość nieciekawie. Zdążył już pokłócić się z Angelą, która powoli traciła cierpliwość i zaczęła wyrzucać mu, że panoszy się po posiadłości, jakby był jej panem i władcą. Irytowało ją jego ciągłe przebywanie w bibliotece, szperanie po księgozbiorze oraz oswajanie się z mrocznym zamczyskiem Eleonory. Nie uszły jej uwadze eskapady do miasta, którym ona i jej przyjaciel Alex z niepokojem się przyglądali. Obawiała się jego dociekliwości i chęci poznania zamku. To na pewno. Czy stała za tym jakaś inna sprawa? Tego Thomas nie wiedział i w zasadzie nie zamierzał się tym przejmować. Starał opierać się jej uwodzicielskim i nabuzowanym erotyzmem podchodom, choć fizycznie go bardzo pociągała. W pamięci miał jednak ostrzeżenie zmarłej i wolał dmuchać na zimne. Poza tym była Marta, której bliskości pragnął ponad wszystko na świecie. To ją chciał uczynić panią swojego życia. Przekonywał się o tym coraz mocniej, gdy ich rozłąka wydłużała się z dnia na dzień, i coraz częściej przypominał sobie jej subtelne, troskliwe kobiece oblicze.

Thomas z trudem odnalazł dom starego, poczciwego drwala o imieniu Oswald, którego wskazała mu Eleonora w swoim liście. Wypytywał o niego kilkakrotnie, aż w końcu jakaś para wracająca z kurortu Bad Homburg von der Höhe wytłumaczyła, jak do niego dojechać. Najpierw musiał przemierzyć główny asfaltowy szlak, a po kilkunastu kilometrach skręcić w prawo na leśną, dobrze utwardzoną drogę, na której końcu stała drewniana chata.

Kiedy wjechał na podwórze, zobaczył, jak ktoś krząta się przy gospodarstwie. Ucieszył się bardzo. To był właśnie Oswald – siwy mężczyzna po siedemdziesiątce, który jak na swój wiek trzymał się zaskakująco dobrze.

– Dzień dobry. Czy pan nazywa się Oswald? – spytał dla pewności Thomas.

– Dzień dobry, panu. Tak, to ja... – odparł nieufnie starzec.

– Nazywam się Thomas Michel i przyjechałem z zamku Albertstein. Czy może mi pan powiedzieć, jak dojechać do Aller-Heiligen-Stift?

Starzec zastanawiał się przez dłuższą chwilę, co ma odpowiedzieć nieznanemu przybyszowi. Nie do końca mu ufał, choć sprawiał wrażenie osoby o przyjacielskim usposobieniu. Zmierzył młodego mężczyznę od stóp do głów, pocierając siwą brodę.

– Nie wiem, dlaczego miałbym panu pomóc. Nie znam pana... – powiedział w końcu

podejrzliwie, wystawiając swojego gościa na próbę.

– Jakby to panu powiedzieć... Pani Eleonora von Albertstein, moja zmarła przyjaciółka, poleciła mi udać się do tego starego opactwa i pana spytać o drogę – wytłumaczył Thomas. – Niestety, nie ma żadnych drogowskazów, a miejscowi z pobliskiego kurortu niechętnie udzielają informacji.

– Oczywiście, że niechętnie, i bardzo dobrze. Mnisi cenią sobie ciszę i spokój swego ustronnego klasztoru.

– To jednak wie pan, gdzie jest opactwo?

– Tak, naturalnie, że wiem. Czy mógłby mi pan pokazać, tak dla pewności, swoje dokumenty i... list hrabiny? – poprosił stary Oswald.

– Oczywiście, bardzo proszę.

Thomas podał drwalowi dokument wraz z listem oznaczonym rodową pieczęcią Albertsteinów i odręcznym pismem zmarłej. Starzec na chwilę zniknął w głębi chaty. Powiedział tylko, że musi coś sprawdzić i że to sprawa najwyższej wagi.

Thomasowi zdawało się, że znajduje się na jakimś posterunku granicznym. Zastanawiało go, dlaczego drwal zadaje sobie tyle trudu, sprawdzając jego tożsamość i plenipotencje od Eleonory. Co kryje w sobie opactwo, że tak trudno tam dotrzeć?

Usiadł na jednym z pniaków rozstawionych na podwórzu i w oczekiwaniu na drwala zaczął rozglądać się wokół, podziwiając przy tym piękno przyrody.

Ta część lasu była znacznie urokliwsza niż tereny położone bliżej frankfurckiej metropolii. Obserwując otoczenie chaty, zorientował się, że zapewne niewiele osób się tutaj zapuszcza. Drogę porastały trawy i chwasty. Wokół tylko las i jakiś przydomowy ogródek, przez który spokojnym nurtem przepływał niewielki górski strumień. Thomasa zafascynował drewniany dom kryty strzechą i wykonany z bali, w którym mieszkał drwal. Ciekawiło go, jak jest w środku, ale nie śmiał prosić starca o to, by mu pokazał wnętrze. Wyobrażał je sobie jednak jako całkiem przyjemne i swojskie – z kamiennym kominkiem w salonie, dębowymi podłogami i stylizowanym sufitem.

Rozejrzawszy się, stwierdził nie bez racji, że cywilizacja tylko w minimalnym stopniu dotarła do tego zakątka, co uratowało dziewicze piękno puszczy i jej mieszkańców od zgiełku świata i totalnego, industrialnego zniszczenia.

Po około dziesięciu minutach w drzwiach znowu pojawiła się sylwetka drwala. Thomasa zaskoczyła nagła zmiana zachowania gospodarza. Nie był już starym, naburmuszonym i niezwykle podejrzliwym człowiekiem, jakim wydawał się w pierwszej chwili. Teraz przebijała z jego oczu radość i serdeczność.

– Bardzo przepraszam, że musiał pan czekać – powiedział Oswald. – Jednak musiałem się

upewnić, czy pan to rzeczywiście Thomas Michel.

– Bardzo mi miło. Czyżbym był jakąś ważną osobistością? – Thomas uśmiechnął się lekko. – Skąd tyle tajemnic?

– No wie pan... Kiedy usłyszałem pańskie nazwisko i to, że przyjechał pan z polecenia Eleonory, wystraszyłem się.

– Naprawdę? Ciekawe...

– Chodzi o to, że... że jakiś czas temu Eleonora przekazała zakonnikom wskazówki dotyczące czegoś ważnego, co naprawdę zmieni pana życie – tłumaczył drwal. – Chodzi o pańskie pochodzenie. Więcej nie mogę powiedzieć.

– Moje pochodzenie? Nie bardzo rozumiem – zdziwił się Thomas.

– Tak, to jest tajemnica, którą Eleonora skrywała dla dobra rodziny i przyszłych losów posiadłości.

– Mieszka pan w cudownej okolicy... – dziennikarz zmienił nagle temat rozmowy, nie chcąc roztrząsać dalej całej sprawy bez upewnienia się, czy może czuć się tutaj bezpieczny.

– O tak, tu jest bardzo pięknie, szczególnie jesienią i wiosną. Zimą tych terenów nie polecam, choć mają też swój urok – potwierdził drwal. – Nie wiem, co mogę jeszcze panu powiedzieć, panie Michel. Cieszymy się, że jest pan tutaj. Eleonora bardzo pana kochała.

– Słyszę to już drugi raz – powiedział zaskoczony gość.

– Oj, naprawdę nie powinienem... – zmieszał się starzec. – Opat wszystko panu powie. Tylko proszę uważać.

– No dobrze, będę uważał. Proszę mi teraz wskazać drogę.

– A tak, rzeczywiście... Droga do opactwa. – Stary Oswald poprowadził Thomasa za dom i pokazał mu malowniczo usytuowaną leśną drogę, która wiodła po zboczu niewielkiego wzgórza wyłaniającego się zza mgły i deszczowych oparów. Poinstruował, jak należy jechać i gdzie się zatrzymać, żeby trafić bez większych kłopotów do celu. – Tak jak już mówiłem, niewiele osób się tutaj zapuszcza. Głównie dlatego, że ludzie dziś nie potrzebują duchowej strawy – stwierdził Oswald, rozkładając bezradnie ręce. – Kiedy pan dojedzie do bramy, proszę pociągnąć za ręczny dzwonek. Opat wyjdzie na spotkanie.

– Bardzo panu dziękuję, Oswaldzie – powiedział na zakończenie Thomas, wsiadając z powrotem do samochodu.

– Ależ nie, to ja dziękuję, że mogłem pana poznać – zaprzeczył stary drwal. – Eleonora byłaby szczęśliwa, widząc pana w naszych stronach.

– Na pewno jest szczęśliwa... Do widzenia panu.

Thomas odjechał w kierunku wskazanym przez starego Oswalda. Spotkanie z nim było dla niego bardzo zaskakujące. Rozmowa pełna nieufności, a nawet jakiejś tajemniczej wrogości wobec obcego przybysza przerodziła się nagle w coś na kształt przyjacielskiej pogawędki. Thomas ze zdziwieniem analizował słowa mężczyzny, który zdawał się ogromnie cieszyć z jego obecności. Nie znał powodów tej niezwykłej przemiany, ale był przekonany, że zawdzięcza to Eleonorze, której obecność dawała się wyczuć niemal namacalnie.

20

Gdy Thomas zajechał autem przed mury opactwa, deszcz właśnie przestał padać i zza szarych chmur znowu zaczęło przedzierać się słońce.

Ze wzgórza, na którym położony był klasztor, rozciągał się widok na całą rozległą krainę. Mężczyzna dostrzegł wieżowce Frankfurtu, które dumnie konkurowały z urokliwymi szczytami gór Taunus. Odczuwał niezwykłość tego miejsca – nigdy dotąd go nie poznał, mimo wielu krajoznawczych wypraw podczas studiów we Frankfurcie. Było ono tyleż piękne, co trudno dostępne. Gdyby więc nie stary drwal, nigdy by tutaj nie trafił. Nie dziwił się zatem, że z taką pieczołowitością chroniono dostępu do opactwa, które jako jedno z nielicznych w regionie zdawało się wciąż tętnić życiem.

Klasztor był bardzo stary, jego początki sięgały XIV wieku. Kompleks zabudowań otaczały grube, pięciometrowe mury obronne, których rogi wieńczyły niewielkie wieżyczki. Dominował gotyk, ale tu i ówdzie dało się rozpoznać jeszcze pozostałości architektury romańskiej. Kiedyś klasztor pełnił funkcję miejsca pielgrzymkowego, do którego zdążała rzesza pątników, a wśród nich książęta i królowie, a nawet sam cesarz. Teraz wypełniały go wyłącznie cisza i modlitwa.

Thomas podszedł do bramy i pociągnął mocno za metalowy pręt przytwierdzony do mechanizmu uruchamiającego dzwonek w zakonnej furcie.

Nie musiał długo czekać. Postać białego mnicha z czarnym pasem i kapturem energicznym krokiem zbliżała się ku niemu, by otworzyć bramę i wpuścić przybysza do środka. Na piersi opata błyszczał duży, złoty pektorał – krzyż opacki bogato ozdobiony szlachetnymi kamieniami.

– Witaj, Thomasie – usłyszał na powitanie. – Jestem opatem tego klasztoru i mam ci przekazać dar od naszej patronki, zmarłej Eleonory hrabiny von Albertstein, o czym zapewne już wiesz.

– Dzień dobry. Tak, trochę wiem – odpowiedział niepewnie.

Zakonnik poprowadził go przez pachnący całą paletą zapachów klasztorny ogród do kościoła, w którym mnisi kończyli odmawiać swoje modlitwy. Zaskoczyły go miarowe łacińskie śpiewy braci, echo odbijające się w monumentalnej gotyckiej przestrzeni świątyni i następująca po nim martwa, refleksyjna cisza. Pomimo że ojciec Thomasa pracował jako organista i kantor parafialnego kościoła, to jednak on sam nie był człowiekiem szczególnie religijnym. Zawdzięczał jednak ojcu umiłowanie muzyki i śpiew mnichów bardzo przypadł mu do gustu. Wyczuwało się w nim coś nie z tego świata – magia sakralnej przestrzeni odbijająca się echem w ludzkim wnętrzu.

Opat zaprowadził Thomasa do bocznej kaplicy. Znajdował się w niej sarkofag jakiegoś

średniowiecznego rycerza. Podszedł do nagrobnej płyty, dotykając ją prawą ręką, którą potem wykonał coś na kształt znaku krzyża. Po chwili odwrócił się w stronę gościa, obdarzając go serdecznym uśmiechem.

– Zanim przekażę ci dar od hrabiny, musisz o czymś wiedzieć – zaczął mnich, podchodząc znów do sarkofagu. – Ten klasztor założył w 1388 toku przodek Eleonory, Eberhard von Albertsteyn. Miał on dwoje dzieci, Alberyka i Elysabeth. Kochał je ponad życie. Im przeznaczył zamek, który jest sercem posiadłości pod Frankfurtem. Wszystko się jednak zmieniło, gdy Elysabeth z dziewczęcia stała się kobietą. Urok jej sprawiał, że mężczyźni tracili na jej widok rozum i to do tego stopnia, że niejeden popełnił samobójstwo, gdy znudzona odrzuciła jego zaloty.

Zakonnik wskazał Thomasowi ławkę i usiadł obok niego, dalej snując opowieść.

– W końcu stary Eberhard nie wytrzymał i zagroził córce, że zamknie ją w klasztorze, co zresztą potem uczynił. Nie wiedział jednak o tym, że parała się czarną magią. Pewnej nocy, wykorzystując czarnoksięskie sztuczki, chciała doprowadzić do jego śmierci, by zemścić się na nim i przejąć majątek, ale Eberhard przejrzał ją i zamknął w lochu. Czary, które uprawiała, okazały się jednak tak silne, że jeden ze służących, opętany jej magią, zamordował starego, dobrego pana von Albertsteyn, człowieka niezwykle pobożnego i szlachetnego nie tylko w stosunku do cesarza, ale także swoich poddanych. Umierając, przeklął Elysabeth, nazywając ją diabelskim pomiotem i każąc jej udręczonej duszy snuć się po zamku. Niedługo potem na skutek swoich czarów zmarła także sama Elysabeth. Alberyk pochował ojca z honorami należnymi księciu właśnie tutaj i oddał jego duszę pod opiekę wszystkich świętych.

– A co z Elysabeth?

– Alberyk kazał ciało Elysabeth spalić na stosie, jak przystało potraktować czarownicę. Inkwizycja przychyliła się ku temu rozporządzeniu i sprawa została zamknięta.

– No dobrze, ale co to ma wspólnego ze mną?

– To nie przypadek, że jesteś tutaj. Klucz do zamkowej skrytki, który poleciła dać ci Eleonora, to nie wszystko.

– Jest coś jeszcze? – indagował wyraźnie zaskoczony Thomas.

– Tak... Mam powody przypuszczać, że zabójstwo Eleonory ma związek z Elysabeth i klątwą Eberharda. Zapewne widziałeś jej portret tuż przy drzwiach biblioteki?

– Oczywiście, trudno go ominąć. Jest niezwykle elektryzujący. Zresztą cały zamek wydaje się mroczny i pełen tajemnic – odparł Thomas. – Ale wciąż nie bardzo rozumiem...

– Otóż legenda głosi, że duch Elysabeth uczyni wszystko, by powrócić do władzy i na nowo posiąść zamek. Tylko nowy Alberyk może zniszczyć klątwę, odbudowując ród Albertsteinów i wtrącając wiedźmę w otchłań. To dzieje się teraz, po śmierci Eleonory.

– Proszę mi wybaczyć, ale to są jakieś bajki.

– Zapewniam cię, że ta rodzina ma więcej tajemnic, niż myślisz – bronił swoich racji zakonnik. – Nie wierzysz mi?

– Nie, ani trochę. Co to w ogóle jest? Magia, czary, jakieś wiedźmy... Mamy XXI wiek, proszę ojca. Takie rzeczy się nie zdarzają.

Dziennikarz miał już wstać, by odejść, ale zakonnik powstrzymał go, silnie chwytając za ramię.

– Mylisz się. Jesteś podobny do Alberyka. Nie tylko w wyglądzie zewnętrznym, ale także poprzez duchowe pokrewieństwo – upierał się przy swoim opat. – Choć może nie do końca. Ty jesteś bardziej wrażliwy i umiesz prawdziwie kochać.

– Ja nawet nie jestem spokrewniony z Eleonorą.

– To dlaczego tu jesteś?

– Bo ona tak chciała? – odpowiedział pytaniem Thomas.

– Nie tylko. Eleonora kochała cię bardziej niż tylko jako przyjaciela. Zresztą sam się o tym przekonasz. Możemy to sprawdzić.

– Tak? A w jaki sposób?

Opat podszedł do ołtarza, który znajdował się za sarkofagiem. Ukłonił się głęboko, oddając cześć świętym relikwiom, i otworzył jedną z nisz, po czym wyjął z niej coś. Był to niewielki woreczek z baraniej skóry, mający wygląd sakiewki na monety. Dokładnie takie woreczki Thomas nieraz widział w filmach kostiumowych. Potem zakonnik wydobył coś z sakiewki. Przedmiot ów błysnął złotym blaskiem w nikłym świetle słońca, które padało akurat na książęcy sarkofag.

– To jest rodowy sygnet Albertsteinów z żelaznym krzyżem i złotym lwem na tarczy. Jak głosi stara legenda, pasuje tylko na dłoń tego, kto uosabia sobą postać Alberyka.

– Nie wierzę w ani jedno słowo. Nie interesują mnie te fantastyczne opowieści, tylko klucz do skrytki, zgodnie z wolą Eleonory – bronił się Thomas. – Przyjechałem tu tylko po to.

Opat podszedł do swego gościa i kazał mu wyciągnąć prawą dłoń. Thomas opierał się przez chwilę.

– Przecież to tylko pierścień. Jeśli legenda nie jest prawdziwa i nie dotyczy ciebie, sygnet nie będzie pasował ani nie błyśnie złotym blaskiem na twojej dłoni – mówił, jakby w mistycznym uniesieniu, mnich.

W końcu Thomas uległ. Cóż, bujda czy nie, nie wypada się kłócić z opatem i to jeszcze

w kościele, pomyślał.

Zakonnik podał sygnet przybyszowi. Ten wciąż jeszcze się wahał. W końcu umieścił go na serdecznym palcu prawej dłoni.

Pierścień pasował idealnie. Przez chwilę Thomas miał wrażenie, jak gdyby gdzieś w oddali zagrzmiało, a on sam wypełniał jakieś bliżej nieznane mu przeznaczenie. Spojrzał jeszcze raz na klejnot, który błyszczał na tle jego skóry. Nie mógł uwierzyć, że to może być jednak prawda.

– To czysty przypadek – odparł z przekąsem.

– Tak samo, jak twój pierwszy sen w zamku i moment przed portretem przeklętej Elisabeth? – dodał przekornie opat.

– A skąd ojciec o tym wie? Przecież nikomu o tym nie mówiłem – zapytał zaskoczony Thomas. – Jest ojciec w zmowie z Angelą?

– Z jaką Angelą? Ach... No tak. Nie, ona nie wie o istnieniu opactwa. Może coś kiedyś słyszała, ale... To właściwie bez znaczenia – stwierdził mnich. – Powinieneś jednak na nią uważać.

– Mimo wszystko zaskakujesz mnie, ojcze – zaczął po dłuższej chwili milczenia Thomas, wciąż czując zażenowanie. – Nic z tego nie rozumiem.

– Cóż... Kluczem do zagadki jest skrytka w zamku.

– Jak ją odnaleźć?

– Jak? – powtórzył zakonnik, przekazując gościowi niewielkie puzderko, które przez cały czas trzymał pod habitem. – W zamkowej bibliotece, w samym jej centrum, znajdziesz kulisty atlas świata. Szukaj w nim symbolu z pierścienia: znaku złotego lwa.

– I co potem?

– Włożysz klucz i otworzysz. Tam znajdziesz odpowiedź na wszystkie pytania – mówił ściszonym głosem przełożony klasztoru. – Skrytka daje się poznać tylko temu, komu jest przeznaczona.

– Czy to jest to, co ma zmienić wszystko? Całe moje życie? – spytał Thomas.

– Ech... Ty wciąż nic nie rozumiesz – skonstatował zakonnik. – Ono uległo zmianie już wtedy, gdy przyjechałeś do Frankfurtu pierwszy raz, na studia. Jeszcze raz ci mówię, to nie był przypadek. Teraz powinieneś tylko pozwolić, aby zmieniło się już na zawsze. Tylko, zaklinam cię na pamięć o Eleonorze, nie daj się zwieść ułudzie ani mrokowi zamkowych pomieszczeń. Naprawdę, bardzo uważaj!

Thomas został w opactwie jeszcze parę godzin. Czuł się nieswojo po tej długiej, wyczerpującej rozmowie z zakonnikiem, który na każdym kroku zaskakiwał go swoją wiedzą oraz coraz to nowszymi i z każdą minutą jeszcze bardziej fantastycznymi opowiadaniami. Opat pokazał mu klauzurę i przedstawił pozostałym mnichom, którzy milcząco, lecz z pewną nieskrywaną atencją, przyjęli jego obecność wśród nich. To też go zaskoczyło. Każdy z tych białych mnichów zdawał się znać historię opowiedzianą mu przez opata. Czy była prawdziwa? Thomas nie wiedział na pewno, ale gdzieś w głębi duszy słyszał przekonujący głos Eleonory, która zaklinała go na wszystkie świętości, aby nie traktował legendy lekceważąco i nie odrzucał historii, która ukształtowała jej rodzinę.

W końcu późnym popołudniem wyruszył w drogę powrotną do zamku. Pożegnał się z zakonnikami, dziękując im za troskliwość i wyrozumiałość. W jego głowie wciąż brzmiały słowa opata o klątwie Eberharda, damie z zamkowego portretu i trosce Eleonory, która zadbała, by chłopak otrzymał to, co mu się należało. Myślał też o pierścieniu Alberyka, który opat mu przekazał, wierząc w spełnienie przepowiedni ze średniowiecznej legendy. Zastanawiała go jeszcze zawartość skrytki. Jaką znajdzie tam odpowiedź? Tego wciąż nie wiedział.

Martwiły go te ciągłe tajemnice, których odkrycie niosło ze sobą nieznane mu bliżej ryzyko. Miał nadzieję, że wreszcie dowie się, o co w tym wszystkim chodzi. Już wkrótce miało się to wyjaśnić, czuł to. Był pewien również i tego, że koniec końców nie obejdzie się bez konfrontacji z Angelą, która osaczała go coraz bardziej, niczym lwica drapieżnie broniąca swego terytorium i swoich sekretów.

Kiedy zbliżał się do granic posiadłości Eleonory, spojrzał jeszcze raz na książęcy sygnet, który w czerwonym blasku zachodzącego słońca błyszczał na jego dłoni odcieniami złota i srebra. Widok klejnotu upewnił go, że spotkanie w opactwie nie było snem.

Coś mówiło mu, że opat się nie pomylił. Pan powracał do swojego zamku.

21

Zaraz po śniadaniu, gdy tylko pozbył się dominującego towarzystwa Angeli oraz jej przyjaciela Alexa, Thomas poszedł do swojego apartamentu. Odświeżył się i na chwilę przysiadł jeszcze w gabinecie starego Alfreda, by ułożyć sobie plan działania.

Nagle zadzwonił telefon. To był Berndt Klein z Frankfurtu.

– Cześć. Czy masz już jakieś informacje? – zapytał Thomas.

– Tak, udało mi się poszperać w tych archiwach, o których mówiliśmy – zaczął Klein. – Natrafiłem na kilka dziwnych tekstów, których znaczenia nie bardzo pojmuję, ale dla mnie to wszystko jedno.

Klein opowiedział o tym, co udało mu się wygrzebać o bracie Eleonory i aferze, jaką spowodowała nagła ucieczka osiemnastoletniej wówczas Angeli. Okazało się, że mogła mieć coś wspólnego ze śmiertelnym wypadkiem Alfreda. Tekst, który zacytował frankfurcki dziennikarz, nie wydawał się do końca jasny, ale Thomas wywnioskował z niego, że to Angela kryła się za tą rodzinną tragedią. Czyżby historia zataczała koło?

– No wiesz, układ w rodzinie był taki, że majątek przejęła Eleonora, która postarała się, by Angeli nic albo tylko niewiele się dostało – relacjonował Klein. – W innej gazecie znalazłem wzmiankę, że w podobny sposób zginął pierwszy mąż Angeli. Już wtedy podejrzewano ją o romans z synem dawnego, wysoko postawionego nazistowskiego aparatczyka, który po wojnie zmienił nazwisko i na jakiś czas ulotnił się do Stanów.

– A to ci dopiero numer! I może powiesz mi, że ten przyjaciel Angeli na imię ma Alex?

– Tak, dokładnie. To Alexander Riess – potwierdził dziennikarz. – Skąd wiesz?

– Niestety, mieszkam z nim teraz pod jednym dachem i powiem ci, że kontakty z nim nie należą do najprzyjemniejszych.

– O cholera... No to masz problem.

– I to jaki! Kiedy dzwonię do Marty, to omijam ten temat, ale odnoszę wrażenie, że ona wyczuwa napięcie, jakie wywołuje we mnie ta sprawa – stwierdził Thomas.

– Masz rację. Po co ją martwić. To niebezpieczne – zgodził się Klein.

– No fakt, robi się gorąco. Ogłoszenie testamentu za tydzień, a mroczna atmosfera zamku zaczyna się powoli zagęszczać – skonstatował bez ogródek Thomas.

Dziennikarz z „Frankfurter Allgemeine Zeitung” zaczął opowiadać, co udało mu się

ustalić na temat damy z obrazu, ale Thomas mu przerwał. Znał tę historię aż za dobrze. Na koniec wymienili tylko opinie na bieżące tematy, a Thomas poprosił kolegę, by ten na razie zachował wszystkie spostrzeżenia dla siebie.

– Kiedy wszystko się wyjaśni, to przygotuję ci garść informacji i napiszesz sobie ten reportaż, ale teraz, proszę, trzymaj się już od zamku z daleka – powiedział rzeczowo. – Nie chciałbym, żeby coś ci się stało. Jeśli jest tak, jak mówisz, to może być niewesoło.

– Okej, w porządku. No to cześć.

– Cześć. Odezwę się za tydzień.

Thomas odłożył telefon na bok i przez chwilę przyglądał się sygnetowi Alberyka, który podarował mu opat. Odkąd go miał, Angela chodziła wściekła i otwarcie wyrzucała mu to, że uzurpuje sobie prawo do majątku. Znała symbole na nim wybite i wiedziała, co to dla niej oznacza. Skoro nie udało się uwieść chłopaka i zmusić do wyjazdu, co spowodowałoby unieważnienie testamentu Eleonory, to należało zastanowić się całkiem poważnie nad innymi środkami zaradczymi. Nie doceniła przyjaciela starej ciotki. Na początku wydawał jej się niczego nieświadomym mężczyzną, którego można łatwo uwieść. Jednak miłość do Marty w jakiś przedziwny sposób ochraniała go, mimo sennych koszmarów.

Thomas wyjął z kieszeni puzderko, które nosił cały czas przy sobie. Otworzył je, na jego wymoszczonym karmazynową tkaniną dnie znajdował się niewielki, może dwucentymetrowy, kluczyk.

„W centrum biblioteki znajdziesz atlas świata... – przypomniały mu się słowa opata z Aller-Heiligen- -Stift. – ...daje się poznać tylko temu, komu jest przeznaczony”.

Zawahał się na chwilę. Wiedział, że musi iść i to sprawdzić, ale nie czuł się już tak pewnie jak za pierwszym razem. Tajemnica, którą miał poznać, przerażała go, podobnie jak każda poważna nowość czy zmiana zachodząca w życiu człowieka.

Wziął w dłonie swoją komórkę i zaczął pisać SMS-a do Marty: „Idę do biblioteki otworzyć zamkową skrytkę – może w końcu dowiem się, o co tu chodzi. Zadzwonię później. Kocham cię”.

Thomas schował telefon do kieszeni, wziął puzderko z kluczem i wyszedł z apartamentu.

Na zamkowym korytarzu panowała znowu niepokojąca, grobowa cisza. Średniowieczna budowla trwała w martwym bezruchu, jakby w oczekiwaniu na to, co się wydarzy. Thomas spojrzał na witraż znajdujący się na wprost galerii pierwszego piętra, nad wielkimi dębowymi schodami. Anioł z morderczą pasją zadawał ostatni cios smokowi, który resztką sił próbował wydostać się spod jego włóczni. Dreszcz przeszedł go po plecach i poczuł jak zimne krople potu spłynęły mu po czole. Potem, upewniwszy się, że w zamku nikogo poza nim nie ma, udał się do biblioteki, szybko mijając portret nawiedzonej wiedźmy-baronowej.

Biblioteka tym razem tonęła w blasku jesiennego słońca, zachęcając przybysza do

korzystania z jej zbiorów. Dziennikarza interesował jednak wyłącznie ów atlas świata, o którym mówił zakonnik.

– Co to może być? – mruknął pod nosem, rozglądając się wokół. – Ach, jasne... To na pewno to.

Podszedł do kryształowej kuli, która stała pomiędzy dwoma wielkimi kandelabrami. Znajdowała się dokładnie w centrum pomieszczenia i była widoczna z każdego jej zakątka. Thomas poczuł się tak, jakby znalazł się w prawdziwym centrum świata... świata wiedzy, którą przodkowie Eleonory tak skrzętnie pogłębiali i zachowywali dla przyszłych pokoleń.

Zaczął oglądać kulę ze wszystkich stron. Globus był przepiękny. Wykonany w jednej z norymberskich pracowni, stanowił znakomite świadectwo kunsztu rzemieślników, którzy kilkaset lat temu, wykonując to dzieło, przeszli samych siebie. Thomas przeciągnął palcem po wierzchu, delektując się cudownym widokiem. Na obręczach dostrzegł jakieś łacińskie napisy, których znaczenia nie bardzo rozumiał, a tam gdzie obręcze łączyły się ze sobą, znajdował się taki sam herb, jaki widniał na książęcym sygnecie Alberyka. Przez cały czas zastanawiał się, gdzie znajduje się ukryty zamek do skrytki. Dopiero gdy usiadł na fotelu za biurkiem, spostrzegł jakiś niewielki punkcik przy podstawie kryształowego modelu kuli ziemskiej. Szybkim krokiem podszedł do niego, wyjął kluczyk i kucnął. Tym punkcikiem okazała się specjalnie skonstruowana, maskująca zastawka z wymalowanym na niej złotym herbowym lwem Albertsteinów. Sprytnie... – pomyślał Thomas. Gdyby nie znał herbu i przeznaczenia kuli, nigdy by się nie domyślił.

Kiedy przesunął blaszkę z podobizną lwa lekko w prawo, jego oczom ukazał się niewielki otwór. Pasował tylko do jednej rzeczy – do klucza Eleonory.

Thomas delikatnie włożył kluczyk. Przekręcił go i nagle spod globusa wysunęła się niewielka szufladka. Na jej dnie dostrzegł starą lakową pieczęć rodową oraz zeszyt.

Na okładce wypisane było odręcznie: *Eleonora von Albertstein – Pamiętnik. Thomas wyjął* pieczęć i zeszyt. Długo zastanawiał się, co zrobić dalej. Nie czuł się bezpiecznie. Postanowił, że pamiętnik przeczyta na miejscu, ale pieczęć pozostanie w skrytce. Tak będzie najlepiej... – stwierdził po namyśle, zamykając szufladkę i maskując miejsce na klucz.

Nie wiedział, co zrobić z kluczem. Wpadł jednak na pomysł, że naciągnie go na łańcuszek, który nosił na szyi, i schowa go pod ubraniem, aby był jak najmniej widoczny.

W końcu podszedł do biurka i wygodnie rozsiadł się w fotelu. Był środek dnia. Promienie słońca radośnie muskały wnętrze biblioteki, która na co dzień wydawała się mroczna i mało urokliwa.

Otworzył pamiętnik wypełniony równym, odręcznym pismem hrabiny. Zaczęła go pisać zaraz po tragicznej śmierci brata. Chciała zachować pamięć o najnowszej historii rodu, ale nie tylko. Chodziło jej również o to, by przelać na papier wszystko to, co mówiło jej serce. Thomas z zachwytem przekładał kolejne kartki. Był pod ogromnym wrażeniem dokładności, z jaką Eleonora potrafiła przekazać nawet najdrobniejszy szczegół. Naprawdę niezwykły jest ten

pamiętnik – stwierdził.

W końcu natrafił na fragment, który opisywał narodziny Eleonory i czas wielkiej wojny. Nie były to wyłącznie wspomnienia hrabiny, ale także zapis tego, co przekazała jej kiedyś, przed wielu laty, matka.

Urodziłam się na Śląsku latem 1942 roku w miejscowości, która wtedy nazywała się Langenöls i znana była w całych Niemczech z rozsuwanych stołów. Mieliśmy tam niewielki letni zameczek, malowniczo położony w parku. Za nim, na wzgórzu, rosły piękne fioletowo-czerwone rododendrony, które moja matka wprost uwielbiała. Właściwie była to jedna z kilku rezydencji Albertsteinów, które rozsiane były po kraju. Mój ojciec, Maximilian, był bardzo przystojnym mężczyzną. Uganiały za nim wszystkie panny, ale wuj Hans z Frankfurtu zapoznał go z moją matką Anną z książęcego domu von Hohenstauff. Zakochali się od pierwszego wejrzenia. Była to wielka i płomienna miłość, którą potem nieco stępiła wojna. Ojciec był wysoko postawionym oficerem SS w randze pułkownika. Wbrew woli matki włączył się w politykę i na tym polu zaczął odnosić sukcesy. Papa był bardzo oddany ojczyźnie i Führerowi.

Kiedy się urodziłam, był środek tej straszliwej wojennej pożogi, ale na Śląsku panował względny spokój. Matka po latach opowiadała mi o spotkaniach z nazistowskimi aktywistami, którzy według niej byli ludźmi ograniczonymi, bez szerszych horyzontów. Wyjątek stanowił oczywiście papa. Kiedy raz mama pojawiła się w stolicy prowincji, wspaniałym Breslau, na spotkaniu z Führerem, dostrzegła ku swojemu wielkiemu zaskoczeniu, że był to człowiek nudny, pałający żądzą niszczenia i zabijania. Brzydziła się tym ohydnym towarzystwem, które urągało jej intelektowi, była bowiem kobietą z wyższych sfer, wszechstronnie wykształconą damą ze starego książęcego rodu. Wiedziała, że każda krytyka niosła za sobą śmierć. Przekonała się o tym, gdy jeden z jej kuzynów zaprotestował – jego zamek zmieniono w szkołę Hitlerjugend, a jego samego pozbawiono majątku, urzędów i wysłano na roboty do obozu pracy. Matka bała się o nas i o... ojca. Kochała nas, więc wybrała milczenie...

Thomas na chwilę zaniemówił. Był totalnie zaskoczony. Nie mógł uwierzyć w to, co przeczytał. Ta miejscowość, w której urodziła się hrabina, leży przecież niedaleko jego rodzinnego miasta. Czy to jest ta tajemnica, o której pisała mu w liście?

Eleonora córką nazisty? Nie, to niemożliwe. Przecież to jest... To była taka dobra, wspaniałomyślna kobieta – pomyślał, po czym wrócił do lektury wspomnień.

...to było jakoś na początku 1945 roku. Kiedy mój ojciec dowiedział się, że Rosjanie są już w sąsiednim mieście, wpadł w panikę. Miał na sumieniu wiele złych decyzji i wiedział, że kiedy oni przyjdą, nie pozostawią go żywego. Miałam wtedy trzy lata, a mój braciszek Alfred dwa. Jednak pamiętam ten dzień tak, jakby to było wczoraj. Matka kazała nam schronić się w piwnicy, a sama przygotowywała ekwipunek do ewakuacji. Papa pożegnał się z nami, mówiąc, że musi wyjechać w daleką podróż, z której może już nigdy nie wrócić. Ja nie posłuchałam. Wymknęłam się z zamku i pobiegłam za nim na wzgórze, skąd dobiegała ożywiona rozmowa. Widziałam zapłakaną matkę, która błagała go, aby nie robił głupstw, i chciała go przekonać, by uciekał przez Czechy i stamtąd przez Bawarię do naszego najważniejszego rodowego zamku pod Frankfurtem nad Menem. Ojciec pogłaskał matkę po jej pięknych ciemnoblond włosach, ucałował ją namiętnie, a potem jakiś usłużny żołdak podał mu niewielki pistolet. Matka szybko

zbiegła do zamku, tonąc we łzach. Nagle usłyszałam strzał. Zakryłam głowę swoim dziewczęcym fartuszkiem. Byłam przerażona. Po chwili wyjrzałam na zewnątrz i zobaczyłam... Papa nie żył. Popełnił samobójstwo, bo nie chciał odpowiadać za zbrodnie Führera. Podbiegłam do jego martwego ciała i zaczęłam płakać. Uciekłam do zamku, do brata, który o niczym nie wiedział, choć słyszał wystrzał. Oboje płakaliśmy, a matka tuliła nas bez słowa, błagając na wszystkie świętości, aby wojenna przeszłość na zawsze pozostała naszą tajemnicą.

Nigdy nie zapomniałam widoku martwego oblicza ojca i jego zakrwawionej głowy. To było straszne. Tamtego dnia przyrzekłam, że nie będę tolerowała zła. Nie chciałam popełniać błędów ojca...

Thomas otarł dłońmi wilgotną od łez twarz. Wzruszył się szczerym wyznaniem Eleonory. Wiedział już, że tamten dzień odcisnął na niej mocne piętno. Zastanawiał się, czy to właśnie dlatego okazała mu tyle ciepła. Dlaczego jednak chciała, aby poznał tę historię? To wciąż pozostawało zagadką.

Czytał, jak zaraz po samobójstwie Maxa von Albertstein, pod osłoną nocy pochowano jego martwe ciało nieopodal zamku, w pobliżu tych ulubionych przez matkę hrabiny rododendronów. Potem z zapisków dowiedział się, że następnego dnia szybko wyjechali, zostawiając majątek i ludzi na pastwę losu. Matka Eleonory obawiała się zemsty Rosjan. Wolała czym prędzej przedostać się do wuja i osiąść w zamku pod Frankfurtem, gdzie po wielu spokojnych latach zmarła. Eleonora i jej brat świadczyli dobro, wynagradzając światu zło, którego dokonał ich ojciec. Hrabina opisała też dokładnie średniowieczną legendę i wspomniała o klątwie, której wypełnienia spodziewała się niebawem.

Thomas przestał czytać. Wstał od biurka i zaczął krążyć po bibliotece. Rozmyślał nad tym, co przeżył w tym zamku i co powinien teraz sądzić o zmarłej przyjaciółce, jej rodzinie i przeszłości. Zaczynał rozumieć inklinacje Angeli do syna byłego nazisty. Widocznie znała tę opowieść i chciała jakoś to wykorzystać. Jednak to były tylko poszlaki, nic nieznaczące domysły.

Do lektury pamiętnika hrabiny wrócił po piętnastu minutach. Musiał ochłonąć po tej porządnej dawce rodzinnej historii. Znów wygodnie rozłożył się w fotelu i zaczął wertować zeszyt. Nagle gdzieś między kartkami mignęło nazwisko jego ojca – Ernesta Michela. Odszukał odpowiedni fragment i pochylił się nad nim ze zdwojoną uwagą.

Kiedy w 1973 roku mogliśmy w końcu odwiedzić nasze rodzinne strony, zamieszkałam u przyjaciółki w Görlitz, na kilka miesięcy wynajmując u niej pokój. Piękne nadgraniczne miasto zrobiło na mnie duże wrażenie. Pojechałyśmy do miejscowości, w której znajdował się nasz zamek, i zastałyśmy wszystko zadbane, co nas ucieszyło. Zostawiłyśmy mieszkającym w zamku Polakom kilka marek, żeby choć trochę wynagrodzić im ich troskę o nasz dawny majątek. Nie było ze mną Alfreda, który tkwił we Frankfurcie pochłonięty swoimi sprawami. Po powrocie do Görlitz, następnego dnia wybrałyśmy się na spacer po mieście. Weszłyśmy do jednego z kościołów. Urzekła mnie bajeczna muzyka organowa, która cudownie odbijała się od gotyckich sklepień katedry. Wychodząc, wpadłam na organistę, któremu narobiłam kłopotu, rozsypując wszystkie nuty. Nazywał się Ernest Michel. Chciałam mu to zrekompensować, więc umówiliśmy się na kawę, a potem jeszcze raz, i w końcu zakochaliśmy się w sobie. Pomimo nalegań brata i matki chciałam pozostać tam z Ernestem. Pod koniec wakacji doszło do czegoś, co zmieniło całe

moje i Ernesta życie. Dziewięć miesięcy później na świat przyszedł piękny chłopczyk, któremu daliśmy na imię Thomas Maximilian. Pokochałam go i kocham wciąż...

Thomasa zatkało, kiedy przeczytał te słowa. Nie mógł uwierzyć, że Eleonora i jej ojciec byli razem. Teraz rozumiał, dlaczego on się rozpił, a ona go odnalazła i pomagała mu aż do końca. Wszystko zaczęło się układać w jedną spójną całość. Jego studia stanowiły wymówkę. Hrabina po prostu chciała mieć go blisko siebie.

Tak, pomyślał. Przecież to ja mam na imię Thomas Maximilian. A Ernest to mój ojciec. Data urodzin dziecka też się zgadza. Cholera... Czułem, że jest między nami coś więcej niż przyjaźń...

Podczas wertowania zeszytu wypadła na podłogę kartka – jego prawdziwy akt urodzenia: „Thomas Maximilian Theodor Alberyk Michel und von Albertstein, ur. 15.04.1974 w Görlitz".

Doznał szoku. Spocone z wrażenia ręce trzęsły mu się niczym w delirium, a gorący pot spływał mu po plecach, wywołując dziwne, nieprzyjemne uczucie. Ogarnęło go przerażenie. Nie wiedział, co robić. Złożył dokument, wsunął go do znalezionej na biurku koperty i wsadził ją do kieszeni spodni. Musiał sprawdzić, czy dokument był prawdziwy.

Jak to możliwe, że przez tyle lat nic o tym nie wiedziałem? – pytał sam siebie, wracając do lektury pamiętnika hrabiny.

...Matka była zniecierpliwiona moją długą nieobecnością i w końcu przyjechała do nas. Kiedy dowiedziała się o Erneście i naszym kochanym synku Thomasie, zrobiła taką awanturę, jakiej nigdy przedtem ani potem nie doświadczyłam. Nakazała Ernestowi przejąć całą odpowiedzialność za wychowanie chłopca i zapomnieć o mnie. Potem udała się do ratusza i przekupiła urzędników, by w rubryce „matka" wymazali wszelkie wzmianki o mnie. Nikt nie mógł się o tym dowiedzieć. Była zbyt dumna ze swych szlacheckich korzeni, żeby pozwolić, aby mój „wybryk" wywołał skandal, który splamiłby honor rodziny. Czułam się bardzo źle, ale matka nie ustępowała i kazała mi zapomnieć o tej miłości. Wyjechałam z nią, a mój kochany synek dorastał z Ernestem. Nie było im łatwo. Wiem to, bo po śmierci matki raz zadzwoniłam do dawnego ukochanego, a potem czasem otrzymywałam od niego listy, w których prosił, by mu jakoś pomóc, ponieważ sobie nie radził. Przez długi czas nic jednak nie mogłam zrobić.

Przysyłał mi też zdjęcia chłopca i opisywał jego szkolne osiągnięcia...

Thomas wyciągnął plik zdjęć ułożonych chronologicznie. Już pierwsze z nich go zaskoczyło. Widok Eleonory z nim, jako maleńkim dzieckiem, na rękach i jego ojcem u boku wywołał potężną falę wzruszenia. Tego się nie spodziewał. Takiej fotografii w jego rodzinnym archiwum nie było...

– Mój Boże... – westchnął do siebie głosem pełnym roztkliwienia. – Cholerny świat... Wszystko wywrócone do góry nogami.

Nagle odczuł głęboką tęsknotę za Eleonorą oraz ojcem, którego zabiła niespełniona miłość i dziwnie pojęty honor Albertsteinów. Odwrócił się w kierunku okna. Na dworze wciąż

świeciło słońce. Dzieci gospodarzy z sąsiedztwa wesoło bawiły się w ogrodzie. Kiedy zauważyły Thomasa, pomachały mu na powitanie, a on otworzył okno i zażartował sobie z ich frywolnych zabaw, choć nie przyszło mu to łatwo.

Zamknął zeszyt i odłożył go na bok. Walczył ze sobą, czy zadzwonić do Marty teraz i od razu o wszystkim jej opowiedzieć, czy może lepiej z tym poczekać. Pragnął jej obecności i wsparcia. Nie chciał jej jednak narażać. Angela już teraz stanowiła poważne zagrożenie, a co dopiero się stanie, gdy zorientuje się, że on już o wszystkim wie? Temu musiał stawić czoła sam.

Powinien sobie to wszystko przemyśleć jeszcze raz. Trudno mu było tak na świeżo wybrnąć z tego labiryntu pytań, które kłębiły się w jego umyśle.

Teraz rozumiał wszystko.

22

Thomas obudził się zaraz po tym, jak pierwsze promienie słońca zaczęły przedzierać się przez okienne witraże jego sypialni. Czuł się bardzo zmęczony, a muskające jego twarz światło dnia nie pozwalało mu na przedłużenie nocnego odpoczynku.

Po wczorajszym popołudniu spędzonym na lekturze pamiętnika Eleonory długo nie mógł zasnąć. Siedział przy świetle świec i rozmyślał o tym, czego się dowiedział, od czasu do czasu popijając wino, które przyniósł z kuchennego składziku.

Teraz miał jednak nadzieję, że to wszystko mu się tylko śni. Nie wyobrażał sobie zamieszkania w tych starych murach z Angelą, która okazała się jego bliską kuzynką. Z obrzydzeniem przypomniał sobie o tej pierwszej nocy w zamku, co do której wciąż miał wątpliwości. Z drugiej strony rozumiał baronową i jej chęć odzyskania fortuny, którą – obiektywnie rzecz biorąc – przynajmniej w części powinna otrzymać. W końcu Alfred był jej ojcem ...

Po lekturze pamiętnika i poznaniu prawdy o sobie samym żal po stracie Eleonory opanował go z podwójną siłą. Chciał odnaleźć zabójcę i sprawić, by odpowiedział za swoje winy. Powracały wspomnienia i ból, którego doświadczył, kiedy dowiedział się o tajemniczej, nagłej śmierci hrabiny. Nie mógł zapomnieć jej twarzy, pełnej dobroci i miłości.

W końcu podniósł się, aby udać się do komisarza Schultza, a w drodze powrotnej odwiedzić także rodzinną kryptę Albertsteinów. Chciał też trochę pobyć sam na sam z przyrodą i pochodzić po górach, które tak lubił. Musiał odpocząć na łonie natury, zanim podejmie ostateczne decyzje.

– Dzień dobry, Angelo – powiedział na powitanie, spotkawszy kuzynkę w holu.

– Cześć. Wybierasz się gdzieś? – zapytała z zaciekawieniem kobieta, która jak zawsze, tak i tego dnia, wyglądała zjawiskowo. Miała na sobie błyszczące, niezwykle obcisłe, skórzane spodnie i lateksową, uwydatniającą kształt piersi bluzkę. Podeszła do Thomasa i zmierzyła go wzrokiem. – Pytałam, czy gdzieś się wybierasz? – powtórzyła surowym, ale zarazem zalotnym tonem, obejmując go filuternie. – Milczysz?

Pogłaskała go uwodzicielsko po policzku. Kiedy chciała go pocałować, on odsunął ją od siebie z dezaprobatą. W odpowiedzi Angela uderzyła go w twarz, aż z kącika ust popłynęła mu cienka strużka krwi. Thomas dotknął dłonią mocno piekącej skóry.

Nic jednak nie powiedział. Wyjął z kieszeni chusteczkę i otarł krew, a potem odwrócił się w kierunku drzwi, tak jakby nic się nie stało.

Angela kipiała ze złości. Nie przywykła do ignorowania ze strony mężczyzn, szczególnie młodszych od niej.

– Pamiętaj, Thomas. Ja zawsze otrzymuję to, czego chcę – rzuciła w stronę jego pleców.

– Czyżby? – odparł. – No to mamy problem.

– Ech ty... ty... ty... bękarcie skończony! – warknęła ze złością. – Zapłacisz mi za to!

Thomas odwrócił się ostrożnie i przyjrzał się Angeli z uwagą. Rozbawiła go jej nagła złość, ale nie pokazał tego po sobie. To nie byłoby zbyt roztropne.

– Miło mi wiedzieć, kim jestem. Udanego dnia – powiedział i wyszedł na zamkowy podjazd.

Tymczasem Angela nie potrafiła dojść do siebie. Rzucała przekleństwami na lewo i prawo, jakby to mogło coś zmienić w jej sytuacji. Od początku wiedziała, że stoi na przegranej pozycji, ale dopóki Thomas trwał w niewiedzy, było jej łatwiej przejąć kontrolę. Teraz odniosła wrażenie, że straciła wszystko.

– Alex, do cholery... Gdzie ty jesteś? – ryknęła w końcu. – Alex!

– Co się stało? Drzesz się na całą okolicę, jakby to miał być koniec świata – powiedział jej przyjaciel zaskoczony tak emocjonalną reakcją. – Na twoim miejscu zachowałbym zimną krew.

– Musimy coś z tym zrobić! Słyszysz? Musimy! – krzyknęła znowu kobieta. – Ten pieprzony bękart... on... on...

– Spokojnie, kochanie – uspakajał przyjaciółkę Alex. – Zaraz pomyślimy, jak zakończyć tę farsę.

– Farsę? To katastrofa, ty debilu. Katastrofa! Rozumiesz, co to oznacza?

– Tak, doskonale to rozumiem, ale nie pojmuję, dlaczego podchodzisz do tego tak nieprofesjonalnie.

– Nie wiesz wszystkiego. Nie wiesz o klątwie i tej kobiecie z obrazu przy bibliotece. Ty nic nie wiesz – mówiła Angela, jakby w amoku. – Ty tylko byś się pieprzył ze mną i prowadził lewe interesy, ale nic, do cholery, nie rozumiesz. To już koniec. Jestem skończona.

– Dopóki on żyje, to rzeczywiście twoja sytuacja nie jest najlepsza – odparł z rozbrajającą szczerością mężczyzna, zdenerwowany zachowaniem baronowej. – Pomyśl jednak, co zrobić, żeby to zmienić.

Angela w końcu ustąpiła. Zdała sobie sprawę, że takimi metodami niczego nie osiągnie. Postanowiła zdać się na partnera, który zapewne już wiedział, jak sprawić, żeby jej problemy przestały istnieć.

W tym czasie Thomas powoli zbliżał się do komisariatu. Jeszcze siedząc w samochodzie, umówił się na spotkanie z komisarzem Schultzem, wyjaśniając przy tym, o co chodzi. Zależało mu na tym, by potwierdzić autentyczność zapisków Eleonory oraz aktu urodzenia, który znalazł w jej pamiętniku. Nie mógł sobie pozwolić na wątpliwości. Przeciwnik okazał się zbyt wyrachowany i silny. Nie wolno mu było tego lekceważyć.

– Witam, panie Michel. Rozumiem, że chce pan mieć pewność, czy rzeczywiście jest synem Eleonory – powiedział policjant, gdy w końcu spotkali się w jego biurze. – Przyznam, że pańska wiadomość zupełnie mnie zaskoczyła.

– Ja też jestem tym zaskoczony. Nie spodziewałem się tego – odparł Thomas.

– Mamy dwa wyjścia. Jedno takie, że zrobimy test DNA i porównamy próbki z Zakładu Medycyny Sądowej, a to trochę potrwa.

– A druga opcja?

– Druga opcja jest taka, że zaraz skontaktujemy się z człowiekiem, który wystawił ten dokument.

– Udało się go namierzyć?

– Tak i to, o dziwo, bez większych problemów. Zgodził się współpracować z nami.

– To kapitalnie – ucieszył się Thomas.

– Też tak myślę, zwłaszcza jeśli zależy nam na czasie.

Akcja trwała zaledwie kilkanaście minut. Lekarz, który wystawił akt urodzenia, potwierdził, że pod wpływem starej hrabiny musiał go zmieniać i że zapłaciła mu dobrych kilkanaście tysięcy marek za milczenie.

Wszystko się więc zgadzało. Thomas Michel był synem Eleonory.

– Jest jeszcze coś.

– Tak? – zapytał zaskoczony Thomas.

– To chyba bardzo dobra wiadomość.

– No niechże pan to już z siebie wydusi! – pośpieszał zniecierpliwiony.

– Dobra wiadomość jest taka, że... że nie jest pan bękartem, jak nazwała pana dziś Angela.

– To znaczy?

– To znaczy tyle, że pański ojciec i Eleonora pobrali się w tajemnicy przed matką. Ich ślub jest odnotowany w aktach parafialnych katedry w Bautzen i to jest również pewne.

– Komisarzu, jest pan niesamowity! – wykrzyknął ucieszony Thomas. – Czy jest możliwe przesłanie tutaj tego aktu ślubu?

– Oczywiście, zaraz go przyślą – potwierdził funkcjonariusz. – Hm... To teraz powinienem mówić do pana „panie hrabio".

Andreas Schultz zaśmiał się serdecznie, a wraz z nim także świeżo upieczony panicz. Rozmawiali jeszcze chwilę. W pewnym momencie Thomas spoważniał.

– Czy mógłby pan wykonać kopię zapisków Eleonory oraz tego mojego aktu urodzenia? Chciałbym mieć zabezpieczenie na wypadek, gdyby Angela i jej kompan wpadli na jakiś głupi pomysł – poprosił.

– Oczywiście – odparł komisarz Schultz i natychmiast wykonał kopie dokumentów, opatrując je odpowiednią pieczęcią, by zachowały moc prawną.

Thomas w końcu pożegnał się i wybrał na cmentarz. Chciał odwiedzić grób hrabiny i złożyć na jej sarkofagu pojedynczą czerwoną różę. Spędził tam może z pół godziny, rozmawiając w myślach ze swoją odzyskaną matką, która przez długie lata ukrywała tajemnicę, by wyjawić ją dopiero po swojej śmierci.

Godzinę później był już poza miastem. Jechał w kierunku kurortu Oberursel, gdy nagle z bocznej drogi wyskoczył czarny motocykl, który szybko zaczął doganiać jego opla. Boże, sami wariaci na tych drogach, pomyślał. Śpieszy im się na cmentarz czy co?

Spokojnie przejechał jeszcze kilometr czy dwa. Motocyklista, w uniformie tak samo czarnym jak jego sprzęt, wyraźnie na coś czekał. Wreszcie podjechał prawie pod samo okno auta. Kiedy Thomas mu się przyjrzał, okazało się, że to kobieta. Widząc to, chciał zwolnić, by mogła go wyprzedzić. Jednak bezskutecznie. Ilekroć zwalniał lub przyśpieszał, motocyklistka robiła to samo. W końcu, ku swojemu przerażeniu, zauważył, że z naprzeciwka nadjeżdża inny samochód, który usiłuje zablokować mu drogę. Thomas próbował go jeszcze wyminąć, ale to także okazało się nieskuteczne. W pewnym momencie usłyszał głuchy huk wystrzału. Nagle stracił panowanie nad autem, które przez przebitą oponę zaczęło tańczyć na drodze.

Thomas gorączkowo zastanawiał się, co robić dalej. Nie mógł już uciekać drogą, bo pojazd uległ awarii. Postanowił wyhamować i biec na przełaj przez las. Nie miał jednak wątpliwości, że wybierając taką drogę ucieczki, staje się zwierzyną łowną dla uzbrojonych napastników lub co najmniej żywą tarczą, ale nie miał wyboru.

Wyskoczył ze zwalniającego samochodu prosto w leśną gęstwinę, boleśnie przy tym uderzając o ziemię. Szybko się podniósł i zaczął biec przed siebie. Po chwili jednak znów usłyszał dźwięk warczącego motocykla, który próbował odciąć mu drogę ucieczki. Thomasowi udało się dobiec do jakiejś niewielkiej jamy, w której na chwilę przykucnął, by odzyskać siły. Pościg wciąż podążał jego tropem. Nagle gdzieś zza drzew usłyszał głośny świst. Strzelali do

niego. Znów zaczął biec. Kule przelatywały gdzieś obok, aż wreszcie poczuł przeszywający ból w lewej nodze. Opadł wprost w leśne listowie, zwijając się z bólu.

Cholera... Teraz jestem skończony... – pomyślał, wijąc się z bólu. Chwilę potem zobaczył trzy postacie – dwóch mężczyzn i kobietę. Młodszy z mężczyzn podniósł go i zaczął okładać pięściami.

– No i znowu się spotykamy, przyjacielu – Thomas usłyszał znajomy głos. – No to teraz koniec zabawy.

Otrzymał kilka ciosów między żebra oraz w twarz. Poczuł, jak ciepła ciecz spływa mu ze skroni i po policzkach, wzbudzając w nim odruch wymiotny.

Był już bliski całkowitego omdlenia, gdy podeszła do niego kobieta w czarnym obcisłym uniformie. Znał bardzo dobrze jej dotyk, ale jego zmysły odmawiały mu posłuszeństwa i nie potrafił skojarzyć pewnych faktów. Podobnie znajomy był zresztą zapach upajających lawendowych perfum.

– No, bękarcie, to twoja ostatnia szansa. Więcej już nie będziesz miał żadnej – powiedziała i namiętnie zaczęła go całować, sprawiając mu tym jeszcze większe cierpienie.

Odpłynął w nicość, oddając się bez sprzeciwu w ręce swoich oprawców...

Obudził go przejmujący chłód, odór wilgoci i rozkładu ludzkiego ciała. Miał wrażenie, że znalazł się w przedsionku piekieł i oczekuje na ostateczną rozprawę, w której stawką jest jego własne życie.

Nie wiedział, na jak długo stracił przytomność. Nie miał także pojęcia, która jest godzina, jaki jest dzień tygodnia, a zwłaszcza gdzie się znajduje. Jedyne, co zarejestrował, to fakt, że leży oparty o jakąś zimną ścianę, cały we krwi, błocie i szlamie.

Wszędzie panowała nieprzenikniona ciemność. Gdzieś w odległym kącie słyszał szelest skradającego się szczura, który polował na swoje drugie śniadanie.

Próbował się poruszyć, ale z bólu nie mógł wykonać nawet najmniejszego gestu. Wciąż rwała go postrzelona noga. Czuł, jak w jego dłonie i stopy wżynają się powrozy jakiegoś starego, zbutwiałego sznura. Miał nadzieję, że uda mu się je rozwiązać. Jednak okazało się to trudniejsze, niż początkowo sądził. Był bardzo słaby.

Kombinował w myślach, co może zrobić, by się uwolnić. Jednak aby cokolwiek przedsięwziąć, powinien przynajmniej wiedzieć, co to za miejsce.

Gdzieś za plecami zadźwięczał stary łańcuch. Ciarki mu przeszły po plecach, ale w duchu cieszył się, że wciąż jeszcze żyje. Póki żył, była szansa na ratunek. Może Schultz albo Marta zorientują się i przyjdą z pomocą?

Łudził się tak przez moment i myśl ta sprawiła mu ulgę. Po chwili zmagania się z bólem

i chłodem znowu opadł zemdlony. Zbudziły go dopiero krzyki jakiegoś mężczyzny, który dźgnął go narzędziem z ostrym zakończeniem.

– Wyspałeś się? Wygodnie ci było? – powiedział szorstko oprawca. – Zaraz zobaczysz, jakie masz tutaj doborowe towarzystwo.

Thomas z trudem otworzył spuchnięte oczy, które bardzo powoli przyzwyczajały się do jasnego blasku lampy naftowej.

Rozpoznał mężczyznę. To był Alex Riess, kochanek Angeli.

Thomas nie bez trudu rozejrzał się wokół. Wszędzie wisiały jakieś łańcuchy i stare szmaty. W rogu dostrzegł znajomą twarz starszego człowieka.

– Czy on... Johann... – wymamrotał. – Czy on nie żyje?

– Niech cię to nie interesuje za bardzo, panie hrabio! – zaśmiał się szyderczo Alex. – Sczeźniesz tu tak jak on i ta cała legendarna Elysabeth de Albertsteyn.

– Nie... ty! – próbował protestować uwięziony.

– Nawet nie próbuj krzyczeć. Poza szczurami i tak nikt cię tu nie usłyszy. Poza tym zaraz będziesz miał gościa. Przyjmij go z należnymi honorami.

Do lochu weszła Angela. W dłoni niosła miskę z zupą. Zapach jedzenia sprawił, że Thomas poczuł mocny głód. Nie jadł od bardzo dawna.

– Oto twoja nowa pani – powiedział Alex.

– Witaj, bękarcie – szydziła z niego Angela. – Jesteś głodny? Na pewno?

Zbliżyła się do niego, dając mu poczuć aromatyczny zapach potrawy, który mieszał się z wonią lawendy.

– Skoro jesteś głodny, to proszę – powiedziała, wylewając zawartość miski na kamienną posadzkę lochu. – Zlizuj sobie, jeśli masz na tyle sił.

– Zrewanżuję ci się za to, Angelo! Zobaczysz! – krzyknął, zwijając się z bólu.

– No, nic tu po nas. Niech sobie poleży i odpocznie – odezwał się w końcu Alex. – Może nie zapomnimy o nim.

Wyszli, ale zanim zamknęli za sobą drzwi, Thomas zdążył zlustrować pomieszczenie, w którym go więzili. Okazało się, że to część tej samej piwnicy, do której nieopatrznie dostał się podczas wyprawy do zamkowej biblioteki. Musiał nie zauważyć tego zakamarka, gdy szukał dróg wyjścia. Uznał to za dobry znak i miał nadzieję, że znajdzie sposób, by wydostać się z lochów. To dodawało mu sił, których ubytek wciąż jeszcze mocno odczuwał.

Tymczasem ból znów powrócił, paraliżując jego umysł i ciało, a chwilowy przypływ energii ustąpił bolesnemu wyczerpaniu. Wraz z nieprzeniknioną ciemnością przyszła na niego obezwładniająca senność. Znużone ciało podążyło posłusznie prosto w napierające na niego objęcia mroku.

23

Przenikliwy chłód podziemi średniowiecznego zamczyska zbudził Thomasa, wywołując w nim lęk przed nieznanym. Piwniczne zimno przeszywało boleśnie jego obolałe członki niczym ostrze strzały, doprowadzając jego organizm do poziomu skrajnego wychłodzenia i wywołując niemal spazmatyczne drgawki.

Leżąc w nieprzeniknionych ciemnościach, stracił zupełnie poczucie czasu. Nie wiedział, czy minął jeden wieczór, czy parę następnych dni. Alex, Robert ani tym bardziej Angela nie zajmowali się swoim więźniem. Thomas czuł więc, jak kiszki grają mu marsza, wywołując przeraźliwy ból i domagając się pożywienia. To sprawiało, że wciąż był osłabiony. Do tego doszło jakieś przeziębienie, które stępiło jeszcze bardziej jego zmysły. Mimo wszystko powoli, krok po kroku, dochodził do siebie, choć zdarzały się mu chwile nagłego omdlenia lub halucynacji. Wtedy tracił przytomność na długie godziny i majaczył w malignie. Zdawało mu się, że dostrzega, jakby spoza mgły, postać poczciwej Eleonory, która troskliwie opatruje jego rany, ociera spuchniętą od razów twarz i pilnuje, aby więcej nic złego go nie spotkało. Wołał do niej, a ona odpowiadała kojącą ciszą, która uspakajała jego skołatane nerwy, dając nieco wytchnienia. Czasem nie wiedział, czy wciąż jeszcze żyje. Znowu mu się zdawało, że trafił w pobliże piekielnej otchłani.

W takich chwilach Thomas chętnie przywoływał w myślach Martę. Zdawał sobie sprawę, ile ona dla niego znaczy. Gotów był dla jej miłości poświęcić wszystko. Wyobrażał sobie, że jest z nim w tym ciemnym, mrocznym pomieszczeniu. Oczami duszy widział słodycz jej oczu i piękno jej uśmiechu. W pamięci pielęgnował wspomnienie jej ciepłych i pełnych światła słów oraz aksamitnego, czułego dotyku, który przynosił nadzieję i spokój.

Gdzieś w oddali usłyszał cichy, radosny chichot, który sprawił mu dużo radości. Nie był to szyderczy śmiech Angeli i jej towarzysza, ale coś całkiem innego. Zdawało mu się, że słyszy Martę. Tak bardzo pragnął jej bliskości i troskliwej obecności. Jednak to nie była ona, tylko coś jeszcze czystszego, bardziej krystalicznego i nieskażonego mroczną aurą zamczyska.

Thomas otrząsnął się w końcu, wysilając wszystkie swoje zmysły. Nie było to łatwe, ale chciał usłyszeć jeszcze raz ten śmiech, by przekonać się, że to nie sen wywołany gorączkową walką o życie, a rzeczywistość. W tych radosnych głosach rozpoznał dzieci gospodarza winnicy, które beztrosko bawiły się na terenie zamkowych ogrodów. Z natężenia ich śmiechu wywnioskował, że muszą być bardzo blisko.

W końcu zdał sobie sprawę, że na zewnątrz panuje jasny, słoneczny dzień. Rozejrzał się dokoła i dostrzegł, że nieopodal miejsca, w którym leżał, znajdowała się metalowa brama, spod której docierał do jego oczu nikły blask światła. Jak to możliwe, że wcześniej tego nie widziałem? – zastanawiał się.

Powoli zaczął przybliżać się do bramy, która – jak sądził – była jedynym ratunkiem w jego żałosnym położeniu. Z trudem przesuwał się po wilgotnej, brudnej posadzce usłanej

najprzeróżniejszymi przedmiotami. Spróbował podnieść się, lecz ból w lewej nodze uniemożliwił mu ten manewr. Przemógł się jednak i wolno poczołgał ku bramie, zaciskając mocno zęby i pojękując. Kiedy już był blisko, zaczął w skupieniu nasłuchiwać każdego, nawet najdrobniejszego szmeru dobiegającego z zewnątrz.

Dzieci na chwilę umilkły i Thomas znów poczuł zwątpienie. Jednak po kilku minutach odgłosy ich igraszek ponownie przybrały na sile. Postanowił zaryzykować. Położył się na plecach na posadzce i odwrócił tak, by stopami móc uderzyć w ciężkie metalowe wrota. Kiedy spróbował za pierwszym razem, okazało się, że leży w zbyt dalekiej odległości od bramy i nie może jej dosięgnąć nogami. Dopiero przy drugiej próbie udało mu się kilkakrotnie uderzyć. Brama odpowiedziała głuchym skrzypnięciem, ale nie chciała ustąpić. Kiedy powtórnie uderzył w nią z całej siły, odgłosy dziecięcych zabaw znowu na chwilę ucichły.

– Karl, słyszałeś? – zapytała braciszka przestraszona siedmioletnia Klara.

– E tam, to chyba tobie tak w brzuchu burczy – odrzekł dziesięcioletni chłopiec, śmiejąc się z miny siostrzyczki.

– Ale ja naprawdę coś słyszałam.

– Wydawało ci się, głuptasie.

Dzieci zajęły się na powrót swoją zabawą. Tymczasem Thomas gorączkowo zastanawiał się, co może zrobić, by przekonać je, że słuch je nie myli. Postanowił jeszcze raz uderzyć w bramę, ale mocniej, tak z całej siły. Skutek był taki, że dzieci znowu zaczęły się zastanawiać, co się dzieje, i nawet starszemu Karlowi zjeżyły się włosy na głowie.

– Ratunku! Pomocy! – krzyczał Thomas ile sił w płucach, uderzając raz po raz obolałymi kończynami w zardzewiałe i mokre od wilgoci wrota.

Zabawy ucichły. Uwięzionemu mężczyźnie zdawało się, że dzieciaki nasłuchują, ale równie dobrze mogły wystraszyć się i uciec do domu. Zamek przecież nie należał do najprzyjemniejszych miejsc w okolicy.

Mroczna aura wciąż jeszcze się wokół niego utrzymywała, jakby czekała na swój moment.

– Ratunku, pomocy! – zawołał znowu kilkakrotnie.

Po krótkim czasie, kiedy tak leżał w bezruchu, usłyszał cichy dziecięcy szept. Rodzeństwo dyskutowało żywo, rozważając, czy powinni się zbliżać do miejsca, skąd dochodził ich głos.

– Karl, a może to jakiś zbir – zastanawiała się siedmiolatka. – Otworzymy bramę i nas porwie.

– Ej tam, przestań! – Karl strofował siostrzyczkę. – Zbir czy nie, zapytać można. Przecież

nie musimy otwierać wejścia.

– Ale nam tata da... Oj... – odparła dziewczynka, łapiąc się za głowę swymi malutkimi, pulchnymi rączkami.

Thomas ciągle nasłuchiwał. Gdy zorientował się, że dzieci są tuż przy bramie, próbował nawiązać z nimi rozmowę.

– Hej, to ja, Thomas Michel... Proszę, pomóżcie mi! – mówił znękany. – Klara, Karl! To wy? Bardzo proszę...

– Pan Thomas? Ale... ale jak pan.. Tutaj? – zdziwił się chłopiec. – To na pewno pan, panie Michel? – upewniał się.

– Tak, to ja – potwierdził więzień. – Angela i jej przyjaciel wtrącili mnie do piwnicy i związali jakimiś starymi sznurami.

– A mówiłam, żeby pan uważał... – wyjąkała Klara. – To bardzo niedobra pani.

– Jak mamy pana wydostać? – spytał chłopiec.

– Nie wiem... Tego nie przemyślałem.

Thomas zamilkł. Zastanawiał się nad możliwościami dzieci. Nie chciał ich angażować, ale wyglądało na to, że to jedyne osoby, które mogły mu pomóc w tej krytycznej sytuacji.

– Mam pomysł – zakomunikował po dłuższej chwili Karl. – Obok drzwi znalazłem taką starą deskę. Może się przyda.

– Świetnie... – odparł więzień. – To do dzieła!

Okazało się, że wejście zasypane było sporych rozmiarów klocami drewna, co uniemożliwiało skutecznie otwarcie bramy od wewnątrz. Chłopiec, przy wydatnej pomocy siostrzyczki, zaczął rozbierać drewniane rumowisko, po czym podważył z całych sił jedno ze skrzydeł ciężkich, metalowych wrót.

– No, Klaro, pomóż mi. To jest strasznie ciężkie – poganiał Karl siostrzyczkę. – Dawaj, jeszcze raz i gotowe.

– Spokojnie, chłopcze. A teraz musicie się odsunąć – ostrzegł Thomas, po czym uderzył nogami w bramę najmocniej jak mógł. Ból zranionej nogi sprawił, że krzyknął przy tym głośno.

Piwniczne drzwi rozwarły się pod wpływem nacisku jego kończyn. Był wolny.

Ostry blask południowego słońca zaskoczył Thomasa, którego oczy od dawna nie doświadczały żadnego światła. Przez chwilę leżał więc na plecach w progu lochów, przyzwyczajając wzrok do jasności.

Czuł się jednak szczęśliwy. Jego oddech na nowo stał się spokojny, choć co jakiś czas przechodził ataki spazmatycznego kaszlu, którego nabawił się w tym zimnym, posępnym pomieszczeniu.

Tymczasem jego mali przyjaciele obstąpili go, zadając mu masę pytań i pomagając wydostać się z więzów. Ucieszyły go niewinne twarzyczki rodzeństwa, które odważnie stawiło czoło wyzwaniu i wydobyło go z zamknięcia.

– Nie wiem, co bym bez was zrobił, dzieciaki – powiedział, ściskając z wdzięcznością Klarę i Karla. – Tu było naprawdę strasznie.

Potem dziewczynka wyciągnęła z kieszeni sukienki kilka ciastek, które mama dała rodzeństwu na czas zabawy. Thomas chętnie skorzystał z oferty. Kiedy się posilił, Klara opowiedziała mu, że już wcześniej podejrzewała najgorsze. Wspominała, że parę dni temu słyszała czyjeś jęki, ale wystraszyła się i uciekła do domu.

– Ja nie wiedziałam, że to pan, panie Michel – wyznała szczerze. – Myślałam, że to jakieś udręczone duchy. Wystraszyłam się i pobiegłam po Karla, ale on też się bał.

– Ja? Nic podobnego. Ja się niczego nie boję! – bronił się chłopiec. – Jestem jak rycerz, nieustraszony.

Klara jednak zmierzyła braciszka wzrokiem, dając mu tym samym znać, że nieładnie jest kłamać.

– No dobrze... może czasami – przyznał chłopiec.

– A możecie mi powiedzieć, jaki dzisiaj dzień? – zapytał w końcu Thomas.

– Dzisiaj jest... 23 września – odpowiedział Karl. – To wiem, bo za dwa dni mam urodziny.

– 23 września? Na pewno?

– Tak, tak. Na pewno, panie Michel – przytaknął chłopiec.

– To spędziłem tutaj tyle czasu... – zmartwił się Thomas. – W samą porę, dzieciaki. Jutro jest odczytanie testamentu hrabiny. Boże, jak ja wam dziękuję.

Podniósł się z ziemi i podtrzymywany przez Karla zbliżył się do zamkowych lochów. Chciał sprawdzić, czy to, co zobaczył przy świetle lampy naftowej, zgadzało się z rzeczywistością.

Wszedł do środka sam. Nie chciał, aby dzieci oglądały to makabryczne znalezisko. W rogu piwnicy zobaczył martwe ciało Johanna Bauma. Jego członki przechodziły już w dość zaawansowaną fazę rozkładu. Widok nie należał do przyjemnych i Thomas od razu to odczuł.

Kiedy ujrzał rozkładającą się cielesną powłokę wiernego lokaja Eleonory, instynktownie wycofał się do drzwi wejściowych, wymiotując żółcią.

– Wszystko w porządku, proszę pana? – spytała zmartwiona dziewczynka.

– Tak, młoda damo, wszystko jest w porządku – odparł zmieszany. – Macie może jakiś telefon przy sobie? Musimy zadzwonić na policję, dobrze?

– Tak, oczywiście – powiedział Karl i chętnie podał swój telefon Thomasowi, który szybko wystukał numer komisarza Schultza i przedstawił mu sytuację, prosząc o wsparcie frankfurckiej policji.

– Oczywiście, panie Michel, zaraz przyjedziemy. Proszę się nigdzie nie ruszać – usłyszał w słuchawce głos policjanta, który postanowił jak najszybciej interweniować.

Thomas jednak nie mógł czekać. Postanowił jak najprędzej przedostać się do zamku i odebrać Angeli pamiętnik hrabiny oraz książęcy sygnet Alberyka, który mu zabrała zaraz po pościgu.

Zapowiadało się ciężkie popołudnie, którego finał miał zadecydować o losach posiadłości i jej dziedzicach.

– Jak ta stara flądra mogła pozbawić mnie majątku? – zabrzmiał wzburzony głos Angeli. – I do tego jeszcze ten bękart! Ale teraz nic już mnie nie powstrzyma. Nic! Słyszysz? Wszystko jest moje! Nareszcie!

Na zamkowych korytarzach rozległ się przeraźliwy, złowieszczy śmiech baronowej. Ciarki przechodziły po plecach na dźwięk jej głosu, który coraz bardziej przypominał melodię z jakiegoś mrocznego horroru.

– Angelo, daj sobie coś powiedzieć – uspakajał ją Alex. – Nie wiem, o co ci chodzi. Przecież on już pewnie leży martwy tam, w tych cuchnących piwnicach. Drogę masz wolną.

Gdy Thomas znalazł się w zamkowym holu, przysłuchiwał się tej głośnej wymianie zdań. Aby dostać się do posiadłości, wykorzystał przejście, które wcześniej pokazały mu dzieci. Musiał być teraz bardzo ostrożny. Nie wiedział, gdzie przebywa morderczy duet. Przez chwilę zastanawiał się, skąd dochodzi głos wściekłej bratanicy jego zmarłej matki. Potem jednak zorientował się, że ów dialog rozgrywa się właśnie w bibliotece.

Angela i Alex byli zajęci sobą tak bardzo, że nie usłyszeli cichych kroków Thomasa, który powoli zbliżał się do uchylonych wrót książnicy, lekko kuśtykając na lewą nogę.

– I bardzo dobrze. W końcu odzyskałam to, co utraciłam przez Eleonorę i ojca – warknęła z dumą Angela. – Nawet ten... ten... ten Michel nie wejdzie mi już w drogę.

Thomas postanowił odczekać jeszcze chwilę. Chciał wybrać najlepszy moment. Rozejrzał się wokół i z jednej z podstaw delikatnie zdjął pojedynczy srebrny świecznik, w którym już

dawno wypalił się ogarek. Musiał mieć coś do ewentualnej obrony, a stary kandelabr nadawał się do tego idealnie.

Wychylił się lekko zza drzwi, ale na tyle nieznacznie, żeby pozostawać wciąż niewidocznym. Chciał zobaczyć, gdzie toczy się kłótnia dwojga kochanków.

Angela siedziała na rogu zabytkowego biurka i wczytywała się w treść jakiegoś zeszytu. Obok na niewielkiej okrągłej podstawce błyszczał sygnet, który zabrała Thomasowi, gdy ten był nieprzytomny.

– No popatrz, tutaj wszystko jest. Trzeba się pozbyć tego pamiętnika, żeby już nikt nie miał okazji go czytać – powiedziała i wyjęła zapalniczkę.

– Nie tak szybko! – krzyknął Thomas, wkraczając do biblioteki ze świecznikiem w dłoni. – Najpierw musisz zniszczyć mnie. Nie pozwolę, żebyś zniweczyła pamięć mojej matki.

Angela i Alex, zaskoczeni widokiem intruza, poderwali się na równe nogi. Byli niemal pewni, że Thomas leży martwy na dnie zamkowych lochów. Jednak mylili się. Alex chciał go zaatakować, ale Thomas pokazał, że się go nie boi i ma jeszcze na tyle siły, by mu przyłożyć.

– Nawet nie próbuj! – powiedział stanowczo. – Jeszcze nie jest ze mną tak źle, żebym nie mógł pogruchotać ci kości.

– Trzeba było go zadźgać tym szpikulcem, ty głupia dziwko – warknął Alex, spoglądając na Angelę wzrokiem pełnym nienawiści.

– Odpieprz się. To ty miałeś się nim zająć – odparła z wściekłością w głosie. – Ja mam tutaj ważniejsze sprawy.

Thomas wykorzystał moment kłótni kochanków i zaszedł baronową od tyłu. Zanim się zorientowali, zdążył zabrać z biurka sygnet i włożyć go na palec, ale zapiski Eleonory wciąż pozostawały w ręku Angeli.

– I co teraz? – zapytała Thomasa, odwracając się w jego kierunku. – Uderzysz mnie tym świecznikiem? Postraszysz mnie przepowiednią Eberharda, która podobno ma mnie zniszczyć?

– Sama się zaraz przekonasz. Oddawaj zeszyt. Natychmiast! – warknął ze złością Thomas.

– Nie boję się twoich pokrzykiwań! Ty parszywa przybłędo! Nic mi nie zrobisz.

– On nie należy do ciebie – Thomas wyciągnął rękę w kierunku pamiętnika Eleonory.

– A do ciebie jak najbardziej, tak? Wiesz, co z nim zrobię?

– No co? Oświeć mnie!

– To samo, co zrobiłam z Eleonorą i ojcem. Potraktuję jak śmieci – oświadczyła z piekielną pasją Angela, śmiejąc się złowieszczo. – Nie zależy mi ani na tobie, ani na pamięci o nich.

– A więc to wszystko to twoja sprawka?

– Zgadza się i wszystko byłoby w porządku, gdybyś się tutaj nie pojawił, ty bękarcie pieprzony.

– Jak widać, mam inne plany. I dla twojej wiadomości, nie jestem bękartem.

Zaskoczona Angela spojrzała najpierw na Thomasa, a potem na Alexa. Nie wiedziała, co to ma znaczyć. Była pewna, że sprawdziła wszystko jak należy. Przez ułamek sekundy zastanawiała się nawet, czy stara historia opowiadana jej przez ojca w dzieciństwie może jednak okazać się prawdziwa. Znikła gdzieś jej dawna pewność siebie, ale i tak nie potrafiła zrezygnować z czegoś, co – jak sądziła – było jej przeznaczone.

Thomas zauważył wahanie kobiety i jej niepewną minę. Próbował wykorzystać tę chwilę nieuwagi, ale ostrzeżona przez kochanka szybko odskoczyła.

– Jak to? Przecież tutaj wszystko jest napisane? – rzuciła zaskoczona.

– Jesteś pewna? Może jednak nie wiesz o wszystkim.

– Nie bardzo rozumiem... Jest coś jeszcze? – odparła skonsternowana. – Co ty kombinujesz, Michel?

– Ja? Nic. Chcę odzyskać zapiski mojej matki – wyjaśnił Thomas. – Poza tym zapomniałaś o sygnecie i przepowiedni.

– Chyba sobie żartujesz... – prychnęła z niepewnym, złośliwym uśmieszkiem, który na ułamek sekundy zagościł na jej krwistoczerwonych ustach. – A co to ma z nią wspólnego?

– Jeszcze nic nie rozumiesz? Ty i ja. Elysabeth i Alberyk – tłumaczył Thomas. – Nie widzisz podobieństw? Czy nie dlatego zamordowałaś najpierw ojca, a potem Eleonorę i na koniec próbowałaś skończyć ze mną?

Angela zamilkła. Kiedy pomyślała o ojcu i o tym, co czuła, zabijając hrabinę, zrozumiała wszystko. Czar Elysabeth zawładnął nią od samego początku i nie potrafiła zrezygnować z tego obezwładniającego pożądania, które w niej zrodził. Nie wiedziała, co powiedzieć. Stała jak wryta, zszokowana i wściekła zarazem.

– Wiesz, kim ona była? Była nikim! Starą, zgrzybiałą jędzą! Na lewo i prawo szastała pieniędzmi, które należą się tylko mnie – wyrzuciła w końcu z siebie. – Nie chciała mi dać tego, czego potrzebowałam, więc cóż... Zabicie jej było takie proste i przyjemne. Nawet sobie nie wyobrażasz, z jaką rozkoszą przypatrywałam się jej martwemu obliczu. Pozostał jeszcze Johann i miało być po wszystkim. Ale nie... Pojawiłeś się ty i wszystko szlag trafił!

Thomas ze stoickim spokojem przysłuchiwał się nerwowym wyznaniom Angeli. Sprawiała mu tym ból, ale nie mógł okazać w tej chwili ani odrobiny słabości.

Nagle kątem oka zauważył jakiś ruch w uchylonych drzwiach. Dostrzegł znajomą mu skądś kobiecą sylwetkę. Domyślił się, kto to jest. Postanowił grać na zwłokę i sprawić, żeby jego występna krewna sama wyznała swoje grzeszki.

– A więc jednak zamordowałaś moją matkę i jej lokaja? – zapytał Thomas, bacznie obserwując każdy ruch Angeli i jej towarzysza.

– Oczywiście, ale nie tylko ich. Z całej trupy oni byli najmniej problematyczni – zaczęła mówić baronowa. – Wystarczył zastrzyk i było po wszystkim, prawda Alex?

– Masz rację, kochanie. Zastrzyk to świetne rozwiązanie – potwierdził przyjaciel Angeli.

– Bardzo ciekawe. Tylko coś ci w tym wszystkim nie wyszło – zagadywał kobietę Thomas, powoli zbliżając się do niej.

– Któż to nam udowodni, gdy ty już będziesz martwy? – zapytał kąśliwie Alex, kierując się w jego stronę.

Thomas podniósł świecznik nieco wyżej, grożąc nim w powietrzu Angeli i jej kochankowi, którzy znacząco zaczęli spoglądać na siebie. Kiedy się zamachnął, aby korzystając z nieuwagi kuzynki, odzyskać pamiętnik, zauważył w dłoni Alexa pistolet, wycelowany prosto w jego głowę. Angela znów poczuła, że jest górą.

– I co teraz, kotku? – spytała, udając niewiniątko i zbliżając się do Thomasa, który wciąż trzymał w ręku srebrny kandelabr. – Przecież możemy się dogadać. Odłóż ten złom.

– Angela... – warknął Alex, ostrzegając ją, by nie szarżowała za bardzo.

– Zaufaj mi, panuję nad sytuacją.

Thomas zauważył, jak zza drzwi bezszelestnie wślizgnęła się kobieca postać. Klucząc między bibliotecznymi regałami, zbliżała się do Alexa, który wciąż trzymał go na muszce. Angela i jej przyjaciel byli tak zajęci sobą i swoją ofiarą, że nie zauważyli przybycia nowego gościa.

To była Marta. Wyskoczyła nagle zza regału, trzymając w ręku wielkie, ciężkie tomisko, którym z rozmachem uderzyła Alexa w plecy. Mężczyzna próbował zachować równowagę, ale ona poprawiła cios, powalając go ostatecznie, i kopnęła trzymany przez niego pistolet w daleki mroczny kąt zamkowej biblioteki.

Potem wszystko potoczyło się bardzo szybko. Angela próbowała uciekać. Jednak Thomas, zapomniawszy na chwilę o swojej fizycznej niedyspozycji, powstrzymał ją, przyciskając do ściany. Przez moment szamotali się, walcząc o pamiętnik Eleonory. Angela

kopnęła Thomasa w krocze, a potem uderzyła w jego ranę postrzałową. Zabolało tak bardzo, że zajęczał głośno, jakby go obdzierano ze skóry, i na ułamek sekundy stracił przytomność. Dorwał Angelę przy biurku, ale gdy złapał ją za ramię, ona w odpowiedzi uderzyła go w policzek tak mocno, że niewiele brakowało, aby upadł i uderzył się o kant masywnego mebla. Była prawie pewna, że uda jej się uciec, ale drogę zaszła jej Marta ze świecznikiem w ręku. Angela próbowała zawrócić, ale w tej samej chwili zderzyła się z Thomasem, odbiła się od jego ciała i poleciała bezwładnie prosto w siatkę witrażowych okien. Kurczowo złapała się kuzyna i pociągnęła go za sobą. Oboje wypadli przez okno, które roztrzaskało się w drobny mak. Po chwili ciało baronowej z głuchym łoskotem opadło na twardą granitową posadzkę zamkowego tarasu znajdującego się kilka metrów niżej.

– Thomas! – zawołała rozpaczliwie Marta. – Thomas! Nieeeeeee! Mój Boże, tylko nie ty!

Kiedy wyjrzała przez okno, widok, jaki ukazał się jej oczom, zmroził jej krew w żyłach. Marta rozpłakała się i szukała wzrokiem ciała ukochanego. Zobaczyła jednak tylko jedną sylwetkę. Głowa Angeli zamieniła się w zupełną miazgę. Wyglądało to mniej więcej tak jak po zderzeniu z pociągiem... A może nawet jeszcze gorzej. Angela nie żyła.

– Cholera jasna... Czy ktoś mi pomoże? – krzyknął Thomas, który z ledwością trzymał się rzeźbionych gzymsów zamkowej elewacji.

– Thomas! Ty żyjesz! – zawołała ze łzami w oczach Marta.

– Tak, żyję, ale długo się tu nie utrzymam.

Na szczęście w tym momencie do biblioteki wbiegł komisarz Schultz wraz z całym zastępem policjantów, z sierżantem Heinzem Müllerem na czele. Marta odsunęła się od okna, z którego powoli wyciągnięto kompletnie poobijanego Thomasa.

Ten odetchnął z ulgą. Był przerażony tym, co przed chwilą zaszło. W oczach stanęło mu całe życie. Miał szczęście, że ocalał.

– Dziękuję panu, komisarzu – powiedział, kiedy znalazł się z powrotem w bibliotece.

– Dobrze, że nic się panu nie stało. Byłaby to dla nas wielka strata! – odparł funkcjonariusz.

– Tak pan myśli?

– Ależ oczywiście. Ta kwestia pozostaje bezdyskusyjna – stwierdził zdecydowanym tonem Schultz.

Thomas przyglądał się, jak policjanci odprowadzają w kajdankach Alexa Riessa. Zrobiło mu się go trochę żal – w końcu poszedł on za głosem kobiety, która omamiła go swoim erotycznym powabem, całkowicie przejmując kontrolę nad jego życiem. Patrząc na tego przegranego mężczyznę, myślał też o Robercie, starszym służącym Angeli, i zastanawiał się, gdzie on się teraz podziewa. To jednak było już bez znaczenia.

Marta stała obok Thomasa, czule go obejmując. Spojrzała na jego zakrwawioną, pokrytą grubą warstwą brudu i wychudzoną twarz. Nie przerażał jej fetor, jaki bił od jego ubrań. Cieszyła się, że żyje i jest z nią cały i zdrów. Dotknęła palcami jego skroni, jakby chciała sprawić, że rany znikną pod ich uzdrowicielskim wpływem. Pogłaskała też jego policzek, a po chwili czule przyciągnęła go do siebie, chroniąc się w jego silnych, męskich ramionach. Thomas odwzajemnił jej czułość, namiętnie całując ją w czoło, a potem w usta.

Wiedział już, że to właśnie Marta jest miłością jego życia – teraz był tego pewien. Pragnął, aby rozkwitała w jego dłoniach niczym kwiat o poranku muśnięty ciepłymi promieniami słońca. Chciał z nią być na dobre i złe, dzielić z nią każdą chwilę życia.

– Nie wiem, jak to się stało, ale dobrze, że tu jesteś, kochanie – powiedział Thomas, czule tuląc dziewczynę w swoich ramionach. – Tęskniłem za tobą, wiesz?

– A ja od początku miałam złe przeczucia – stwierdziła z przekąsem. – Martwiłam się o ciebie i kiedy przez kilka dni nie dzwoniłeś, postanowiłam przyjechać i odnaleźć cię. Potem komisarz Schultz opowiedział mi o wszystkim. Nie wiem, co bym zrobiła, gdyby ona wyrządziła ci krzywdę.

– Ech, przestań... Teraz to już nieważne.

– Oj, ty mój głuptasie – powiedziała Marta i westchnęła.

Nagle spoglądając przez zniszczone okno, Thomas dostrzegł jakąś kobiecą postać spacerującą po zamkowym ogrodzie. Rozpoznał ją bez trudu. To była jego matka – hrabina Eleonora von Albertstein. Odwróciła się do niego i uśmiechając serdecznie, pomachała dłonią, jakby chciała się już pożegnać. Thomas spojrzał na nią i znacząco poruszył głową, a jej postać niespodziewanie zniknęła.

– Eleonora... ona tu była – powiedział szeptem, z trudem ukrywając wzruszenie.

– Ona tu była i zawsze pozostanie w twoim sercu... – potwierdziła Marta i ucałowała swego ukochanego.

24

Oficjalne otwarcie testamentu hrabiny Eleonory von Albertstein w kancelarii Brück & Kunick we Frankfurcie trwało zaledwie pół godziny. Thomas jednak miał wrażenie, jakby odczytywany przez adwokat Kathy Brück dokument nie miał końca. Wiedział, że to formalność, której musiał dopełnić. Był to winien Eleonorze.

– Thomasowi Michelowi, mojemu synowi i dziedzicowi, przekazuję całą posiadłość wraz z rodowym tytułem i wszelkimi tego prawnymi konsekwencjami – odczytała Kathy Brück.

Nie zaskoczyło to Thomasa, bo odkąd poznał prawdę, wiedział, jakie będą jej skutki. Eleonora oddała mu wszystko, co miała.

– Czy zgadza się pan przyjąć spadek? – zapytała prawniczka, wyrywając go z zamyślenia.

– Tak, oczywiście... – odpowiedział zmieszany i poczuł nagłe szturchnięcie Marty. – Przyjmuję.

– Co się z tobą dzieje? Jesteś taki nieobecny – zmartwiła się dziewczyna.

– A, nic takiego. Po prostu myślałem o matce.

Oczami wyobraźni widział szczęśliwe oblicze Eleonory. Rozumiał jej rozterki i wszystko, przez co musiała przejść, bo przecież mu to wyjaśniła. Nie miał jej za złe tego, że pod naciskiem matki zostawiła go i że dopiero po latach odnaleźli drogę do siebie. Przerażał go jednak ogrom majątku, który odziedziczył. Zdał sobie sprawę, że było to o wiele więcej, niż potrzebował do życia. Cóż jednak mógł zrobić? Odmówić? Nie. Tego, mimo wszystko, nie mógł uczynić. Przyjął więc dar dobrej Eleonory, stając się pełnoprawnym hrabią von Albertstein.

– A co z Angelą? – zapytał nagle Thomas, wywołując konsternację. – Co mam z tym zrobić?

– To już pańska decyzja – odparła prawniczka.

Był nieco zagubiony. Wyrzucał sobie, że ktoś zginął przez niego. Tego nie potrafił sobie ani wytłumaczyć, ani wybaczyć. O jego rozterce wiedziała Marta, która czule trzymała jego dłoń.

– Thomas... Nie martw się tak. Razem przez to przejdziemy. Przecież wiesz – wspierała go przyjaciółka.

Postanowiono zatem, że ciało Angeli zostanie skremowane, a prochy wysypane do Menu, by żywioły ognia i wody pochłonęły całe zło, które było jej udziałem. Podobnie zresztą uczynił z portretem Elysabeth, którego obecność irytowała go z dnia na dzień coraz bardziej. Jego spalenie stało się więc dopełnieniem całości – przepowiedni, o której opowiadał mu opat

z Aller-Heiligen-Stift. Czuł się z tym lepiej, bezpieczniej. Nie musiał już obawiać się demonów przeszłości, które odeszły w otchłań. Pokonała je niezwykła przyjaźń i miłość Eleonory, silniejsza niż śmierć, mocniejsza niż jakakolwiek ludzka zawiść – nawet mimo zwątpienia, którego czasami doświadczał. Nowy portret jego matki wypełnił lukę po starym obrazie na zamkowym korytarzu, sprawiając wiele radości jego oczom.

– Wiesz... Coraz bardziej mi przypominasz Eleonorę – stwierdziła kilka tygodni później Marta, tuląc się do Thomasa podczas przechadzki po zamkowym ogrodzie. – Jak zawsze jesteś spokojny, wyważony, lecz ostatnio taki... inny.

– Tak? Nie zwróciłem na to uwagi – odpowiedział i roześmiał się serdecznie. – To chyba dzięki tobie. Przy tobie wszystko jest inne, takie nowe, po prostu lepsze.

Nie potrafiła dobrać właściwych słów. Każde wydawało jej się zbyt miałkie i nieadekwatne. Był dla niej dobry, nawet bardzo dobry, ale czasami sprawiał wrażenie nieobecnego. Zmienił się. Wciąż pociągał ją jego pełen wrażliwości i dobroci charakter oraz silna, męska aparycja, która sprawiała, że czuła się przy nim po prostu bezpiecznie. Jednak od czasu tych makabrycznych zamkowych wydarzeń stał się bardziej rozważny i coraz poważniej myślał o życiu z Martą, które stawało się dla niego kwintesencją szczęścia i prawdziwym wyrazem jego osobistych pragnień.

– Chcę już zawsze być z tobą! Chcę cię kochać i dbać o ciebie... Chcę... chcę być cały twój, tylko twój... na zawsze – powiedział do ukochanej, kiedy zbliżali się z powrotem do rezydencji. – Bez ciebie życie jest tylko pustym słowem.

Spoglądając w stronę zamku, znów dostrzegł na starym tarasie postać Eleonory. Otaczała ją jakaś światłość, stwarzająca wrażenie dostojeństwa i dobrze spełnionej misji.

Thomas uśmiechnął się serdecznie i spojrzał czule na Martę. Kiedy znów rzucił okiem na taras, nikogo już tam nie dostrzegł. Tylko pierwsze jesienne liście kotłowały się tu i ówdzie w obłąkańczym transie, poruszane wirem wiatru.

Czar trwał.

Epilog

Od śmierci Eleonory minął rok. Lato powoli dobiegało końca. Skwar upalnego dnia ustępował wieczornemu chłodowi, dającemu wytchnienie znużonemu ciału. Błękitne i bezchmurne niebo iskrzyło się teraz blaskiem złota, czerwieni i brązu, a otoczenie emanowało nostalgią i wspomnieniem szczęśliwych chwil.

Thomas i Marta stali na zamkowym tarasie, wpatrując się w zachodzące słońce. Cieszyli się sobą i swoim uczuciem, które dojrzewało w nich od samego początku, by w końcu połączyć ich na dobre. Wspólne życie, mimo zwyczajnych trudności, było dla nich spełnieniem pragnień o prawdziwej miłości – takiej bezwarunkowej, w której liczy się tylko wzajemna bliskość dwojga kochających się ludzi.

Marta spojrzała na Thomasa. Objęła jego silne, muskularne ramiona, w których zawsze znajdowała czułe oparcie. Spojrzała mu prosto w oczy, w których odbijało się szczęście i spokój. Wiedziała, że jest to właściwy moment, aby przekazać mu wiadomość. Oboje pragnęli tego najbardziej na świecie. Teraz w końcu ich marzenie mogło się ziścić.

– Kochanie, chciałam ci coś powiedzieć... – powiedziała nieśmiałym głosem.

– Tak? – Thomas ucałował Martę w usta, a potem pozwolił oprzeć się jej o jego ramię, by razem mogli przyglądać się zachodzącemu słońcu. Odgarnął dłonią burzę jej ciemnoblond włosów i wpatrywał się w jej poważne oblicze. W jej oczach płonął żar, którego jeszcze nie rozumiał, ale który sprawiał, że kochał ją jeszcze mocniej i mocniej.

– Thomas... Jestem w ciąży – powiedziała z uśmiechem Marta. – Będziemy mieli dziecko.

Mężczyzna przez chwilę myślał, że się przesłyszał. Jednak gdy Marta spojrzała na niego wzrokiem pełnym miłości, był już tego pewien. Rozpierało go szczęście, którego nic nie mogło mu już odebrać.

– Będziesz miał syna – powtórzyła kobieta.

– Kocham cię... Wiesz o tym, prawda? – powiedział po chwili Thomas, ocierając ze wzruszenia wilgotną twarz. – Jesteś moim największym skarbem. Co ja bym zrobił bez ciebie!

Następnie objął ukochaną, uniósł ją nieco w górę i okręcił ze szczęścia wokół siebie, dając upust swojej radości. Czuł, że teraz wszystko jest na swoim miejscu – tak jak tego pragnęła Eleonora, tak jak pragnął on sam w swoich najskrytszych marzeniach. Krzyknął raz i drugi, by wyrazić swoją radość z przyszłego ojcostwa.

Wciąż obejmował Martę swoimi silnymi ramionami. Nie mógł wypuścić jej już teraz ze swych dłoni. Była jego miłością, jego pragnieniem i oparciem, które opromieniało każdy dzień

jego życia.

Potem spojrzał jeszcze raz w jej szczęśliwe, roziskrzone oczy i nie mógł się im nadziwić.

Dostrzegł w nich przyszłość, którą mógł teraz realizować, wypełniając ją ciepłem rodzinnego domu i bliskością miłości jego życia oraz syna – dziedzica, którego oczekiwał z nadzieją.

Podziękowania

Pomysł napisania powieści wydawał mi się na początku dość szaloną ideą, do której jednak w końcu udało się paru osobom mnie przekonać. Dziś mogę powiedzieć, że chwile spędzone na pisaniu *Testamentu Eleonory* to był najwspanialszy czas i świetna przygoda, w której walka z sobą samym, swoimi słabościami i brakiem zdyscyplinowania przeplatała się z ogromną pasją, która w efekcie pochłonęła mnie całkowicie. Znalazłem bowiem coś, co otworzyło przede mną absolutnie nowy świat i sprawiło, że moja pierwsza książka trafia dziś do rąk czytelników.

Nie byłoby to możliwe bez moich wspaniałych przyjaciółek: Eli, Karoliny, Alfredy, Lucyny, Gosi oraz Oli – pierwszych czytelniczek i recenzentek, które czasem surowo, a czasem wyjątkowo łagodnie ćwiczyły mnie w tym twórczym procesie, sekundując każdemu słowu i wizji powstającej w moim umyśle. Nie było to wcale łatwe i dlatego za to jestem im niezmiernie wdzięczny. Pokazały mi bowiem, że wyobraźnia i zacięcie do pisania są właściwą ścieżką, którą trzeba ufnie pójść, wykorzystując pasję i radość, jaką one dają.

Testament Eleonory to wizja całkiem fikcyjnych zdarzeń, które, ożywając we mnie, towarzyszyły mi przez cały czas. To było coś absolutnie wyjątkowego i odkrywczego. Jedyną kwestią, która ma odbicie w faktach, jest wątek historyczny dotyczący samobójstwa wysoko postawionego niemieckiego oficera, które rzeczywiście miało miejsce w Majątku Średnim w Olszynie (niem. Langenöls) na Dolnym Śląsku pod koniec II wojny światowej. I choć na potrzeby książki jest on mocno zmieniony, to jednak chciałem tym sposobem docenić miasto, z którego pochodzę. Prawdziwe są także niektóre miejsca we Frankfurcie nad Menem i w Görlitz. Na tym jednak koniec. Wszystkie inne postacie, miejsca i zdarzenia to fikcja, efekt wspaniałej kryminalnej, ale i romantycznej przygody.

Na koniec chciałbym jeszcze wyrazić wdzięczność tym wszystkim, bez których *Testament Eleonory* nie trafiłby na księgarskie półki. Słowa uznania należą się mojemu wyrozumiałemu Wydawcy, który zadbał o każdy szczegół, sprawiając, że nasza współpraca stała się konkretna i owocna. Bardzo za to dziękuję, gdyż wiem, że ten debiutancki projekt to ogromne wyzwanie nie tylko dla mnie osobiście, ale i dla samego wydawnictwa. Pani poseł Lidii Geringer de Oedenberg, Kwestorowi w Prezydium Parlamentu Europejskiego, dziękuję za jej rekomendację oraz życzliwość, które były motywacją do tego, by prace nad książką doprowadzić do końca. Za wsparcie dla mojego pisarskiego debiutu jestem wdzięczny również pani poseł Marzenie Machałek oraz pani Zofii Rak – dyrektor Zespołu Szkół Ponadgimnazjalnych im. Marii Konopnickiej w Biedrzychowicach, które życzliwie przychyliły się do moich próśb, umożliwiając realizację tego przedsięwzięcia.

Szczególne podziękowania kieruję ku moim wspaniałym mecenasom – osobom prywatnym i przedsiębiorcom, których większość chce pozostać anonimowa. Bez ich wsparcia projekt nie miałby tak obiecującego finału. Dziękuję zwłaszcza partnerowi wydania Zakładom Mięsnym Niebieszczańscy oraz firmom: Przedsiębiorstwo Handlowe SAWCZAK i Motel Łużycki.

Artur Daniel Grabowski